



Feodor Tomasz Icz

NARZECZONA HARAMBASZY.

POWJEŚĆ

Z DZIEJÓW SŁOWIAŃSZCZYZNY POŁUDNIOWEJ



WARSZAWA.

Skład główny w „Księgarni Polskiej“, Warecka 14.

1901.



59411

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Марта 1901 года.

K-21/76/62042

I. Nocleg.

Potężny talent piewcy Zamku Kaniowskiego cudaby stworzył, gdyby tem samem piórem, którem skreślił widzenia Nebaby z wierzchołka dębu puszczy śmolańskiej, odmalował krajobraz, rozwijający się ze szczytu góry, wystrzelającej najwyżej z pośród gór pekskich. Cudnyż bo to rzeczywiście krajobraz!... Pod stopami, w prawo, w lewo, jak okiem sięgnąć, rozrzuciły się zielone garby okrytych lasami wzgórzy. Od pierwszego oka rzutu widać nie co innego, tylko wzgórze. Wpatrującemu się w nie jednak pilnie odkrywają się w niespodziankowy sposób: tu bezdena otchłań wąwozu głębokiego, czarna, dzika, ponura, tam grzebień skał sinych, wyglądający zalotnie z łoża zielonych warkoczy, ówdzie osada jakaś od niechcenia na spadku góry rzucona, gdzieindziej jakaś ruina malowniczo w mchy i bluszcze ubrana, a w dali, w dali tuman mgły sinawej, przewijający się wężowym skretem, połyskujący od spodu tu i ówdzie odblaskiem zwierciadlanym. Tuman ten mimowolnie zatrzymuje na sobie uwagę i zmusza niejako zapytać:

— Co to?...

— Zadaj to pytanie serbowi, a odpowie ci z pewnym w głosie przyciskiem, zdradzającym coś, niby dumę:

— To... Dunaj..

Dunaj, mgłą spowity, przewija się w stronie północnej—i trzeba być człowiekiem miejscowym, trzeba wiedzieć, że on tam, ażeby domyśleć się od razu znaczenia tumanów, co się oparem z jego podnoszą łona i obłoczczą stą gazą dalszą zasłaniają okolicę. Bliżej zaś widać same tylko garby i lasy... lasy i garby, przedstawiające pozór

okiem nieobejrzanego pola, pokrytego kopcami i mogilami, na których ręka Przedwiecznego, równocześnie ze stworzeniem świata, nieprzebyte zasiała bory.

Śród kopców tych jeden, ten właśnie co najwyżej w górę wyskakiwał, nie miał drzewami porosłego ciemienia. Drzewa okrywały jeno boki jego, ustępując na wierzchołku miejsca trawie, która formowała rodzaj kobierca strzyżonego, zajmującego przestrzeń dość znaczną. Jedną przestrzeni tej stronę przerywała droga, a raczej ścieżka szeroka, która się z lasu wynurzała i w las się chowała i nad którą rosło w nierównych odstępach kilka grusz rozłożystych, niemających nic wspólnego z drzewami lasu, składającego się z buków, jesionów, jaworów i innych drzew, właściwych strefie i rodzajowi gruntu. Konary grusz tworzyły szalasy cieniste i w tym też snadź celu użytkowywane były, grunt bowiem pod niemi, udeptany i z trawy ogołocony, na obwodzie brzegów, równych rozłożystości sklepienia gałęzistego, oznaczony był popiołami ognisk zgąsłych. Mimo przechodziła droga, gładka i ubita, ale, jak rzekliśmy, bardziej do ścieżki aniżeli do gościńca podobna — bardziej do ścieżki, bo nieszeroka i niepokazująca śladów kół. Wozy nie przejeżdżały i przejeżdżać tamtędy nie mogły nigdy, nie mogłyby bowiem żadną miarą na tę leśną dostać się droge, którą drogą nazywamy, którejby jednak i ścieżką nawet nazwać nie można. Wyobraźmy sobie bowiem próg za progiem, ułożone równolegle i utworzone z ziemi ubitej. Taką była droga, wijąca się zygzakiem pomiędzy bukami odwiecznemi. Urobiły ją konie, wygniótszy kopytami jamy, które z upływem lat, wydeptywane coraz to głębiej i głębiej, przybrały kształt rowków poprzecznych, dzielących progi jeden od drugiego. Droga przeto składa się z progów dość wysokich i z rowków głębokości dwóch piędzi, po których wóz żaden nie mógłby ujechać kroków dziesięciu, pomijając to, że na każdym dziesięciu krokach musiałby razy parę osi o pnie buków i jesionów zawadzić.

Droga ta istniała jedynie dla koni i to objuczonych. Rowki służyły im za punkty oparcia przy wspinaniu się na górę i spuszczeniu się z góry. Ludzie piesi trzymali się onej, lecz po niej nie szli. Ludzie udeptali dla siebie po obu stronach drogi ścieżki, które towarzyszyły jej w lesie aż na wierzchołek góry i tam zlewały się z nią w jedno na kilkudziesięcio-sążniowej długości, ażeby znów się

od niej oddzielić przy wejściu do lasu na przeciwległej pochyłości.

Na drodze tej spotykamy ludzi, mających wystąpić w niniejszej powieści w charakterze osób działających.

Było ich sześciu. Co za jedni? — Niktby ich nie wziął za co innego, tylko za *trgowców* ¹⁾, o czym świadczyły konie, w liczbie trzydziestu kilku, osiodłane w *samarach* ²⁾, obarczone solą kamienną. Sól w dużych bryłach, przytroczona sznurami do *samarów*, ciężyla małym konikom. Uginały się pod nią i stękały, wyciągały szyje i kroczyły zwolna pod górę, przestępując krzyżowanym chodem próg po progu z ostrożnością świadcząca, iż po raz to nie pierwszy i nie dziesiąty tę podróż odbywają. Szły długim rzędem, jeden za drugim, każdy powrozem od uzdzy uwiązany do ogona swego poprzednika. Uwiązany nie był tylko ten, co postępował na czele, lecz był to koń pewny i tak drogi świadomy, że bezpiecznie samego puszczając go można było. Każdy dźwigał na grzbiecie ciężar, z wyjątkiem ostatniego, który miał wprawdzie na sobie *samar*, na *samarze* jednak nie sól była przytroczona, ale siedział człowiek.

Siedział wszakże nie ciągle. Snadź nudziła mu się jazda powolna. Zeskakiwał od czasu do czasu z *samara* i albo siedł samotnie, jak towarzysze jego, którzy w odstępach postępowali obok koni jeden za drugim, albo też przyłączał się do jednego z nich i zaczepiał go zapytaniem, takim naprzykład:

— Czy w tej stronie drogi takie tylko?...

— A takie... — odpowiadał zapytany.

— Innych niema?...

— Są i inne, ale daleko, za górami...

— Toć to droga nie do jeżdżenia!...

— Dla nas ona dobra... Rąja na niej bezpieczny.

Ten, co z konia zsiadł, uśmiechnął się na słowa te gorzkim uśmiechem.

Był to człowiek młody, nie tą jednak pierwszą młodością, co z młodocianym graniczy wiekiem, ale tą, co stanowi przejście do lat dojrzałych. Ubraniem nie różnił

¹⁾ *Trgowac* — handlarz

²⁾ *Samar* — siodło juczne

się od towarzyszków podróży. Miał na sobie smudziałową kurtkę z burego sukna z szerokimi rękawami, także szarawary szerokie, u spodu zwężone i na haftki zapinane, z pod kurty wyglądała koszula na piersiach otwarta, biodra otaczał szeroki wełniany czerwony pas, głowę przykrywał fez czerwony bez kutasa, na nogach miał płytkie trzewiki, krojem i szyciem świadczące o niskim stanie szewskiej sztuki. Towarzysze jego ubrani byli tak samo. Nie go więc od nich nie różniło. Jeżeli oni byli *trgowcy*, to i jego należało do tej klasy społeczeństwa serbskiego zaliczać; jeżeli zaś byli to *sielacy*²⁾, to i on nie mógł być czem innym. A przecież widzieć się w nim dawało coś, co różnicę stanowiło.

Najprzód latami młodszy był od innych — od każdego z pięciu, pomiędzy którymi trzech siwizna już okrywała, a dwom niewiele do sędziwych brakowało lat.

Powtórę: dlaczego, chociaż młodszy, jechał konno, podczas gdy starsi podróż pieszo odbywali?... Nie działo się to bez przyczyny, jak niemniej i to, że go towarzysze otaczali osobliwego rodzaju względnością, dochodzącą niemal rozmiarów uszanowania.

Oni szli, on jechał. Lecz się mu nudziło; a przytem siedzenie na samarce nie należy do najwygodniejszych, na takiej zwłaszcza drodze, jak ta, którąśmy opisali. Więc podróżny nasz zsiadł u stóp góry i już więcej nie wsiadał. Koń jego szedł sobie luzem, on zaś, przyspieszając nieco kroku, wymijał przewodników jednego po drugim i po chwili znalazł się obok tego, co się znajdował na przodzie.

— A!... — rzekł ten ostatni tonem półzartobliwym — nie podobało ci się na samarce...

— Jazda zanadto powolna... — odrzekł zagabnięty.

— Tobie snadź chciałoby się lotem sokola oblecieć Serbję wzduż i wszierz... Tobie potrzeba *szaraca*, na którym jeździł królewicz Marko... O! minęły te czasy... Minęły i Bóg wie, czy powrócą kiedy!... — dodał z westchnieniem.

— Powrócą może... — odparł młody podróżny.

1) *Sielak* — wieśniak.

Stary — był to bowiem z drużyny najstarszy, wąsacz siwy, nieco przygarbiony, ale krzepki — powtórnie westchnął i, machnąwszy kijem, tak dalej ciągnął:

— Dużo w mojem życiu widziałem, dużo pamiętam i dużo ojców naszych, co się już oddawna w grobach położyli, słyszałem... Było źle i jest źle... ot!... Ale oni się pocieszali i my się pocieszymy, że będzie lepiej... Czyż będzie?...

— Gdyby być nie miało, tobyśmy się nie pocieszali... odrzekł młody tonem pewnym i wyrokującym.

Starego ton ten zdziwił snadź i może nawet rozgniewał nieco. Spojrzał na towarzysza z ukosa, rzucił ku niemu wzrokiem surowym z pod brwi siwych, co mu niby dwa ostrzeszki nad oczami wisały. Ten jednak spokojnie, w rodzaju objaśnienia do słów poprzednich, dodał:

— Spodziewamy się, bo mamy prawo... prawo od Boga, które nam Turczyni przemocą wydarł... Prawo nam pozostaje wciąż jednakie, a przemoc się zużywa... Więc przyjsć musi kiedyś czas, w którym pierwsze weźmie nad drugą górę... chyba, iżbyśmy się sami prawa naszego zrzekli...

— A!... — krzyknął starzec, dłoń do góry podnosząc, jakby na wezwanie świadectwa nieba, widnego przez liściaste odwiecznych buków sklepienia. — Toęby ziemia wyrzuciła kości nasze!...

Po wykrzykniku tym długo ze sobą nic nie mówili. Wreszcie młody zapytał starego:

— Dokąd droga ta prowadzi?...

— W dolinę Mławy... — odrzekł zapytany.

— Jedna?...

— O, nie... za górą dzieli się...

— Ale na górę jedna? — podchwycił młody.

— Jedna... — odparł stary, odwracając się od towarzysza swego ku koniom, z których jeden w chwili tej utknął na progu.

— O he!... — krzyknął gromkim, w rodzaju naponnienia, głosem.

Odrzucił się w stronę towarzysza młodego. Lecz już go obok niego nie było. Dojrzał tylko na przodzie postać jego, migającą się pomiędzy drzewami. To go ani zdziwiło, ani zastanowiło.

Młody podróżny kroku przyspieszył. Nie znaczyło to, ażeby śpieszyć się miał. Bynajmniej. Koniki serbskie

solą obarczone, szły tak powolnie, że zwyczajny ludzki chód był dwa razy przy najmniej szybszym w porównaniu z ich chodem. Podróżny więc nasz puścił się krokiem zwyczajnym i wkrótce znalazł się daleko na przodzie. Karawana solna niebawem z oczu mu znikła. Słyszał ją jednak za sobą. Koń przodowy uwiązane miał na szyi brzękadło, którego odgłos rozlegał się po lesie całym. Lecz i to głuchło, głuchło i znikło, i podróżny po niejakiem czasie otoczony został poważną ciszą leśną, pełną tajemniczych szmerów i szeptów, nabrzmiałych uroczystą jakąś zagadkowością. Szedł, trzymając się drogi, która prowadziła pod górę ukośnie, załamywała się, znów szła ukośnie, aż nagle las się skończył i pokazała się łąka, panująca na wyżynie. Podróżny stanął, pot z czoła otarł i dokoła się obejrzał.

Patrzył, oglądał się. W miarę rozpatrywania się, twarz jego jaśniała, a oczy napełniły się wyrazem zachwytu niemego. Błądził wzrokiem po zielonej bezmiernej przestrzeni, oświeconej ukośnymi promieniami chyłącego się ku zachodowi słońca, i zatrzymywał je dłużej na pewnych punktach, które uwagę jego bardziej na siebie ściągają. W jednym miejscu, pośrodku bukietu drzew, wysuwał się do góry białawy dym i tworzył niby wspaniałe pióropusz; w innym orzeł krążył nad zębem skal; na widnokręgu, daleko, rysowały się kształty gór w postaci obłoków zniżonych. A niebo było bez chmurki; a słońce toczyło się wspaniale; a w powietrzu szumiał jakiś hymn cichy i uroczysty, zgodnym z łoną bezmiar bijący chórem, wznoszący się powoli i rozplywający się w górze.

— Boże! — westchnął podróżny.

Westchnienie to wydarło się mu z głębi duszy, przepełnionej zachwytem.

Po chwili rzekł głośno:

— Jakżeby tu mieszkać nie miała Wila!... O! nie jest ona wymysłem... jak utrzymują niektórzy...

I rozpatrywał się i dość napatrzeć się nie mógł. Przechodził z końca w koniec łąki; stawał i wędrował wzrokiem po rozwijającej się szeroko pod nogami jego panoramie. Niekiedy w zadumę wpadał.

Odgłos brzękadła przerwał jego rozpatrywanie się w okolicy. Niebawem z lasu wysunął się koń przedni, parsknął głośno i, uszedłszy kroków kilkadziesiąt, zwrócił z drogi pod gruszę, pod którą się zatrzymał, prowadząc

za sobą szereg cały koni objuczonych. Serbowie ze zwykłym sobie spokojem przystąpili do odwiązywania soli i rozsiadania koni z samarów.

— Cóż to? czy tu nocować mamy?... — zapytał młody podróżny, nie biorąc w pracy towarzyszy udziału.

— A tak... — odrzekł jeden.

— Do zachodu słońca godzina przynajmniej jeszcze...

Ten, do którego się wyraziły te odnosily, na słońce spojrzal i odpowiedział:

— Tak... ale do przybycia tam trzech godzin potrzeba najmniej... A i koniom, co takie pod górę dźwigały ciężary, należy się odpoczynek wcześniejszy...

Racja była dobrą. Więc też młody podróżny nie nie odpowiedział, tylko się z boku przypatrywał, z jaką wprawą ludzie ciężary na ziemię składali i z jaką radością uwolnione od nich konie najprzód na drodze się tarzali, a następnie na trawnik odchodzily.

— No... — odezwał się po robocie tej skończonej najstarszy z drużyny — teraz i nam spocząć pora.

Rozsiadanie zabrało czasu tyle, że słońce za widnokrąg nie zapadło jeszcze wprawdzie, lecz się już za góry spuściło. Grusze rzucały długie cienie. Pochyłości wschodnie tonęły w mroku wieczornym, który co chwila coraz to szerzył się dalej.

Serbowie do odpoczywania zebrali się nie odrazu. Opatrzyli pierwiej juki i odłożyli osobno kilka baryłek niewielkich, których na koniach widać nie było. Baryłki te musiały snadź coś w sobie zawierać drogiego, sądząc po staranności, z jaką je okryli. Stary miejsce dla nich wybrał, a wybierając, miał na uwadze, skąd wiatr ciągnie.

— Z zachodu... — rzekł, rzuciwszy do góry piórko, które się ku wschodowi uniosło.

Obszedł gruszę dokoła, odstąpił od niej kroków kilkanaście i zdecydował:

— Tu... Dym i iskry pójda tam...

Była to strona zachodnia. Na wskazany punkt zaniesiono baryłki i okryto je oponczami starannie.

Po dopełnieniu czynności tej, stary przeszedł na stronę przeciwną i na rozłożenie ogniska punkt wybrał i wyznaczył.

Szarzeć już poczynało. Zmrok gęstniał. Jedni znosili suche drewna, drudzy rozkładali na ziemi kilimki, inni układali sakwy i czutry. Stary wykrzesal ogień, który

rozdmuchany w pęk suchych badyli, buchnął płomieniem i posłużył do podpalenia drewniek. Zajęły się suche słomy. Płomień strzelił do góry. Serbowie obsiedli ognisko dokola, a pomiędzy nimi, obok starca zajął miejsce młody podróżny, który był biernym wszystkiego, co się robiło widzem.

— No... rzekł uprzejmie stary do młodego — teraz chyba nie pozostaje nam już, jak posilić się, czem Bóg dał i...

— Spać.... — dokończył młody.

Stary cmoknął, na znak przeczenia.

— Spać, toby można, gdyby nie hajducy...

Młody zdziwionym w oczy mu popatrzał wzrokiem.

— Czyż lękasz się, ażeby nie napadli?..

Stary ramionami ścisnął.

— Ktoby się tam lękał tego!... Hajducy nie napadają nas...

Na wyrazie „nas“ zabrzmiał nacisk znaczący.

— Czemu więc z powodu ich spać nie można?... — podchwycił młody.

— Hm... — mruknął starzec — mamy dla nich gościńiec, po który oni się zgłaszają: w czutrach wino krańskie, w baryłce czarny mak... Oni bo — dodał żartobliwie — taki naród, że bez maku wyżyć nie mogą...

Podróżny z kolei ramionami ścisnął, robiąc giest oznaczający, iż domyśla się zagadki jakiejś, lecz się takowej dochodzenia rzeka.

Podczas rozmowy tej inni, udziału w onej nie biorąc, krzątali się około przyrządzenia wieczerzy. Przed ogniskiem pojawił się obrus na trawie rozścielony, a na obrusie puszki drewniane, zawierające w sobie owoce ser, przetopione masło, miód, czerwoną paprykę i sól. Nakrywy do puszek zastępowały miejsce talerzy. Na jednej z takowych jeden z młodych nakrajał w talarki obranych ze zwierzchniej lupiny główek kilka cebuli; na drugiej inny układał pieczone na węglach zielone strąki papryki, które papryką czerwoną posypywał, inny znów łamał placki. Przyrządzenia te, świadczące, jako Serbowie lubią swego rodzaju komfort, czasu nie zabrały dużo. Wieczerza, składająca się z sera, miodu, surowej cebuli i pieczonej papryki, prędko gotową była. Starzec przysunął się do zastawy, skinął na młodego, towarzysza głową i odezwał się wesole:

— *Da pijemo, da jediemo, da se waselimo* (pijmy, jedzmy, weselmy się)...

Spółbiesiadnicy ani trochę prosić się nie dali. Nie wyszukane wprawdzie, nie wykwiłtne były potrawy, brak ten atoli wynagradzał sówicie apetyt potężny. Łamali placki, i nabierając na takowe raz sera, znów miodu, lub też zagryzając naprzemian to cebulą, to papryką, zmiatali z puszek i z pokryw wszystko, co do zmiatania było. Papryka, od której człowiekowi nieprzyzwyczajonemu świeczki w oczach stają, dzielnie do pobudzenia apetytu służyła. Jedli, aż za uszami trzeszczało, i odwilżali od czasu do czasu gardło z podawanej z rąk do rąk czutry, która do ust nachylona, belkot wydawała. Wino wywierało wpływ silny na apetyt, zdrowie i humor. Żarty przeplatały czynność spożywania darów bożych i tryskały żywiej pod koniec wieczerzy, kiedy przechylona do ust czutra belkotać przestała.

— Ot tobie i koniec... — rzekł stary, poprawiając się na siedzeniu. — Z próżnego nie nalejesz, to darmo... a krańskiego tykać nie można, aż przyjdą tamci...

Przedmuchiwał cybuch, wyjął z za pasa kapciuch, fajkę nałożył i zapalił.

To samo uczynili i inni. Na chwilę zapanowało milczenie poważne, zapelnione wciąganiem w piersi i wypuszczaniem przez nosy i usta kłębow wonnego dymu, który szedł ku ognisku, łączył się z płomieniem i unosił wraz z dymem w górę.

Nie masz nic poważniejszego, nad człowieka palącego fajkę z długiego cybucha. Nic tak nie nadaje człowiekowi tego, co się nazywa „kontenansem.“ Cygara i papierosy oznaczają upadek powagi.

Podróżni nasi wyglądali wielce poważnie, z cybuchami przy ognisku. Rzekłbyś, że to mężowie dumający nadlosami świata, zakopconego niesprawiedliwością i nieprawością. Czy, w samej rzeczy, dumali i o czem? — nie wiemy. Wiemy tylko, że dymili wszyscy bez wyjątku, że mieli oczy wlepione w ognisko i że odsapywali głęboko. Młodemu podróżnemu oczy się kleiły. Byłby może zasnął, gdyby go nie wstrzymywała ciekawość, która też wkrótce zaspokojoną została.

Przy ognisku, niby duch, pojawił się nagle człowiek, zupełnie inaczej, aniżeli podróżni nasi, wyglądający. Za nim, z cieniów nocy, wynurzył się drugi i trzeci. Oznajmił się pozdrowieniem:

— *Dobro wiecz* (dobry wieczór)... — pozdrowieniem, na które starzec, nie ruszając się z miejsca, odpowiedział:

— *Dobro doszli...* ¹⁾

Na nich odzież paradna, złotem i srebrem wyszywana. Z za pasów sterczały im głównie kindżałów i pistoletów perlami nabijanych. Na ramionach nieśli długie rusznice, o krótkich a mocno wygiętych łożach, suto inkrostowanych.

Przyszli, rusznice z ramion zrzucili, przed sobą je postawili i na nich się poopierali. Wyglądali jak trzy posągi rycerzy wschodnich.

— *Dobro doszli...* — powtórzył starzec po chwili.

— *Fala Bogu...* ²⁾ — odrzekł z przybyłych jeden powolnie.

— Jeśli wola, zasiądźcie obok nas... Mamy tam dla was *ładne wino* ³⁾ — w czutrze i czarny mak w baryłce...

— *Fala...*

Podróżni się rozsunęli. Nowoprzybyli zajęli wśród nich miejsca.

Jeden z przybyłych, jak się zdaje starszy pomiędzy swoimi, usiadłszy, zrobił przegląd podróżnych naszych patrząc każdemu w oblicze.

— To stary Hadzi Petar... — mówił — a to Gica, a to Dymitr, a to Michaj, a to Żoka... A toż kto? — zapytał, zatrzymując na młodym podróżnym wzrok.

— Ciekawyś... — odrzekł stary.

— Toć to prawo moje, ciekawym być... Na tem hajducka sztuka cała, ażeby wszystkich znać i o wszystkim wiedzieć.

— Niech ci on powie sam, kto on taki...

— Nazywam się Marko .. — rzekł młody.

— Nasz, czy nie nasz?

— Popa Dżura za niego ręczy, — wtrącił Hadzi Petar niby od niechcenia.

— A... — była cała hajduka odpowiedź, oznaczająca, że wiadomość ta wystarcza dla niego jaknajzupełniej.

— Wieście z za Dunaju sól... Cóż tam za Dunajem słyhać?...

¹⁾ *Dobro doszli* — dobrze, żeście przyszli.

²⁾ *Fala Bogu* — Dzięki Bogu.

³⁾ *Ładne wino* — chłodne wino.

— Ot ludzie bają że będzie *kauga* ¹⁾. Ale ludzie, zwyczajnie jak ludzie... Czy to im wierzyć?... No, a u was co nowego?

— U nas?... stare dzieje... jak zwykle w hajduckiem rzemiośle... raz na górze, drugi raz na dole... Ot, Mita w starych szalwarach chodzi; chciałby zdobyć nowe, ta nie może... Już Turków zabił czterech...

— Dla szalwarów?... — wtrącił Marko, tonem nieco zdziwionym.

— A no!... Ostatniego szkoda!... Takie miał *liepe* ²⁾, czerwone, złotem szyte i nowiutkie...

— Cóż, chyba go odbili mu?... czasu nie miał zdjąć?...

— Gdzie tam!... zdjął, ale Turczyn, *majka niegowa* ³⁾ w szalwary...

— Tfu... — splunął stary i zaklął, oburzając się z powodu krzywdy, jaka się Micie stała.

— Takie to rzemioło nasze!... — rzekł hajduk z westchnieniem. Trudów dużo, niebezpieczeństwa więcej jeszcze, a gdy człowiek po nagrodę rękę wyciąga... patrz!... na drodze ją rzucić musisz!...

— *Zdrowie!*... — odezwał się Hadzi-Petar, przykładając czutrę z kraińskiem winem do ust.

— *Zdrowie!*.. — odparł hajduk.

Czutra poszła wkoło, z rąk do rąk podawana.

Przerwana rozmowa znów się zawiązała, wywołana przez Marka, który, z wyrazem mocno nateżonej ciekawości, przypatrywał się i przysłuchiwał hajdukom.

— Czy was dużo?... — zapytał.

— Kogo... was?... — odparł hajduk...

— Zapytuję o hajduków.

— Ktoby ich tam policzył!.. raz jak liści na drzewie; znów zejdz wszystkie serbskie *planiny* ⁴⁾ i *szumy* ⁵⁾, nie znajdziesz ani jednego... My schodzimy jak gwiazdy na niebie i jak gwiazdy znikamy...

¹⁾ *Kauga* — wojna.

²⁾ *Liepy* — piękny.

³⁾ *Kłatwa serbska*.

⁴⁾ *Planina* — góra.

⁵⁾ *Szum* — las.

— Hm... — mruknął Marko. — Odpowiadasz mi, bracie, jakbyś się mnie lękał, a ja po to przybywam tu właśnie, ażeby się dowiedzieć, czego chrześcijanom nie dostaje, ażeby Turczyna tłuc mogli, jak należy.

Hajduk spojrział na Hadzi-Petara. Starzec głową na znak potwierdzenia kiwnął:

— Toż ty, bracie, w dobrym przybywasz celu!... Kiedy tak, pytaj... będę ci po ludzku odpowiadał, człowiecze...

— Pytam: czy dużo was hajduków?...

— Jak kiedy... Zimą mało, na wiosnę dużo, a latem i w jesieni... ot... tyle ile potrzeba. Każda góra ma harabaszę swego, którego zna okolica cała... Spytaj no o hajduka Milenka w Pożarewcu — rzekł z akcentem dumy — albo w Jagodynie...

— Dziwo, że go w Jagodynie znają — wtrącił stary — gdzie stoi *kutia* ¹⁾, w której się urodził...

— I gdzie rośnie dziewczynka, do której serce jego lgnie... — dodał hajduk wesoło.

— Oj!.. wam w planinach dziewczynki tylko w głowie...

— Takie zwłaszcza, jak wnuczka twoja, *babo* ²⁾ Pe tarze... Aby jej ino Turczyn nie zoczył..

Stary ręką machnął.

— Nie kłopotz się o to... Pilnujemy jej, jak oka w głowie...

Hajduk się zamyślił, jakby coś sobie przypominał.

— Toć już lat sześć, jak jej nie widziałem... Musiała się z niej zrobić *liepotica* ³⁾... a!...

— Przyjdź kiedy i zobacz... — odparł Hadzi-Petar pół-żartem.

— *Boga mi*, posłucham, *babo*, twojej rady.

¹⁾ *Kutia* — chata.

²⁾ *Baba* — dziadek.

³⁾ *Liepotica* — piękność.

I jakby na dodanie sobie ochoty, pociągnął z czutry haust duży i, podając naczynie z winem swemu pobocznikowi, rzekł z przyciskiem:

— Prawdziwe negotyńskie!... chłodne, a w krew ogień wlewa... — i dodał:

— Ale to już późno... Czas pospać trochę... Bądźcie zdrowi, zobaczymy się w Jagodynie...

Wstał. Wstał i Marko, poszedł za hajdukiem i długo coś ze sobą rozmawiali.

2. Serbska rodzina.

W pełnym malowniczości nieładzie spędzili podróżni nasi noc przy ognisku. Każdy na miejscu, na którym siedział, tylko się przechylił, zwierchnię odzież na głowę naciągnął, nogi na ogień wystawił i zasnął. Pogoda była eicha. Ognisko paliło się równym płomieniem, posyłając pod wyskrzzone gwiazdami niebo kłęby czarnego dymu. Łasy pogrążone były w głuchej ciszy. Śród której zabrzmiało niekiedy ozwanie się puhaacza, lub syknął pisk sarny. Serbowie spali jak zabici.

Lecz zaledwie natura ze snu się budzić zaczęła, zaledwie słyszeć się dał ten szmer, co to w lasach oznacza ruszanie się ptaków na gałęziach, alści Serbowie już na nogach byli. Szybko, chociaż bez zewnętrznych pośpiechu oznak, odbywało się siodłanie i juczanie koni. Miejsce pośpiechu zastępowała wprawa. Koniki, acz z niechęcią, poddawały się swemu losowi i jeden po drugim, obciążone ciężarem, stawały w szeregu. Zauważymy szczególnie jeden pod względem juczania, ten mianowicie, że baryłki, o których wspominaliśmy, a z których parę hajducy ze sobą zabrali, tak były zręcznie ukryte, że ich wcale widać nie było. Niby to wszystko znajdowało się na wierzchu. Bryły soli wisiały przytroczone sznurami. A przecież te-

mi bryłami zamaskowano baryłki, które, od pierwszego zwłaszcza rzutu oka, dostrzedz się nie dawały.

— Hadzi-Petar cmoknął. Karawana ruszyła.

— Z Bogiem... w *dobar put'* ¹⁾ — rzekł starzec głośno.

Pierwszy brzask dzienny powitał ich, kiedy się zanurzali w las, i wkrótce brząkadło konika przewodniego budziło echa, drzemiące w pasmach i ostępach.

Nie będziemy krok w krok śledzili podróżnych w ich powolnej wędrówce, odbywającej się w sposób bardzo zwyczajny. Nie będziemy zatrzymywali się z nimi na popasach i noclegach, ani też opisywali pobytu ich we wsiach, przez które przeciągali. Musimy jednak szczegółów parę podnieść, a raczej zanotować, ażeby nie powiedziano, żeśmy lekceważyli ciekawość ludzi, co niniejszą powieść czytać będą.

Jednym ze szczegółów, na uwagę zasługujących, było to, że tak Hadzi-Petar, jako-też towarzysze jego byli znani doskonale przez wszystkich sielaków, z którymi się spotykali. Wszędzie witano ich po imieniu i z tą uprzejmością, która jest zażyłości wynikiem. Wszędzie rozpytywano ich z osobliwym zajęciem: co tam na tamtej stronie słychać? Jeden tylko Marko był dla wszystkich obcym i okazywano względem osoby jego pewien rodzaj niedowierzania, które rozpraszał Hadzi-Petar za pomocą wymówienia nazwiska „Popa Dżuro“.

— Popa Dżuro?.. a!.. — powtarzał każdy.

I niedowierzanie... niby ręką odjął.

Drugim szczegółem było, że w każdej wsi Hadzi-Petar zostawiał po jednej, albo i po dwie z owych baryłek, które w sposób tajemniczy brano i chowano, jakby skarb jaki.

A ponieważ dotknęliśmy materji szczegółów ciekawych, więc wymieńmy jeszcze jeden, tyjący się wyłącznie Marka.

Marko posiadał w zanadru mapę geograficzną, która niezmierny w towarzyszach jego wzbudzała podziw. Była ona podklejona płótnem i w kilkoro złożona, a obejmowała tę część porzecza Dunaju, w którą wpadają Timok, Mława, Morawa i Sawa, posuniętą do źródeł trzech pierwszych

¹⁾ *Dobra put'* — dobrej drogi.

z wymienionych rzek. Stanowiła ona widocznie część mapy ogólnej, zrobionej na wielką skalę. Marko wydobywał ją od czasu do czasu i robił na niej ołówkiem znaki, poprzedzając zazwyczaj to zajęcie pytaniami, zadawanemi szczególnie Hadzi-Petarowi, a odnoszącemi się do rodzaju i kierunku dróg i ścieżek, pokrywających siecią swoją tę część kraju, przez którą przeciągała karawana dostarczycieli soli. Hadzi-Petar powiadał, że w życiu swoim widział wiele rzeczy, ale podobnego dziwa nie widział jeszcze.

— Ta i co to to?... — spytał, spoglądając na dziwo to z ukosa.

— Obraz kraju... — odpowiedział Marko, chcąc za pomocą określenia rzeczy wytłómaczyć znaczenie onej.

— Obraz kraju?.. Hm... Gdyby to był obraz, to jabym go poznać powinien.

Marko objaśniać musiał znaki umówione, używane do oznaczenia gór, rzek, lasów, granic, miast i dróg.

— Bre... bre... — mówił Hadzi-Petar i głową krecił. — Wszystko to wymyśli szwabskie. No... to niby tam droga naznaczona, a którądyż-byś poszedł, żeby do Jagodyny zajść?

Marko spojrział na mapę i wymienił wsi kilka.

Hadzi-Petar cmoknął razy parę, na znak zdziwienia.

— A do Zajczaru?..

Odpowiedź na pytanie to zdziwiła go bardziej jeszcze.

— *Otca mu!* ¹⁾ — zawołał. — No, ale obraz ten nie powie ci przecie jednej rzeczy: jak daleko z Jagodyny, naprzykład, do Zajczaru?..

Marko rozłożył mapę, wydobył cyrkiel i zaczął:

— Z Jagodyny do Cziuprii *sahatów* ²⁾ dwa i pół...

Hadzi-Petar szeroko oczy otworzył.

— Z Cziuprii do Paratina *sahatów* dwa... Dwa i pół a dwa, to cztery i pół... Dalej...

Tu przerwał sobie, zapytując:

— Którąż mierzyć mam drogę: czy tę, co idzie *brdami* ³⁾ na Jablawicę, czy tę, co się Wielkiego Timoka

¹⁾ Kłątwa w ojca.

²⁾ *Sahat* — godzina.

³⁾ *Brda* — góra.



trzyma?... czy tę, co przechodzi przez Banią i przez Gurgusowac?..

— Dosyc... — dosyc... — odpowiedział Hadzi-Petar, ręką machając — Dosyc...

— Chciałeś, *babo*, wiedzieć...

— Chciałem tylko wiedzieć, czy to prawda, co na obrazie tym napisano stoi... No!.. — zamysłił się na chwilę. — Ale to wypadaloby jeszcze sprawdzić — rzekł powoli, kładąc nacisk na wyrazy — czy ty, synku, w stroinach tych po raz pierwszy?..

— Boga mi... — odparł Marko z uśmiechem — w życiu noga moja nie postala tu nigdy...

Starzec głową z niedowierzaniem kiwał.

— Chybaż popa Dżuro opowiedział ci wszystko.

— Nigdy nie mówił z nim o tem...

— To jakże? to niby to z tych dwóch igiel rozkraczonych — rzekł, palcem na cyrkiel ukazując — które stawiasz raz tak... drugi raz tak... dowiadujesz się, ile sahatów stąd dotąd?... Ej... synku... za młodyś na to, aby oszukiwać starego...

Ze snadz Markowi niebardzo chodziło o to, ażeby wiarę pod względem tym zdobyć, więc tylko ramionami ścisnął.

Z wypadków podróży nie mamy ani jednego, któryby zasługiwał na wzmiankę szczególną. Nic nie przytrafiło się osobliwszego. Szli — przechodzili przez góry i lasy; mijali wsie, i mimochodem zatrzymali się w monasterze Manassja, w którym się pokłonili pięknym obrazom, zostawili kaługierom upominek na utrzymanie klasztoru i wysłuchali legendy o budowaniu cerkwi manassyjskiej, opowiedzianej przez gęslarza ślepego:

Crkwu gradi serbski car Stepane,
Crkwu gradi Dżuro neimare.

Legendę tę naszemi opowiemy słowami. Car Stefan nakazał budowniczemu Dżurowi, ażeby, nie żalując złota ni marmuru, pobudował cerkiew największą i najpiękniejszą. Dżuro buduje przez lat dziesięć. Kiedy skończył i pięknie się z carem obrachował, car rzecze do niego:

— O, na Boga, Dżuro, kiedy ty po białym pójdziesz świecie, białe monastery budować będziesz, powiedz, czy pobudujesz cerkiew piękniejszą?..

Dżuro się namyślił i tak carowi odpowiada:

— Boga mi, serbski carze Stefanie, piękniejszych cerkwi nie widziałem, ale mógłbym zbudować, gdybym miał więcej złota i marmuru...

Za odpowiedź tę wylupił car budowniczemu oczy i tak do niego przemówił:

— Idź-że teraz, Dżuro budowniczy, bez oczu po białym świecie, kiedyś mnie posłuchać nie chciał.

Gniewliwie Dżuro klnie cerkwi manassyjskiej:

— Manassjo, bodajbys ty ogniem zgorzała! bodaj Turczyn bożnicę swoją na miejscu ołtarza przezemie postawionego założył! kiedym przez ciebie oczy postradał..

Poszedł Dżuro w świat bez oczu trzy jeszcze cerkwie piękniejsze pobudował, a czwartej fundamenta założył, bez oczów, jakby z oczami był. A wciąż kłął cerkiew Manassja i co rzekł, to się jej stało.

Śluchał tej pieśni uważnie Hadzi-Petar, i Marko, i wszyscy znajomi nasi, i wielu jeszcze innych ludzi, co się do monasteru zeszli na pokłon. Kiedy podróżni nasi spuszczała się z gór w dolinę Ressaywy, Hadzi-Petar w następujące do Marka odezwał się słowa:

— Czyś zapamiętał ty, co gęslarz w pieśni opowiedział?..

— Zapamiętałem... — odparł Marko.

— Otóż widzisz.. ten Dżuro neimare, toć on podobny do serbskiego narodu, a ten car Stepan do Turczyna. I budowaniu cerkwi możnaby podobieństwo znaleźć... Turczyn wylupił naszemu narodowi oczy...

Marko pełnym zdziwienia wzrokiem zmierzył starca od stóp do głowy.

— Czyż nie tak?.. — rzekł Hadzi-Petar spokojnie. — Wylupił nam oczy... My ciemni...

— I pociemku widzicie... Oto dopatrzyliście w pieśni tego, czego w niej ani się domyślał...

— Boga mi!.. Widzę, co jest... Wylupił nam Turczyn oczy, jak car-Stefan Dżurowi, ażebyśmy piękniejszych i lepszych od tej, co on nakazał, cerkwi nie budowali, a my... z wylupionemi oczami...

— Pobudujecie!.. — zawołał Marko w uniesieniu, którego powściągnąć nie umiał.

Uniesienie to zdziwiło trochę starego Serba. Ścisnął

ramionami i wąsy palcami pogładził. Marko tymczasem zimną krew odzyskał.

Szli dalej. Z doliny Ressayy, posuwając się powoli, dostali się w dolinę Morawy, przeszli przez żyzne zaodłogowane łąki, przeprawili się przez rzekę i na drugi dzień po wyjściu z monasteru, na godzinę przed słońca zachodem, u kresu podróży swojej stanęli.

W Jagodynie dostawiciele soli rozdzielili się. Gica konia jednego odwiązał, za uzdę go wziął i poprowadził w swoją stronę; to samo uczynili Dymitr, i Michał, i Żoka. Przy starcu pozostał koń przewodni z pięciu temi. co szły za nim i z dodatkiem tego ostatniego, co dla Marka przeznaczony był. Ten w sakwach niósł jakieś osobliwe go kształtu instrumenta, któremi się Marko w czasie podróży posługiwał niekiedy, wzbudzając za każdym razem podziw w towarzyszach swoich. Hadzi-Petar kiwnął na niego głową.

— Tyś mój gość... Popa Dżuro polecił mi, ażebym cię pilnował jak oka w głowie... Ty się nazywasz Marko i przybywasz z tamtej strony, dowiadując się, czy niema w tych stronach na sprzedaż wołów i owiec i po jakiej cenie... Rozumiesz?..

Ostatni wyraz wymówiony był z gięstem znaczącym. Marko skinieniem głowy odpowiedział potwierdzająco.

— Będiesz się rozpytywał o woły i owce, a jak zechcesz, to i o świnię: bo choć to Turczyn świnek nie lubi i za nie chrześcijanom dokucza, ale gdzie o *nowce* ¹⁾ idzie, tam się przez palce patrzy... Przytem ty się będziesz rozpytywał tylko... Rozumiesz?..

— Ale będę ja potrzebował posłańca pewnego do wysłania listów na tamtą stronę...

— O to się nie kłopotaj... Napisz tylko list drobnem pismem, a ja znajdę już posłańca, co ci go odniesie, choćby do Becza ¹⁾ samego...

Ostatnie wyrazy wymówił we wrotach mieszkania swego, do których na spotkanie i powitanie starca wybiegła kupa ludzi. Powiadam „ludzi“ w znaczeniu ogólniko-

¹⁾ *Nowce* — pieniądze.

¹⁾ *Becz* — Wiedeń.

wem, obejmując tym wyrazem dzieci i kobiety. Te ostatnie jednak. ujrawszy człowieka obcego, pierzchły, niby spłoszone stado ptactwa i ukryły się w głębi domu. Pozostały tylko dzieci, które wesołem kółkiem starca otoczyły, i paru dojrzałych mężczyzn, którzy się zajęli konmi.

Dom Hadzi-Petara leżał na przedmieściu, na którym Jagodyna nie wyglądała bynajmniej na miasto. Była to już wieś, tem jedynie od wsi prawdziwych różna, że chaty miały pozór nieco pokaźniejszy, lecz nie na zewnątrz. Dom naprzykład Hadzi-Petara, bokiem do ulicy postawiony, wyglądał na szopę. Ściana zewnętrzna, zbudowana z drzewa i szarą oblepiona gliną, nie miała okien, ani drzwi i stanowiła jeden ciąg z płotem wysokim, także gliną oblepionym, który otaczał podwórze i ogród, łącząc się z podobnemi płotami sąsiednich podwórz i ogrodów. Nad ścianą wznosiła się strzecha, nad płotem sterczał ostrzeszek oto co pierwszą od drugiego różniło. Wielkie wrota otwierały się na małe podwórze, zapelnione budynkami różnego rodzaju. Jedną stronę zajmowała chata, niska i uboga wyglądająca, naprzeciw chaty szopa podłużna, od ulicy druga szopa, w głębi piec z kominem i z wmurowanym kotłem do pędzenia gorzalki, obok pieca lamus, obok lamusa chlew — a wszystko to skupione, ściśnione, jedno na drugie niemal wsadzone. Zdawałoby się, że właściciel, mając zbyt mało miejsca, starał się zużytkować każdą piędź gruntu. Było to jednak złudzenie, albowiem zabudowania podwórzowe maskowały sobą drugie podwórze, na które się wchodziło ciasnem przejściem pomiędzy lamusem a piecem. Przejście to zamykała furtka, zawieszona nad schodkami. Drugie podwórze, obszerniejsze od pierwszego, miało pozór jakiś jaśniejszy, co zapewne stąd pochodziło, iż chata niska i uboga zmieniała się tu w domek, ozdobiony z frontu w krążganek, zwany czerdakiem, i że w głębi rozlegał się obszerny ogród, odgradzony niskim płotem, który nie zasłaniał widoku rosochatych jabłoni i czereśni, wyciągających konary ponad podwórze. Domek znajdował się pod jednym z chatą dachem i miał z nią nawet wewnętrzną tajemną komunikacją; był jednak od niej nieco wyższy i nierównie pokaźniejszy. Czerdak na słupkach rzeźbionych, z balustradą drewnianą i dywanami, okna największe pęczkami zaklejone i dach stanniej posyty, czyniły go prawie pięknym pod względem architektonicznym. Pierwotność sztuki przedstawiała się

tu z pewnym wdziękiem, zdolnym zadowolić gust niezbyt wybredny. Co do wewnętrznego rozkładu, chata tem się od domku różniła, że w pierwszej znajdowała się sień obszerna i dwie izby po dwóch stronach, w drugim zaś sień ciasna i kilka izdebek, pomiędzy którymi jedna największa wychodziła oknami na czerdak i służyła za miejsce zgromadzeń dla licznej rodziny.

Z opisu tego zmiarkować łatwo, iż pomieszkaniem Hadzi-Petara budowane było z uwzględnieniem panowania tureckiego. Chata — było to mieszkanie na pokaz; domek był mieszkaniem prawdziwym, albo raczej schronem przed nieprzyjacielem, którego najścia oczekiwano nieustannie. Jeżeli najście ograniczało się odwiedzinami, przyjmowano niemiłych gości w izbie frontowej — rodzina pozostawała spokojną; jeżeli zaś zdradzało zamiary napastnicze, część niewieścia i słabsza miała możność i czas zniknąć w zarosłach ogrodu, wynieść się do ogrodów sąsiednich, lub szukać ratunku w polu. Tureckie zwyczaje uczyły raje ostrożności i czujności.

Umeblowanie, w znaczeniu, jakie nawykliśmy do wyrazu tego przywiązywać, nie istniało w pomieszkaniu Hadzi-Petara. Nie było w niem ani stołów, ani łóżek. Sprzęty te, uważane gdzieindziej za niezbędne, zastępowały kilimki domowego wyrobu i podłużne, wełną wypchane, poduszki, które rozkładano na podłodze. Na podłodze siadano i sypiano: w dnie chłodne około komina, którego duży okap, naczyniami kuchennymi obwieszony, zajmował część izby; w dnie pogodne i ciepłe gdziekolwiek, najczęściej na dworze, na czerdaku lub w ogrodzie. W ogrodzie było najwygodniej. Liczna rodzina miejsca potrzebowała dużo.

A liczną była rodzina. Hadzi-Petar miał synów pożeńionych i córki za mąż powydawane. Córki poszły za mężami; lecz synowie sprowadzili żony do chaty ojcowskiej i napelnili ją gromadką wnucząt, wynoszącą półtora tuzina młodzieży, w liczbie której część była dorosłą, część dorastającą, a część przy ziemi się jeszcze trzymającą.

Do pierwszej części należała Anka, której ojcem był Żiwko, najstarszy z synów Hadzi-Petara, ożeniony przed dwudziestu paru laty ze Staną, córką najzamożniejszego w Jagodynie koźucharza.

Wspominamy o niej w tem miejscu mimochodem, zastrzegając sobie prawo rozpisania się o wnuczce Hadzi-Petara później. Wspominamy zaś o niej dlatego tylko, ażeby istnienie jej zaznaczyć, wyróżniając je wśród tej gromady dzieci, której obecność pod jednym dachem tłomaczy się przyjętym i zachowanym przez południowych Słowian zwyczajem trzymania się całemi rodzinami w kupie — w *zadrudze*. Zwyczaj to czysto patriarchalny. *Zadruga* znaczy spółkę naturalną pomiędzy ojcem a dziećmi, spółkę w zasadzie nieustanną, idącą z pokolenia w pokolenie, zostającą pod zarządem głowy rodziny, a po jej śmierci pod zarządem przewodnika wybranego. Jest to, jak się zdaje, zabytek pierwotnego kształtowania się Słowian w społeczeństwo. Zabytek ten przechował się w Serbji do dziś, za czasów panowania tureckiego trwał w całej swojej sile i bodaj czy nie jemu to głównie zawdzięcza pozbawiony politycznego bytu naród zachowanie o bycie tym pamięci. Nie będziemy się jednak nad tą dziejową zastanawiali sprawą. Przyjmujemy nagi fakt, wspominając o nim dlatego jedynie, ażeby wytłomaczyć, dlaczego rodzina Hadzi-Petara tak liczną była.

Rodzina ta cała wysypała się na powitanie starca, wracającego z podróży; lecz, ujrawszy człowieka obcego, cofnęła się w żeńskiej swojej części i ukryła w głębi schronu drugiego podwórza. Ukryła się... w taki atoli sposób, ażeby móżdż widzieć, nie będąc widzianą. Gdyby Marko posiadał wzrok bystry i przenikliwy, mógłby był w szczelinach i szparach dopatrzeć tu oko, tam oko, ówdzie oko, wpatrujące się w niego ze szczególnem nateżeniem i oglądające go od stóp do głowy. Kilka par oczu przypatrywało się mu ciekawie, lecz niedługo. Hadzi-Petar, zdjawszy z jednego konia biesagi i zarzuciwszy je sobie na ramię, skinął na gościa i poprowadził go na drugie podwórze. Kobiety cofnęły się natychmiast dalej. Marko zachwyił okiem kilka postaci, znikających jedne w domku, drugie wśród drzew ogrodu. Tylko jedna zatrzymała się we drzwiach. Była to niewiasta sędziwa, stara majka, małżonka Hadzi-Petara, a babka młodego pokolenia. Zatrzymała się we drzwiach, złożyła dłonie na piersiach i głębokim pokłonem pozdrowiła męża i gościa.

Starzec powitał ją w imię Boże; ona mu w imię Boże odpowiedziała i w rękę go pocałowała.

— Cóż tu słyhać, Milewo?..
 — Wszystko dobrze, Bogu niech będą dzięki...
 — Nowego nic?..
 — Nic, Bogu najwyższemu i miłosiernemu chwała...
 — No, to i dobrze... — rzekł starzec wesolo. — Przy-
 prowadzam gościa, którego uczcić potrzeba...

To mówiąc, ukazał Markowi dywan na czerdaku i zaprosił go, ażeby miejsce zajął, sam pierwszy zasiadając i po turecku nogi pod siebie podginając. Marko na drugim usiadł końcu. Kruźganek zapełniła dziatwa, z wyrazem ciekawej chciwości spoglądając na biesagi, które starzec obok położył.

— Hm, wy się tam domyślicie czegoś... — rzekł ten ostatni po chwili.

Dzieci wzrok na obcego przenieśli człowieka, spoglądając na niego z podebą, jakby się go wstydzili. Wnet jednak uwagę od niego odwróciły, jak tylko spostrzegły, że starzec ręką do biesagów sięgnął i wydobył z takowych najprzód... piernik.

— Ot to tobie...

Pogarnęło się kilkoro. Piernik atoli dostał się jednemu chłopakowi, który pilniejszego nie miał nic, jak do ust go ponieść.

— Pss... — syknął starzec. — Poczekaj!.. Będziesz jadł, gdy obdzielę wszystkich... zjadłbyś bowiem najpierwszy i potem zazdrościł innym...

Chłopak dziadka posłuchał, ale ujął piernik obydwiema rękami i oczy w takowy wlepił.

Starzec ręką do biesagów sięgnął i wydobył obwarzanek, który dał jednej z dziewczynek. W sposób ten obdzielił wszystką dziatwę; gdy zaś goście rozdał, zawołał:

— Hajda!. — i ręką skinął.

Dziatwa hurmem z czerdaka na podwórze ruszyła. Dwoje się na schodach wywróciło. Jedno w płacz uderzyło. A każde niosło w rękach gościniec, przez dziadka z nad Dunaju przyniesiony. Wydawało się im, że pierniki te, obwarzanki i wykrętańce, którym podobne i Jagodyna wyrabiała, smaczniejsze były dlatego, że pochodziły zdaleka.

Gdy dziatwa znikła, jeden z Hadzi-Petara synów przyniósł dużą miednicę pobielaną, przykrytą nakrywą

wyrzynaną, z kawałkiem białego na nakrywie mydła, i z nią do gościa podszedł. Marko znalazł snadź zwyczaj miejscowe. Nachylił się i ręce wyciągnął. Syn gospodarski woda mu zlewał. I odbyło się obmywanie, które się rozpoczęło od twarzy, a skończyło na nogach. Podobną ceremonję i Hadzi-Petar odbył.

Syna gospodarskiego zastąpiła wnet z synowych jedna. Ta wniosła niewielką tacę mosiężną, polyskującą jak zwierciadło, a na niej dwie buteleczki malutkie, z kształtu podobne do tych, w których wędrowni z Węgier przekupnie ambre u nas sprzedają. Buteleczki te napełnione były płynem żółtawym.

— Zanim dadzą nam posiłek jaki, napijmy się słowicy... — rzekł gospodarz.

Marko jedną z buteleczek do ust przechylił, płyn, bulkocząc, wlał mu się w gardło, a kiedy wypił, kobieta cmoknęła przeciągle, jak się u nas cmoka na dzieci w pieluchach, i rzekła:

Na zdrowie...

Hadzi-Petar wychylił buteleczkę drugą, odchrząknął i dtonią się po żołądku pogladził.

— Teraz spoczywajmy... Nic lepszego do czynienia nie mamy...

Poprawił się i lokiem się o poręcz dywana oparł.

Nie był to spoczynek wygodnisi. Dywanem nazywała się deska twarda, kilimkiem pokryta, — na niej się siedzieli; do oparcia służyły materace wełniane. Na tem polegał zbytek cały, któryby niejednemu z ludzi Zachodu, przywyktemu do puchów i jedwabów, ciężki ból kości sprawił. Nasi znajomi jednak nie byli wymyślni. Usadowieni na deskach i oparci o materace wełniane, od poczywali wymiennie, przypatrując się krzątaniu się rodziny około przygotowań do wieczery — przygotowywających się zupełnie tak, jak się odbywały przyjęcia gości wedle opisów biblijnych. Zarznięto koźlą młode; rozpalono ognisko na środku podwórza i pieczono je przy płomieniu na różnie drewnianym. Tem się zajmowali mężczyźni. Przy drugim zaś ognisku, które w izbie na kominie gorzało, kobiety zawieszały kociołki i przystawiały garnuszki, w których różne potrawy i przyprawy gotowały. Wszystko to szło prędko i zgodnie. Ta z kociołkiem się porała, owa garnków doglądała, inna ciasto

miesiła. Niebawem woń dopiekającego się koźlęcia mieszać się poczęła na podwórzu z wonią ziół i kwiatów ogrodowych. Kobieta, co ciasto miesiła, przerabiała z niego placki, które w kominie na oczyszczonej z rozpalonego węgla płycie kamiennej upiekała; a w tymże czasie inne nakryły i zastawiły stół — stół, to jest duży krządek drewniany, z przybitą pod spodem, na piędź wysoką, podstawką. Stół ten — *astal*, w niektórych okolicach Serbji zwany z grecka *trapezą* — przykryty białym obrusem, zastawiony był potrawami takimi samymi jak te, które jadali Abraham, Izaak i Jakób. Niewiemy tylko, czy znali oni paprykę, nadającą polewce kolor czerwony i smak piekący; ale znali i spożywali: ser świeży, śmietaną, owoce, miód w plastrach i pieczyste z koźlęcia.

Do wieczerzy zasiedli mężczyźni sami: Hadzi-Petar, gość i synowie gospodarza. Kobiety usługiwały. Działy ani śladu nie było.

Jak się podróżnym, jak się domownikom jałło — sprawa ta w takim tylko razie należećby mogła do powieści naszej, gdyby pomiędzy biesiadnikami znalazł się który pozbawiony apetytu, albo też obdarzony apetytem nadzwyczajnym, z powodów, należących do tego rodzaju budulcowego materiału, z którego powieściopisarze klecą fantastyczne wyobraźni własnej lepianki. Takiego atoli biesiadnika pomiędzy tymi, co przy blasku świeczki lojowej wieczerzali na czerdaku Hadzi-Petara, w rzeczywistości nie było. A zatem jedzenie milczeniem pomijam. Natomiast podniosę okoliczność jedną, która kto wie, czy nie wywrze jakiego wpływu na dalszy los osób, występujących w opowiadaniu naszym.

Okoliczność ta jest następująca.

Kiedy Marko, siedząc na czerdaku, odpoczywał, zagrożony w dumaniu, nagle jakby się ze snu ocknął. Dumanie pierzchło. Wzrok Marka się wyteżył i szedł przez chwilę, niby cień za mknącą po niebie chmurką, za postacią dziewczęcą, co się przez podwórze przesunęła, przy ognisku, przy którym się koźlę piekło, trochę powstała i znikła. Markowi w piersiach zrobiło się jakoś... nijako; westchnął lekko i... ślinę połknął.

I dumał dalej.

Znów postać taż sama z dumania go przebudziła. Ujrzał ją we drzwiach, wprost naprzeciw siebie. Wydało

mu się, że wzrok jej na nim spoczywał. Chciał się temu zjawisku przypatrzeć lepiej. Dłonią oczy przetarł, — spojrział... już jej nie było.

Przy wieczerzy nie pojawiła się, i dlatego snadź Marko, nie mając przeszkody najmniejszej, jadł z apetytem śmiertelnika zwyczajnego, co z dalekiej przybywa podróży.

3. Turcy w Serbji.

Powieść nasza początkiem swoim odnosi się do roku Pańskiego 1787. Dawne to czasy! Takich, coby je pamiętali, niema już pono pod słońcem; takich zaś, co się w owej epoce rodzili, jeżeli znajdują się gdzie jeszcze, to na palcach ich policzyć. Jedni wyginęli, drudzy wymarli; nowe pokolenia przyszły i świeżemi warstwami pokryły z wierzchu te, co w owych żyły czasach.

A czasów to były — jakże od dzisiejszych odmiennie!..

Naród serbski nie rozwijał się, lecz zaledwie dyszał.. pod dzwonem pneumatycznym, na który składała się cała, pełna w swoim rodzaju i w swoim czasie doskonała, maszyna panowania tureckiego.

Panowanie to miało własność tej choroby, którą polipem zowią. W narodzie, który był nim dotknięty, puszczano gałęzie, trzymające się silnie węzła środkowego. Czynnością tych gałęzi było ssanie soków żywotnych.

Węzeł polipa, co Serbją trapił, przebywał w Białogrodzie. Stamtąd rozchodziły się gałęzie na cały kraj, pod postacią administratorów, sędziów, poborców, spahiów, jańczarów i władyków. Każdy z urzędników tych, urzędników i nie-urzędników posiadał prawo na wszelkiego rodzaju nadużycia, pod warunkiem, ażeby władza główna nie ponosiła uszczerbku pod względem powagi i dochodów. To była rzecz główna i pod nią podporządkowywało się wszystko.

Jagodyna, miasteczko małe, ale położone na drodze, którą przechodził trakt główny, prowadzący z Białogrodu do Niszu, Adrianopola i Konstantynopola, posiadała kajmakana, kadego i mezlisz. Kajmakan rządził, kady sądził. Ten ostatni pochodził z narodu muzulmań-

skiego, zamieszkującego główną część miasteczka, zwaną mahala turecką, a złożoną z urzędników, rzemieślników, handlarzy i spahjów, jednych przebywających czasowo, drugich osiedlonych stale. Urzędników mianowała władza centralna, rzemieślnicy i handlarze powstawali z ludności napływowej, spahje byli to swego rodzaju panowie stworzeni z dawniejszych włastelinów, którzy zapożyczając przyjęcia islamizmu zachowali przywileje społecznej pod warunkiem stawiania zbrojno na każde wysokiej Porty zawołanie. Cały przeto, jak powiedzieliśmy, aparat władzy znajdował się w miasteczku. Duch i pięść kojarzyły się w przymierzu, opartem na wzajemności interesów. Ludność chrześcijańska była bezbronna.

Najważniejszą figurą był kajmakan, Ali—aga, starzec poważny, milczący, surowy, Turek prawdziwy, rodem z Anatolji.

Lecz ileż to razy się zdarza, że najważniejszą figurą jest nie ta, co za taką uchodzi! Najwyższe stanowisko nadaje prawo. Niezawsze jednak z prawem w parze idzie istota rzeczy, zwłaszcza w położeniu takim, w jakim się kajmakani w Jagodynie znajdowali. Przybywali z firmanem wydawanym w imię padyszacha i nadającym im władzę, lecz firman nie był w stanie usunąć z przed nich trudności pewnych, nieodłącznych od pobytu w świecie zupełnie dla nich obcym. Przybywali przeto i znajdowali się jak wędrowcy, rzuceni na bruk miasta nieznanego. Nie mogli obejść się bez przewodników — bez tych przewodników, którzy pokazują, objaśniają i kierują.

Przewodnicy tego rodzaju stanowili żywy inwentarz każdego tureckiego paszali, każdego sandżaku i każdej nahji — inwentarz, bez którego wyżsi i niżsi urzędnicy obejść się nie mogli, a który w rozmaitym występował charakterze: tu pod postacią golibrody, tam jako sais—bazi, ówdzie w charakterze dragomana.¹⁾ Ta ostatnia czynność służyła najczęściej i nazwyczajniej ludzom zręcznym a bezsumiennym za sposób do zagarnięcia władzy rzeczywistej, pod imieniem urzędnika zamianowanego przez padyszacha. Wypadek podobny miał w Jagodynie miejsce.

Kajmakanem był Ali — aga, mąż poważny i surowy.

¹⁾ Dragoman — tłumacz

Dragomanem był kir-Kosta, przybłęda pochodzenia greckiego, człowiek mieniący się jak kameleon, zręczny, podstępny i układny.

W ręku tego kir-Kosty, który żadnego właściwie urzędowego nie zajmował stanowiska, skupiała się władza administracyjna, sądowicza i podatkowa, przedstawiana urzędownie przez kajmakana, kadego i mezlisz.

Karjera jego dużo w sobie zagadkowości miała. Przybył przed półtora dziesiątkiem lat do Jagodyny niewiedzieć skąd, i pierwszym polem jego wystąpienia była łaźnia. Mył i szorował wyznawców proroka, a po kąpieli podawał im kawę i nargile.¹⁾ Z łaźni odrazu przeniósł się do konaku²⁾ w charakterze powiernika kajmakana, co lat temu dwanaście nahją jagodyńską zawiadywał, i od czasu onego w konaku pozostał. Kajmakani się zmieniali: on się trzymał stanowiska, na którym mu było dobrze. Znajdował się niby pomiędzy młotem a kowadłem, lecz umiał sobie radzić: umiał raję strzydz i golić, wmawiając w nią, iż to dla największego jej dobra czyni; umiał przelozonym swoim dogadzać, czyniąc się dla nich potrzebnym. Posiadał też tajemnice jednej i drugiej strony. Ali aga kroku bez niego nie zrobił.

Na dni kilka przed przyjazdem Marka przejeżdżał przez Jagodynę czausz od paszy z Białogrodu i, zajęchawszy do konaku wprost, miał z kajmakanem krótką na osobności rozmowę.

— Jakiś *chaber!*...³⁾ — gruchnęło natychmiast wśród ludności muzułmańskiej.

— Coś w tem jest!.. — powiedzieli sobie ciekawsi i na tem poprzestali.

Ciekawość turecka najmniejszego z naszą nie ma podobieństwa. Nie idzie do głębi rzeczy, nie puszcza się na pole domysłów, nie bawi się rozwiązywaniem zagadek. Stwierdziła zagadkę — to dosyć. To ją zadowoliło zupełnie.

Czausz przejechał i zostawił po sobie taki w nmysłach muzułmańskich spokój, jaki przed jego panował

¹⁾ Nargile — fajki.

²⁾ Konak — dom urzędowy.

³⁾ Chaber — wiadomość.

przyjazdem. Nikt ani pomyślał o zgłębieniu tajemnicy rozmowy jego z kajmakanem.

A kajmakan milczał. Milczał dzień jeden, drugi, trzeci. Milczał i myślał, aż przywołał przed siebie kir Kostę i w następujące przemówił do niego słowa:

— Czy ty wiesz, kir Kosto?...

Kir Kosta, stojący przed kajmakanem boso, złożył dłonie na piersiach, pochylił pokornie głowę i odpowiedział:

— Ja, *effendim* ³⁾, nie wiem o niczem... Ty wiesz wszystko...

— Pamiętasz tego czausza od paszy z Białogrodu?..

— *Ewet* ⁴⁾ *effendim*.

— Ten czausz przyniósł od paszy, któremu oby Ał-lach dni najdłuższych użył, rozkaz...

— *Ewet, effendim*...

— Przyniósł rozkaz, ażeby mieć oko na raję...

— *Ewet, effendim*...

— Baczyć, co robi... śledzić za krzątaniem się *giaurów*...

Kir Kosta powtarzał wciąż jedną i tę samą odpowiedź, oznaczając potakiwaniem wyrazom, które kajmakan cedzonym wymawiał sposobem, jakby chciał, ażeby się one w umyśle słuchacza gruntowały.

— Dozorować obcych przybłądów...

Zamilkł, spuścił głowę pod ciężarem myśli, czy też turbana wielkiego, który mu na czoło i oczy spadał, i po chwili zapytał:

— Czy jagodyńska raja wszystka w domu?..

— Nie wszystka, *effendim*...

Kajmakan skinął lekko głową z dołu do góry, co, według mimiki tureckiej, oznacza zapytanie.

— Niema Hadzi Petara..

— E?..

— Niema Gicy...

— Dalej?..

— Żoki, Michaja...

— Dokądże ich szejtan poniósł?..

³⁾ *Effendim* — pan.

⁴⁾ *Ewet* — tak.

— Udzieliłeś im, *effendim, teskere* ¹⁾ do Milanowca... po sól... — Turek nie odrzekł nic.

— Upłynęło tygodni dwa od czasu, jak pojechali... Mogli już byli wrócić... Jeżeli ich w drodze trzyma co tak długo, to z pewnością nie sól...

Kajmakan podniósł na niego wzrok spokojny i napozór obojętny; lecz znający swoich ludzi Grek we wzroku tym wyczytał chęć dowiedzenia się czegoś więcej. Więc mówił dalej:

— Ty wiesz, *effendim*, że w planinach Omolje *harambaszuje* hajduk Milenko, a planiny Omolje sięgają Krainy i Kliucza, gdzie... bodajby go zła dola pobila!... głosi się wojewodą hajduk Welko... Nasza raja przechodzić musi przez planiny Omolje... Hajduk Milenko jest z Jagodyny rodem...

Turek głową lekko pokijał.

— Ty, *effendim*, wiesz o tem...

— Trzebaż ich, gdy powrócą, na oku mieć...

— *Ewet, effendim*... Rozkaz twój spełnionym będzie...

Rozmowa ta krótkiego wymaga objaśnienia.

Z daty, na czele rozdziału postawionej, domyśla się czytelnik, iż chwila, w której się powieść nasza rozpoczyna, była to wigilja ważnych dla otomańskiego państwa wypadków. Dramat dziejowy rozwijał się i dochodził do aktu przedostatniego. Potęga państwowa doszła była w przeszłości do punktu najwyższego i punkt ten daleko już pozostał po za nią. Na schyłku wieku zeszlęgo znajdowała się ona na pochyłości, wyciągnięta na tatkową tem głównie, iż, nie posiadając w swojej naturze słusznej racji bytu, była wciąż podkopywana wewnątrz i szarpana zewnątrz. Można by przyrównać ją do stanu, w jakimby się znalazł silacz, co sił nadużył. Ten sam wzrost, ta sama grubość kości i szerokość bark, groźność oblicza, lecz—dotknij się muszkułów... zmiękły: coś się rozstroiło wewnątrz. Dawniejsi współzawodnicy jego, których on niegdyś jednym rzutem ramienia wywracał, zaczynają mu w żywe urągać oczy.

¹⁾ *Teskere* — paszport.

Na schyłku wieku XVIII rozstrój wewnętrzny Osmahańskiego państwa czuć się dawał wszędzie, a szczególnie i mianowicie w prowincjach pogranicznych. Skąd on pochodził? Historycy przyczyny rozstroju tego w rozmaitych upatrują faktach, których wyliczanie i udowodnianie nie może mieć miejsca w powieści. My więc poprzedzamy na zgołnikowaniu powodu, co wyrażamy w sposób następujący: potęga osmańska nie miała racji bytu, więc się wysilała i słabła; prowincja zaś, a raczej narody ujarzmione miały rację bytu, więc odzyskiwały prawa swoje zaprzeczone.

Narody ujarzmione przyjęły przed laty panowanie tureckie. Tak się wyraził fakt dziejowy. Ale, jak orzeł nie może się zmienić w sępa, jak wilk nie może zostać tygrysem, tak Serbja nie mogła się stać Turcją. W niektórych wprawdzie, przychodzących jedno po drugim, pokoleniach, Serbowie, z upływem wieków niewoli, przygnieceniu przemocą oręża, uginali się i wołali:

— Jesteśmy rają pokorną i wierną i chcemy nią na wiek wieków pozostać...

Lecz, ilekroć wołanie to słyszeć się dawało, zawsze echo mu odpowiadało:

— Nieprawda!..

Napróżno Turcja przygniatała raję coraz to mocniej i przydeptywała, napróżno ją obuchem z siły całej po głowie waliła: dziejowa racja działała niustannie, echa brzmiały wciąż, w przygniecionych i przydeptyanych duch podnosząc i nawołując na słabnącą coraz to bardziej potęgę osmańską wojny zewnętrzne — wojny, w których rają służyła za *Katuz*¹⁾ wojskom cesarzów niemieckich. Ta Serbji czynność rozpoczęła się na początku wieku XVII. W każdej pomiędzy cesarstwem tureckim a cesarstwem niemieckim wojnie Serbowie brali udział po stronie tego ostatniego: po każdej powracali pod panowanie tureckie, ale z każdej wynosili zdobycz moralną, tłómaczącą się materialnie przez zwiększanie się rozstroju w państwie tureckim. Zawiedziona sto razy nadzieja odradzała się na nowo, jak feniks z popiołów, przy sposobności każdej

¹⁾ *Katuz* — przewodnik.

i za powodem każdym. Echa, o których wspomnieliśmy wyżej, bijąc z gór Żety, z wybrzeży morza Jadrńskiego, z nad brzegów Sawy, Drawy i Dunaju, z puzt Baczki i Banatu — nie dawały jej zamrzeć.

Turcy daliby wiele, ażeby echa te zniszczyć mogli. Nie dokazali tego jednak w czasach największej potęgi swojej. Echa utrzymywały raję w tym stanie, jaki zalecał uczniom swoim Chrystus, gdy odchodził na samotną w ogróje oliwnym modlitwę:

— „Czuwajcie i módlcie się, albowiem zbliża się godzina...”

Raja czuwała i modliła się. Bywały chwile, w których duch w niej zamierał. Zdarzało się to po każdym upadku nadziei, kiedy się wydawało wszystkim rozsądnym:

— Ot, co teraz, to już koniec..

Koniec ów jednakże bywał momentalny, jakby na przekór rozsądnym.

I tak, na przykład:

Wojna, w której książę Eugeniusz Sabaudzki laurami się okrył i która zakończyła się pokojem pożarewackim, przyniosła Serbji ulgi niejakie; lecz w 1739 r. dostała się Serbja napowrót pod panowanie tureckie i Turcja, doświadczeniem nauczona, bierze swoją raję krótko w ręce, tak, ażeby się już nigdy ruszyć nie mogła. Odjęto Serbom prawo posiadania broni, zabroniono im jeździć konno, nakazano im głębokim pokłonem witać każdego muzułmanina na drodze spotkanego; przepisano dla nich strój odrębny, pasterstwo dusz w Serbji powierzono Grekom. Pokój, który trwał pół wieku bez mała (1739 — 1789), powinien był — tak się wydawało — panowanie tureckie utrwalić, ugruntować, odejmując rai na wieki wieków ochotę wyłamywania się z jarzma, nałożonego z zachowaniem wszystkich prawideł ostrożności, praktykowanych w razach podobnych. I Turcy mogli powiedzieć:

— Ot, co teraz, to już koniec...

Mogli to sobie powiedzieć, wieszcząc pokorę nadzwyczajną narodu, który na widok Turka pochylał się do ziemi, jak kłosa zboża na polu pochylają się od wiatru.

A jednakże pokora ta rai nie była dostateczną na przyszłość rękojmją.

Uważaliśmy za potrzebne powiedzieć powyższych słów kilka, dla ułatwienia czytelnikowi zrozumienia pobudek, kierujących krokami osób, występujących w powieści niniejszej. Nie chcemy czytelnika w zagadkowej trzymać sferze. Niech wie odrazu, o co chodzi. W epoce, w której Ali-aga miał przytoczoną powyżej z kir-Kostą rozmowę, Rosja wydała była Turcji wojnę i świat rządowy zajęty był ważnym nader pytaniem: czy, jak i kiedy mianowicie weźmie w tej wojnie udział cesarstwo niemieckie, którego ster znajdował się podówczas w rękach cesarza Józefa II... Wobec pytania tego Serbja znalazła się w położeniu nader delikatnem. Tradycje wojen dawniejszych czyniły ją placem zapasów wojennych. Nie dziw przeto, że władze tureckie zwróciły na raję serbską baczną większą, niż zwykle.

Kir-Kosta, po rozmówieniu się z kajmakanem, wyszedł na miasto, bez wytkniętego, jak się zdaje, celu. Szedł sobie przez rynek mimo szeregu sklepików, w których poważni kupcy tureccy sprzedawali towary łokciowe,—szedł powoli, wymachując zlekka ręką, jakby takt znacząc i zatrzymując się co chwila, jakby na coś lub na kogoś czekając. Usta jego ruszały się. Snadź wiódł sam z sobą cichą rozmowę — może myślał, może plany jakie układał.

— Kir-Kosta!.. — odezwał się nagle głos kobiecy.

Greki wzdrygnął się, obejrzał i jak wryty stanął.

Ten sam głos następujące mu w ucho włożył wyrazy:

— Będę u Ormianina pachnidła kupowała...

— Kiedy?... — zapytał kir-Kosta tonem mowy tak zmienionym, iż niktby nie poznał, że wyraz ten z ust jego wypłynął.

— Natychmiast... — była odpowiedź.

Greki odchrząknął i dalej poszedł.

Dodać potrzeba, że jak dwusylabowe zapytanie kir-Kosty nie wydawało się, ażeby od niego wyjść miało, tak wszystkie głosem kobiecym wymówione wyrazy wzięły się niewiedzieć skąd. Czy z powietrza spłynęły? Żaden z siedzących po sklepikach kupców nie słyszał nic; dwie zaś Turczynki, które w dużych kolorowych płaszczach, szlapiąc żółtymi papuczami, z kir-Kostą się przed sklepikami rozminęły, tak dokładnie zasłonięte były i tak

pilnie wystawom materji jedwabnych i muślinów złotem dzierganych się przypatrywały, że wyrazy te od nich pochodzić nie mogły. Kir-Kosta jednak z kimś się rozmówił. Zamiana słów odbyła się w biały dzień na rynku, głośno, w obecności świadków licznych — i tego nie słyszał nikt. Zaprawdę! niewola cuda tworzy.

Nie będziemy się nad tłumaczeniem cudu tego zatrzymywali.

Zajrzyjmy raczej do Ormianina, co pachnidła sprzedawał.

Za pachnidłami kobiety wschodu szaleją. Kroplą olejku różanego serce podbić można. Prawda jednak wyznać nakazuje, iż kropla ta jest niesłychanie droga i że się sprzedaje w przeszlicznych ze rzniętego kryształu buteleczkach, co także niemały na niewieście serca wywiera wpływ.

Ormianin w sklepiku swoim olejki różne, maście i wody pachnące miał: miał także i klejnoty wartości wysokiej, — i z powodu zapewne towarów tych sklepik jego różnił się od innych tem mianowicie, że otwartym nie był. Dwa okna stanowiły witryny, w których wystawa oczy zrywała. Pomiędzy oknami drzwi wąskie prowadziły do wnętrza, do którego schodziło się po trzech schodach kamiennych. Izdebkę dzieliło wpoprzek przepierzenie, rozdzielone samo na dwie połowy, połączone drzwiami z tylnymi izdebkami, które wychodziły na dziedzińczyk, otoczony wysokim płotem i zabudowany w labirynt. A z dziedzińczyka tego wychodziło się na ogród, pełen krzewów i zarośli, a z ogrodu wydostać się było można na jedną z trzech głuchych uliczek, wijących się pomiędzy domami tureckiej mahaly. Całe to urządzenie było labiryntowe, napełnione kryjówkami, poplątanemi w sposób wielce tajemny, pomimo, że się tajemniczość owa w oczy bynajmniej nie rzucała. Sklepik, napełniony flaszkami, flakonikami i słoikami, pudełeczkami i szkatuleczkami, wyglądał niewinnie i ponętnie.

Do sklepiku tego w chwil kilka po rozmowie zagadkowej kir-Kosty weszły dwie Turczynki zasłonięte. Drzwi zewnętrzne otworzyły się cicho i, dawszy im przejście, zamknęły się za nimi. W głębi izby, na stole, zastępującym miejsce dywanu, siedział w czarnem ubraniu i w czarnym na głowie turbanie człowiek niemłody, pochylony nad robotą jakąś złotniczą. Człowiek ten pod-

niósł głowę, spojrzal na kobiety i niemym ruchem dał im znak zapytania, na które także na migi otrzymał odpowiedź. To była rozmowa cała. Człowiek znów się nad robotą pochylał; kobiety znikły za przepierzeniem.

Turcy, zamykając żony swoje i stawiając przy nich warty rzezańców, tego są przekonania, iż się zabezpieczają przeciwko wszelkim przypadkom, zdarzającym się niekiedy w małżeństwach, w których dla kobiet zastrzeżoną jest wolność względna. Przekonanie to nie zgadza się ściśle z istotą rzeczy. I w tureckich małżeństwach przydadki się zdarzają.

Wracajmy jednak do opowiadania.

Dwie Turczynki wsunęły się za przepierzenie, otworzyły jedne z drzwi za niemi się znajdujących i weszły do jednej z tylnych izdebek, w której znalazły dywan, całą długość ścian dokoła zajmujący. Jedna z nich zrzuciła *jaszmak*¹⁾ i rezolutnie nadywanie zasiadła; druga zajęła miejsce obok, lecz zasłoniętą pozostała.

Ta, co *jaszmak* zrzuciła, była to kobieta — jak się mówi — nie pierwszej młodości, nie nader piękna, niestara jednak, ani brzydka. Lat mogła liczyć trzydzieści mniej więcej, cerę miała zdrową, oczy czarne, usta mięsiste i czerwone, brwi duże, czoło niskie, warkocz gruby, kształty ciała wydatne, dobrze zaokrąglone i jędrne. Ubrawszy ją w zapaske, koszulę i namitkę, byłaby „młodycia choć kudy!“ i w tureckim o piękności niewieściej pojęciu, szukajacem dla onej porównania w armacie, mogła uchodzić za piękną. Według naszego jednak pojęcia była tylko zdrową, hożą i ognistą.

Na dywanie zasiadła, odsunęła palcami z nad czoła włosów czarnych kosmyk, który jej się na oczy zsuwał, i dłonie od niechcenia na kolana rzuciła, zabierając się do czekania.

Niedługo atoli czekała. Pchnięte lekko drzwi boczne cicho się otworzyły. Ukazał się w nich kir Kosta.

Kir Kosta kilka kroków postąpił i przed damą bez zasłony stanął, przybrawszy postawę pokorną i uniozoną.

Ta wręcz głośno mu zapytanie rzuciła:

¹⁾ *Jaszmak* welon.

— Co dziś z tobą Ali aga na osobności mówił?..

— *Hanem*...¹⁾ — odrzekł zapytany, odstępując, — jakby rażony, krok w tył.

— Powiedz mi natychmiast i nie szukaj w słowach wykretów żadnych, bo... ty wiesz...

— Wiem ja, hanem, że pan twój zostaje pod panowaniem wdzięków twoich, będących świeżemi jak jutrzienka, a palącemi jak słońce... Któżby się im oparł?..

Na pochlebstwo to uśmiech zadowolenia rozjaśnił oblicze kobiety i igrał przez chwilę na jej ustach, z po za których pokazały się dwa szeregi równych, białych, zdrowych zębów, godnych być opiewanemi przez autora „Pieśni nad pieśniami“. Lecz wnet uśmiech znikł z oblicza, usta zadrżały, jakby do płaczu się układając, kobieta podniosła dłonie do góry i zawołała:

— A przecie... ja nieszczęśliwa!..

Wtrącimy tu mimochodem uwagę, że towarzyszka jej milczała, siedząc nieruchomie, niby statua, w płaszcz pomarańczowy ubrana i białym welonem obwinięta. Tylko oczy zukosa przenosiła z kobiety odsłoniętej na Greka i z Greka na kobietę odsłoniętą.

— Ja nieszczęśliwa!.. — powtórzyła ta ostatnia. — A aga taki stary!.. Świat miłe młodej zawiązał!..

Kir-Kosta nic na te osobliwszego rodzaju zwierzenia nie odpowiedział. Snadź jednak nie po raz pierwszy ta skarga o uszy się mu obijała.

— Ali aga taki stary! a ja taka młoda!..

— Hanem, twoja piękność jest jak...

— Milcz!.. — przerwała mu kobieta. — Cóż mi po tej piękności!.. Gadasz mi o niej tylko ty i ty, a ty oczy masz zielone i zęby ci powypadały... Tfu... Giaur niewierny!..

— Ty jesteś panią... — rzekł Grek pokornie.

— Powiedz mi, co ci Ali-aga mówił?..

— Powtórzę ci, hanem, dosłownie.

— Ale tylko nie waż się kłamać, bo ja prawdy dojdę... A w razie takim wiesz, co cię czeka...

— Wiem, hanem, nie myśl, ażebym się odważyć miał prawdę przed tobą przekreślać...

¹⁾ *Hanem* — pani.

— No?..—rzekła niewiasta udobruchana.

Kir-Kosta rzeczywiście, od słowa do słowa powtórzył rozmowę całą, jaką nie dawniej jak przed godziną miał z kajmakanem na osobności. Dodał tylko prośbę następującą, którą ze złożonemi wygłosił rękami:

— Tylko, hanem, nie powtórz tego przed Ali-agą, który, z wyjątkiem mnie, tajemnicy tej nie powierzył nikomu innemu...

— Ty się nie lękaj o to... Wiem ja, jak z Ali-agą gadać...

Po chwili zapytała:

— Kiedy Hadzi Petar powróci?

— Nie wiem, hanem..

— Gdy powróci, a mnie z tamtej strony podarku nie przywiezie żadnego, powiedz jemu, żeby wnuków swoich liczył dobrze, bo się ich nie doliczy... Rozumiesz?..

Kir-Kosta na to odpowiedział na migi.

Kobieta wstała, zawinęła około głowy welon, zapięła akowy szpilką z boku, poprawiła płaszcz na ramionach i wyszła.

4. Rewizja turecka.

W takich, jak Jagodyna, miasteczkach, ludzie pędzą żywot wielce do wiejskiego podobny: wraz z kurami wstają. Zaledwie przeto poranek zaświtał, a już w domu Hadzi Petara wszyscy na nogach byli — wszyscy, nie wyjmując gościa, który spędził noc rozkosznie, na rogożynie, rozeslanej na podłodze i przykrytej kobiercem, mając pod głową poduszkę, do przykrycia koldrę watowaną, a do wzbudzania przedsennych rojeń płomień ogniska w komi-

nie, rozpalonego drzewem, które lekką wydawało woń. Dziwna rzecz! gdy się położył i w płomień wzrok wlepił, zrazu widział tylko zwyczajny płomień i więcej nic; lecz później poczęło mu się w nim pokazywać coś. Płomień służył niby za płaszcz szeroki jakiejś postaci—postaci dziewiczej, lekkiej, lotnej, powiewnej, która się podnosiła, zniżala, słała, długimi warkoczami wstrząsała i łagodnie ku młodzieńcowi spoglądała. To się działo z wieczora, wkrótce po wieczery. Płomienne widowisko nie przeszkodziło jednak Markowi spędzić nocy w objęciach snu i zbudzić się razem z rodziną starego Petara.

Zbudził się, wstał, ubrał się, wyszedł na czerdak i znalazł tam Hadzi Petara, zawiniętego w *ogertasz*, siedzącego na dywanie, palącego fajkę i popijającego czarną kawę.

Pozdrowili się wzajemnie, stary zapytał gościa, jak mu się spało, i zaprosił go uprzejmie do zajęcia na dywanie miejsca.

— Sładaj i wypij *jednu kafu*... Wszak nie masz nic pilnego?..

— O, mam robotę pilną...—odparł Marko.

— No?.. Cóż przecie?..

— Mam do pisania dużo..

— A!..—podechwycił stary, robiąc ruch oznaczający, iż coś przypomniał sobie.

W dłoń klasnął i krzyknął:

— Żiwko!..

Kłaśnięcie w dłoń i wołanie sprowadziły na czerdak najstarszego z synów Hadzi Petara, którego starzec zapytał:

— A na kogo to tam kolej?..

Żiwko wymówił imię jakieś.

— Trzebaż, żeby się w drogę wybrał natychmiast... Pójdzie z pismem... Hm!..—namyślił się na chwilę.—Rozmyślam nad tem, co lepiej: czy żeby poszedł aż do Milanowca?.. czy żeby poniósł pismo do Omólje-planiny i tam je harambaszy powierzył?..

— A cóż z niem harambasza zrobi?—zagabnął Marko z wyrazem lekkiego w głosie zdziwienia.

— Pośle je dalej przez jednego ze swoich momentów...—odpowiedział Hadzi Petar tonem zwyczajnym.

— Pewnie?..

— O! pewnie... Czego się podejmie hajduk, tego dokona, choćby ziemia pęknąć miała...

— Macie zatem pocztę własną?..—pytał Marko dalej tonem zdziwienia coraz większego.

— Czemużbyśmy mieć nie mogli?.. Jak potrzeba, to potrzeba... Kolej wyznaczona i na kogo wypadnie, powiedzą: idź... zbiera się i idzie...

— A jeżeliby Turczyn postać zapał?.. — wtrącił Marko.

— Cha, cha!..—zaśmiał się stary.—Turczyn łapie tego, co mu w ręce lezie... A w polu... na drodze, w planinach... tam się on sam pilnować musi, ażeby złapanym nie został...

Zwracając się zaś do Żiwka, dodał:

— To pismo będzie takie, że za nie trzeba się dać posiekać, a Turkowi go do rąk nie dać...

Żiwko odszedł. Hadži-Petar, wypaliwszy fajkę, wytrząsłszy z niej popiół i przedmuchiawszy cybuch, także wkrótce czerdak opuścił. Marko do pisania się zabrał.

Wybierając się do kraju, w którym piśmienność stała na stopniu nader niskim, bo kwitnęła jedynie po klasztorach i to bardzo skromnie — albowiem niekażdy kalugier umiejętność czytania łączył z umiejętnością pisania — nasz Marko zaopatrzył się w przyrządy pisemne. Posiadał w torbie podróżnej papier, pióra i kałamarz. Nie posiadał atoli jednej, bardzo potrzebnej do pisania na sposób europejski rzeczy, mianowicie stołu. Nie mógł sprzętu tego z sobą w torbie nosić. Wydobyl więc z torby papier, pióra i kałamarz i musiał stół urządzać sobie z desek dna od beczki, ułożonych na poduszkach. Wyszukanie desek tych i urządzenie z nich biurka zabrało czasu trochę. Nakoniec Marko ustawił przyrządy kancelaryjne, rozłożył papier, usadowił się i pisać zaczął.

Pisał. Działwa, której była mnogość taka, dostała snadź rozkaz nie przeszkadzania piszącemu, bo nie było przy nim ducha żywego. Z głębi domu słyszeć się dawało krzątanie; z ogrodu dochodziły odgłosy jakieś niewyraźne; lecz na podwórzu, a szczególnie na czerdaku, panowała cisza i Marko z całą swobodą umysłu to puszczał pióro po papierze i znaczył niem czarne ślady, to znów przerywał sobie pisanie, podnosił do góry oczy, myślał,

jakieś wspomnienia w pamięci zbierał, to znów mapę rozkładał i pilnie się w niej rozpatrywał.

Nie przeszkadzał mu nikt. Oddawał się zajęciu swemu z całą, jak rzekliśmy wyżej, swobodą, z którejby może część jakąś utracił, gdyby wiedział, że był pilnych oględzin przedmiotem ze strony kilku par oczu kobiecych.

Kobiety serbskie są ciekawe, jak wszystkie zresztą córki Ewy. Nie dziwmy się im i nie bierzmy im tego za złe. I my, Ewy synowie, podzielamy z nadobną rodzaju ludzkiego połową tę brzydką wadę; tylko że u nas jest ona mniejszą trochę, z powodu, iż w zaspokojeniu onej mamy łatwości więcej. Gdybyśmy, tak jak one, trzymani byli w oddaleniu od tajemnic różnych, kto wie, czy wada owa nie objawiłaby się w nas silniej, aniżeli w kobietach.

A tu, jak na toż, przedmiot ciekawości tak był pociągający nadzwyczajnie!

Człowiek obcy!.. człowiek młody!.. człowiek niepospolicie piękny!.. i człowiek piszący!..

Każdy z przymiotów tych, przez naszego Marka posiadanych, czyniłby osobistość jego zasługującą na szczególną ze strony Jagodynianek uwagę; cóż dopiero, gdy przymioty owe wszystkie razem osobistość tę zdobyły!.. Możnaż się było oprzeć pociągowi przypatrywania się onej przez wszystkie szczeliny i dziurki wszystkich drzwi i okien?.. Nawet majka stara pociągowi temu się nie oparła. I ona szła do okna, oko przykładając i nie bez podziwu patrząc na Marka, jak piórem po papierze wodził.

Widok mapy o mało że głośnych z piersi kobiecych okrzyków nie wywołał.

— Bre... bre... — pocichu sobie powtarzały — stara majka, dojrzałe i młode mężatki, dorosłe i dorastające dziewczęta.

— Dziwoż bo to, dziwo!..

Pomiędzy niemi jednak była jedna, którą zajmowała nietyle mapa, nie tyle czynność pisania, co sama piszącego osobistość — osobistość rzeczywiście zdolna żywe rozbudzić zajęcie, naznaczona bowiem tem piętnem tajemniczem, co to pojedynczego człowieka wśród tłumów wyróżnia. Marka

matka przyroda piętnem tem naznaczyła. Był on piękności męskiej typem. W miarę słuszny, szykownie i silnie zbudowany, nosa orlego, czoła wysokiego i marsowatego, oczu czarnych, bystrych, pojętnością i odwagą tryskających, mocny brunet, z wąsem sumiastym w dół spadającym, był jakby stworzony na to umyślnie, ażeby *diwojkom* głowy zawracać. Toż nie dziwmy się *diwojce*, w pełnym rozkwicie, ślicznej jak rojenie poetyczne, że gdy go nad pisaniem schyłego widziała, okiem go pozerata, gdy zaś czoło do góry wznosił i obłokiem myśli je otoczył, czuła jakby ją coś podnosił od ziemi odrywało, w niebo niosło.

Tego wszystkiego Marko wcale się nie domyślał. W przekonaniu, że jest sam, pisał i myślał, myślał i pisał, nie zwracając uwagi na ten ruch, krzątanie się wewnątrz domu, ani na te odgłosy z ogrodu, o których wspomnieliśmy powyżej. Aż przyszła chwila, w której nie mógł na to uwagi nie zwrócić. Krzątanie się bowiem przybrało charakter jakiś niezwykle. Nagle słyszeć się dały jakieś biegania, suwania i stukania. Marko pisać zaprzestał i z zawieszonym nad papierem piórem ucho nastawił.

— Co to znaczy?.. — zapytał sam siebie.

I nasłuchiwał.

Po chwilce do uszu przytłumione wpadło mu wołanie:

— Człowiecze!.

Zwrócił głowę w stronę, z której głos przychodził, i ujrzał we drzwiach kobietę, która mu, ku ogrodowi ukazując, znaki jakieś głową i rękami wykonała i znikła.

Marko nie zrozumiał nic, niczego się nie domyślił, tylko się zadziwił bardzo.

Przez chwilkę pomyślał, do siebie się uśmiechnął, ramionami lekko ścisnął i nad swoim dziwacznym nachylił się stołem, chcąc pisać dalej; lecz za ledwie piórem papieru dotknął, aliści znów usłyszał wołanie:

— Człowiecze!..

Tym razem wyraz ten wymówiony był z większym, aniżeli poprzednio, przyciskiem. Obejrzał się. Stojąca we drzwiach kobieta, nie ta, co poprzednio, stała w posta-

wie takiej, jakby się w biegu zatrzymała — dała mu jakieś znaki rękami, na ogród palcem ukazała i znikła.

— A toż co?.. — pomyślał sobie. — W tem jednak coś być musi..

Potań dłońią czoło i pióro położył. Po chwili atoli wziął je napowrót i w głowę się podrapał, jak zwykli czynić ludzie niekórzy, gdy zgubionego wątką myśli szukają.

Chciał pisać dalej. Nad papierem się nachylił i czytał, co napisanem już było, żeby mózdz do tego ciągdalszy zastosować, gdy usłyszał na czerdaku stapanie szybkie i ujrzał przed sobą... cudo.

Istne cudo!.. pod postacią dziewczyny.

Ujrzał przed sobą dziewczynę, pojawienie się której niby jasność na czerdak wniosło. Gdyby nie stapanie to, od którego deski na czerdaku skrzypiały, pomyślećby można, że z obłoku spłynęła. Marko widział ją już, lecz w mglistych, ogólnych zarysach: w pomroku wieczornym przesunęła się parę razy przez podwórze i w płomieniu ogniska staniała się, nakształt salamandry. Teraz ujrzał ją przed sobą — tę samę. Płowy warkocz zdobił jej czoło, a w splotach warkocza przebijał się kolor czerwony, podobny do odbicia płomienno; gładkie czoło jaśniało pogodą; z ciemno szafirowych oczu płynęła słodycz niesłychana, koralowe usta dyszały rozkoszą; pierś podnosiła się oddechem przyspieszonym; w całej postaci jej widać było jakieś niby pomieszanie, mające za przyczynę coś nadzwyczajnego.

Wbiegła, przed Markiem stanęła i.. coś przemówić chciała.

Do mówienia się nastawiła. Usta już otworzyła; już pierwszy dźwięk głosu jej zabrzmieć miał w uszach Marka i Marko szyję wyciągnął, jakby na to, ażeby słuch swój do ust jej przybliżyć; lecz... wymówić słowa nie mogła. Oblała się jeno szkarlatem rumieńca. Zrobiła krok w tył i byłaby pierzchła, gdyby jej siła jakaś nie zatrzymała i znów do mówienia nie ponagliła.

Siła ta jednak nagliła ją nadaremnie.

Widocznie przemówić chciała, ale nie mogła. Zapłonienie lic rumieńcem dziewcziczej wstydlivosti dostatecznie świadczyło, jaka usta jej krępowała przyczyna. Marko patrzył jej w oczy wzrokiem uprzejmie zdziwio-

44

nym. słuchał. czekał. To ją mieszało. Spuściła na oczy firanki rzęs długich i piękniejszą jeszcze się stała.

I nagle ciałem całym taki zrobiła rzut, jakby gwałtowna potrzeba jakaś natchnęła ją postanowieniem, nakazującym niezważanie na nic. Z lic ustąpił rumieniec; oczy podniosła, z błagalnym wyrazem w oczy Marka spojrziała, naprzód postąpiła, za rękę go ujęła i do siebie pociągnęła. Marko wstał.

Z ust dziewczyny cichy i głuchy, ale zarazem silny wyplął wyraz:

— Chodź...

Wyraz ten na Marka wywarł wpływ iskry elektrycznej. Wywarł także wpływ pociągający.

„Chodź“ zagrało mu w duszy harmonją orkiestry anielskiej, stało się dla niego śpiewem syreny.

Zapomniał o wszystkim.

Nieznana jakaś dziewczyna, nieznana a urocza, wezwwała go i pociągnęła. Wezwwała i pociągnęła — poszedł.

Zwróciła się ku wschodkom — on za nią.

Zeszła z czerdaku — on za nią.

Przebiegła przez podwórze — on za nią.

Wpadła do ogrodu — on za nią.

Ona biegła, on ją ścigał... ścigał — i byłby ją tak ścigał... aż w czeluście piekła.

Bodaj to... młoda krew!

„Młodości, ty nad poziomy wylatuj“... — powiada poeta.

Marko wyleciał za piękną dziewczyną na ogród, wpadł w krzaki, w zarośla, skrył się za gęstwiną drzew i... zapomniał nie tylko o świecie, ale jeszcze i o tem, że zostawił na czerdaku swoje sakwy podróżne, oraz kałamarz, pióra i rozpoczęte na urządzonym przez siebie stole pisanie.

A taką miał robotę „pilną!“

Może jednak wkrótce do niej powróci, i, dokładając staranności, dokończy onej w czasie, w którym dokończyć był powinien.

Trudno... — bo oto, co się stało. Podczas kiedy Marko pisał, na pierwszym podwórzu pojawił się kir-Kosta.

45

Hadzi-Petar spotkał go z obliczem w wesele i uprzejmość przystrojonem, zmienił z nim *salamalelke* i do gościnnej izby prosił. Tam powitanie się powtórzyło, kir-Kosta i Hadzi Petar na dywanie zasiedli; po chwili stara Milewa podała gościowi *śladko* i kawę i przyniosła węgiel do *czubuka*. Wonny dym tureckiego tytoniu począł sinawemi obłoczkami po izbie się wałęsać. Kir Kosta siedział przez czas jakiś w milczeniu, które przerwał, zadając Hadzi-Petarowi pytania, odnoszące się częścią do podróży, z której powrócił, częścią do tego, co tam w mieście słychać. Pytania te, wymawiane powoli i poważnie, jak przystało urzędnikowi, piastującemu godność wysoką, były bardzo naturalne i właściwe. Hadzi Petar odpowiadał spokojnie, w sposobie ogólnikowym. Rozwodził się szeroko nad błotem na drodze, gdy deszcz ziemię namoczy i nad zimmem w nocy, gdy ognisko zgaśnie; ani słówkiem nie wspomniał o spotkaniu z Harambaszą i o baryłkach z prochem, krótko mówił o bytności w klasztorze Manassja, zaś co się wiadomości tyczy, zaręczał uroczyście, że:

— Co będzie, to będzie... a będzie, co Bóg da...

— A pamiętał-że ty, Hadzi-Petar... — rzekł kir-Kosta — żeby co tam dla hanem przywieść?..

— A jakże!.. — odparł stary. — O!.. przywożem dla niej sztukę materji zielonej!..

Po chwili dodał:

— Przywożem upominek i dla Ali-agi i dla ciebie...

— *Ewałła*...¹⁾ — rzekł Grek półgłosem. — Cóż to za obcy przybył z wami człowiek?..

Hadzi-Petar z cybucha się zaciągnął, z głębi piersi duży kłęb dymu wyrzucił i od niechcienia odpowiedział:

— Il.. pyta o bydło i owce..

Kir-Kosta głową z lekko nacięwanym wyrazem niedowierzania pokiwał.

— I o świnki... — dodał Hadzi-Petar z miną pół tajemniczą, czyniąc niby denuncjacją przeciwko człowiekowi obcemu.

¹⁾ *Ewałła* — dziękuję.

— Skądże on?..

Hadzi-Petar ramionami ścisnął.

— Powiadają, że z za Dunaju.. Znalazł nas w Milanowcu... no.. i prosił, czy nie mógłby z nami dostać się do Jagodiny, ażeby stąd pójść do Kragujewca, do Kruzewca... Ta i czemużby nie mógł?.. Ot i przybył..

Kir-Kosta z cybucha tak pociągnął mocno, aż w fajce zaskwierczało. Po chwili rzekł z miną wielce tajemniczą:

— Słuchaj-no mnie, Hadzi-Petar... ja tobie źle nie życzę... ty wiesz...

Hadzi - Petar głową na znak potwierdzenia skinął.

— Owóż, powiadam ci, trzeba, żebyś pomógł kawasom przybysza tego pojmać i do *apsu* ¹⁾ wsadzić. Tobie się to nie godzi, wiem o tem... Raja plułaby na twoje włosy siwe... Toż zrobimy to tak, żeby raja o tem nie wiedziała... Powiedz mi tylko, gdzie oni i dosyć...

Starzec propozycji tej wysłuchał uważnie i poważnie i na obliczu nie okazał ani zdziwienia, ani oburzenia. Podniósł tylko powoli rękę do głowy i poprawił sobie na takowej fez, a poprawiając, zrobił z tyłu głowy palcami ruch, jakby nagle doznał w nich drgania konwulsyjnego. Jeszcze i cybuchem wykonał ruch jakiś, nie z paleniem fajki wspólnego nie mający, a przytem kapciuchem wstrząsnął. W chwili tej za ścianą, dzielącą izbę gościnną od przyległej, słyszeć się dało ciche, przytłumione chrząknięcie i głucho puknięcie. Wszystko to mniej czasu zabrało, aniżeli nam było potrzeba do opowiedzenia znaków tych tajemniczych. Usłyszawszy puknięcie, starzec głośno odchrząknął i fajkę w usta włożył.

— Powiedz mi tylko i dosyć... — mówił Kir-Kosta. Gdzie on jest?..

— Gdzieś zapewne na mieście... — odpowiedział zapytany obojętnie.

Kir-Kosta cmoknął na znak przeczenia.

— On jest *musafir* ²⁾ twoim...

— Tak jest... — odrzekł Hadzi-Petar, głowę pochylając.

¹⁾ *Aps* — więzienie.

²⁾ *Musafir* — gość.

— Spodziewałem się w *musafirlyku* ¹⁾ go zastać...

— Hm... Wyszedł. Człowiek, co o świnki pyta, nie może siedzieć i *watry* ²⁾ pilnować...

— Na *czarszii* ³⁾ go niema... — rzekł kir-Kosta.

Hadzi-Petar ramionami ścisnął.

Nastąpiła chwila milczenia. Gospodarz i gość siedzieli nieruchomie, powoli fajki paląc. Twarz starca była spokojna i obojętna.

Spokój i obojętność nie ustąpiły z niej wówczas nawet, gdy przybyli trzej nowi goście, daleko bardziej aniżeli kir-Kosta niepożądani. Byli to trzej Turcy. Jeden z nich miał na sobie futro, niżej kolan spadające i z przodu otwarte. Szeroki turban głowę mu nakrywał. W rękę niósł dość długą, cienką laskę leszczynową. Z pod futra wyglądały mu pistolety i kindżał, za pasem sterczące. Dwaj drudzy podobnie byli ubrani i uzbrojeni, tylko nie mieli lasek w rękę, ani futer na grzbiecie. Miny ich były poważne i uroczyste.

Weszli do izby gościnnej. Hadzi-Petar powstał na powitanie ich i przyjęcie, na które Turek w futrze, zatrzymawszy się na progu i opatrzywszy izbę dokoła, odpowiedział zapytaniem:

— *Nerede sizin musafir?*.. (Gdzie twój gość).

— *Bilmem, effendim*... (Nie wiem, panie) — była odpowiedź Hadzi-Petara.

— Powiada, że na miasto wyszedł... — dodał kir-Kosta.

Turek głową z dołu do góry rzucił i rzekł:

— *Jok*... (Nie). On tu być musi...

Zatrzymał się przez chwilę, patrząc pytająco na kir-Kostę; lecz ten ruchem głowy i ramion wytłómaczył mu, że żadnego udzielić nie może objaśnienia. Wówczas Turek na miejscu się zwrócił i, wyszedłszy na pierwsze podwórze, zaglądać począł pod szopy i do zabudowań które się tam znajdowały. Rewizja ta odbywała się poważnie, powolnie i w milczeniu. Zajrzał tu, zajrzał tam, zajrzał

¹⁾ *Musafirlyk* — izba gościnna.

²⁾ *Watra* — ogień

³⁾ *Czarszja* — rynek.

ówdzie, poprzedzając dwóch towarzyszków swoich, którzy za nim postępowali, i nastawiając ucha kir-Koście, który, idąc obok, robił mu od czasu do czasu jakąś pocichu uwagę. Hadzi-Petar przypatrywał się temu zdaleka, stojąc na progu domu swego.

Rewizja na pierwszym podwórzu trwała niedługo.

— Otwórz ze do twego *dari saadet*..¹⁾ — rzekł tonem przekąsu Turek w futrze, zatrzymując się przed Hadzi-Petarem.

— *Effendim*... — odrzekł ten ostatni, nadając głosowi swemu znaczenie, któreby się w następujący sposób wyrazić dało: opamiętaj się! co czynisz?

— *Zarar jok* ²⁾.. otwórz... — była odpowiedź Turka.

Hadzi-Petar otworzył drzwi, służące do wewnętrznej komunikacji pomiędzy jedną połową domu a drugą, i ustąpił z progu. Turek w futrze wkroczył poważnie, za nim kir-Kosta, za nimi dwaj Turcy bez futer, na końcu gospodarz domu. Oglądali najprzód izby. Przechodzili z jednej do drugiej, zawsze z jednakową powagą i zawsze powolnie: zaglądali tu i ówdzie i szli dalej. W izbach nie było żywego ducha. Turków to bynajmniej nie dziwiło, ani gniewało: według ich bowiem wyobrażeń, było to jak najzupełniej w porządku, że się kobiety przed mężczyznami pochowały, że zabrały ze sobą dzieci, i nie przypuszczali zapewne, ażeby zabrać miały z dziećmi i dorosłego, obcego człowieka. Dlatego snadź prowadzili dalej oględziny z flegmą i spokojnie.

Przeszedłszy przez izby i przekonawszy się, że nie ma nikogo, z kolei wyszli do sieni, a z sieni na czerdak.

Na czerdaku Turkowi w futrze odrazu wpadł w oczy stół, przez Marka urządzony, i porzucone na stole, tym papiery. Nic nie mówiąc, zbliżył się, stanął i począł się przypatrywać zdaleka. Z miny widać było, iż sprawy z tego, co to jest, zdać sobie nie umiał. Stół?.. Stół dla Turka jest sprzętem, bez którego on się zgola obchodzi i który znanym jest tylko tym, co bliższe z Frenk mi

¹⁾ *Dari saadet* — przybytek szczęśliwości.

²⁾ *Zarar jok* — nic to nie szkodzi.

stosunki mają; a takich, osiem dziesiątków lat temu, dałoby się nieledwie na palcach policzyć. Więc zastanowił go najprzód stół, a potem pióro gęsie. Pióro gęsie?.. Patrzył na narzędzie to zdaleka, nie domyślając się wcale, do jakiegoby służyć mogło użytku. Turcy piszą na kolanie, piórami trzciniowymi. Stół przeto i pióro przedstawiły się jako przedmioty nieznanne i nieznanemi, zagadkowemi pozostałyby były, gdyby użytku onych nie tłómaczyły w części kałamarz i papier. Kałamarz napelniony inkaustem?— tego to i Turcy używają; a chociaż atrament ich różni się od naszego, zawsze atoli jest czarny i trzymają takowy we fiolkach, podobnych z kształtu do tych, jakich w chrześcijaństwie używają. Kałamarz przeto stał się niejako kluczem do rozwiązania zagadki, tłómaczącej się ostatecznie ćwiartką papieru, w połowie zapisaną. Turek w futrze poznał, że to pisanie, ale pisanie nie tureckie. Na kir-Kostę więc skinął.

— Weź to...

Kir-Kosta papier do ręki wziął, począł nań patrzeć, patrzył, głowę pochylił najprzód na prawo, następnie na lewo, potem znów na prawo i — jak się zdaje — nie dowiedział się niczego. Turek go o nic też nie pytał. Zwrócił uwagę na rozłożoną na boku mapę. Zmarszczył brwi. Przekrzywił nieco usta, nadając im wyraz pogardy. Westchnął westchnieniem politowania i brwi podniósł, jak się czyni na widok bądź czynu, bądź przedmiotu, pozbawionego wartości wszelkiej, a przecie zaprzatającego ludziom umysł.

Kir-Kosta, niewiele pono od Turka mędrszy, mimo, że umiał trochę po grecku czytać i pisać i był w stanie na kirylicy sylabizować, nie miał jednak o mapach pojęcia. Ta atoli, którą rozłożoną widział, uderzyła go. Nie rozumiał jej; wrodzonym jednak sprytem czegoś się w niej domyślał i z tego zapewne powodu, zachowując ton obojętny, tak się, odezwał:

— Możeby ten *kitab* ¹⁾ wziąć?..

Kir-Kosta wziął mapę za róg jeden i podniósł: rozłożyła się w wielkości całej; przytrzymał ją więc jeszcze i ręką drugą i, trzymając przed sobą nogami do góry, wodzil po niej oczami od dołu do wierzchu i od strony pra-

¹⁾ *Kitab* — papier, książka.



wej w lewą. Wszyscy trzej Turcy uczynili toż samo, ale z tak wielką powagą i z takim wzgardą na obliczach turbanami ocienionych wyrazem, że, patrząc na nich, wydawaćby się mogło, iż oglądany przez się w tej chwili przedmiot mają za igraszkę dziecinną, na którą zważać nie warto. Grek jednak inne miał o przedmiocie tym wyobrażenie. Potrzymawszy jednak mapę przez chwilę i nie dowiedziawszy się z niej niczego, począł ją składać.

Złożona mapa odsłoniła przedmioty, które pod nią leżały. Były to instrumenta niektóre miernicze: cyrkiel, ekierka, linijka z podziałkami, kompas i t. d. Ze niektóre z instrumentów tych błyszcząły, więc większą na siebie, aniżeli inne przedmioty, uwagę Turków zwróciły. Kir-Kosta także do błyszczących rzeczy pociąg miał kruczy. Jak skoro przeto je zoczył, natychmiast, nie czekając na rozkaz, ręką sięgnął i kompas pochwycił. Byłby go może w zanadrze schował, ale tego uczynić nie mógł: świadków miał za wielu. Podniósł go więc pod oczy Turkowi w futrze.

Turek cmoknął językiem. Wziął z rąk Greka kompas, położył takowy sobie wypadkiem na dłoni i ze zdziwieniem niejakiem ujrzał igłę magnesową drżącą i obrażającą się.

— *Sahat...* (zegarek) — bąknął jeden z Turków bez futer.

Turek w futrze oddał Grekowi kompas i rzekł wzgardliwie: ¶

— Zły to zegarek... Niewiadomo jaki i zamiast pokazywać godzinę po godzinie, kręci się na tył i na przód odrazu po wszystkich...

Ręką machnął i cyrkiel podać sobie kazał.

Cyrkiel zastanowił go bardziej, niż wszystko inne. Spróbował palcem — ostry. Złożył i oglądał go dokoła. Rozłożył zupełnie i, ujawszy w garść pośrodku, miał z dwóch stron dwa końce ostre. Podniósł rękę do góry, próbując uderzenia w powietrzu.

— Hm... — mruknął pod nosem.

Znów oglądał. Głową kręcił. Przedmiot ten tak go zajął, że, nie wahając się przyznać przed gaurami i podwładnymi swymi do niewiadomości, zapytał:

— Do czego to?

Kir-Kosta, do którego się to pytanie stosowało, odpowiedzieć na nie nie umiał. Udał więc na razie, że nie słyszy i odwołał się następnie do będącego niemym całej tej sceny świadkiem Hadzi-Petara, powtarzając mu zadane przez Turka zapytanie po serbsku.

— To na świnki... — odrzekł zapytany tonem naturalnym.

W chwili tej Turek ponownie zapytał:

— Do czego?..

— To się tem, *effendim, domus* (świnia) zabija... — odpalił Grek.

— *Giaur pezewenk!*.. — krzyknął Turek, ciskając nagle cyrkiel, jakby nim sobie palce poparzył.

— *Tfu!.. tfu!.. tfu!..* — splunął raz, drugi i trzeci.

Odwrócił się, ezerdak opuścił i dalej powoli, poważnie i w milczeniu na drugim podwórzu i w ogrodzie rewidzję odbywał.

5. Na mezliszu.

Takich-to Serbja miała panów!.. Nie przesadzamy nic: nie nakładamy na obraz kolorów zbyt jaskrawych malując ciemnotę turecką, jaką była lat temu osiemdzie siąt cztery: dziś bowiem jeszcze, r. 1871, kiedy postęp niby to zajrzał do głów tych szczęśliwych niegdyś zdobywców, możnaby pomiędzy niemi tysiącami znaleźć dostojników takich, w którychby się wzmówić dało, że cyrkiel służy do zabijania świnek. Nie dawniej jak w 1854 roku pewien pasza ganił inżynierowi, który mu przedstawił plany bitwy morskiej, iż nie narysował, jak przewraca się na statku parowym trafiony kulą komin. Telegraf elektryczny jest dla nich zagadką nie do rozwiązania i Gubernatorowie prowincyj biorą za spółczesne, wypadki.

zdarzone lat temu, naprzkład, czterysta. Są to rzeczy zwyczajne — jest to przyprawa do chleba powszedniego, którą pożywać muszą poddani wysokiej Partji.

Turków odznacza ta właściwość, iż wielką ciemnotę łącząc umieją z wielką powagą. Ciemnota i powaga godzą się w nich i idą w parze.

Hadzi-Petar był także ciemny. Mogłoby być inaczej?.. Skąd oświata miała się w nim wziąć?.. O mapie i narzędziach geometrycznych dowiedział się dopiero, gdy je ujrzał w rękach Marka i gdy ten wytłómaczył mu użytek takowych. Gdyby nie okoliczność ta, czysto przypadkowa, wiedziałby o nich tyle, co Turek w futrze, i kir-Kosta. Niemniej przeto udało mu się Turka w pole wyprowadzić i uratować część instrumentów od konfiskaty, jakiej uległy: list, mapa i kompas — list i mapa na rzecz władzy, do zrobienia użytku, jaki za stosowny uzna, kompas na rzecz kir-Kosty, który, korzystając z chwili oburzenia Turka w futrze, zdążył instrument ten osobliwy w zanadrze sobie wsunąć. Wykonał to tak zręcznie, że reprezentanci władzy ani się spostrzegli. Widział to tylko Hadzi-Petar; lecz ten, nie mając snadź interesu w wydawaniu tego rozstargnienia, uśmiechnął się tylko.

Trzej Turcy, po dopełnieniu rewizji, udali się na *konak*; kir-Kosta pozostał.

Hadzi-Petar zachował się, jakby nie zaszło nic. Na twarzy obojętność i spokój, w ręku cybuch — odprowadził gości odchodzących do wrót, a pozostającego zaprosił do izby gościnnej. Znow usiedli i fajki zakurzyli. Znow siłnawe obłoczki poczęły się walać pod niskim sufitem, wymykając się do sieni przez drzwi otwarte.

Na podwórzu kogut w skrzydła uderzył i głośno zapiał.

— Hm... — odezwał się Hadzi-Petar — chyba to na zmianę pogody... Przydałoby się deszczu trochę...

— Hm... — odmruknął kir-Kosta.

Pomileczał jeszcze przez chwilę i zaczął:

— Posłuchaj - no ty mnie, Hadzi-Petar... Czy ty chcesz na głowę sobie nawołać biedę?..

— Jaką?.. — zapytał zagadnięty.

— A że bronisz tego jakiegoś przybłądy...

— Ja bronie?!..

W tej starca odpowiedzi brzmiało doskonale udane zdumienie.

Lecz kir-Kosta nie w ciemną był bity.

— Cóż ci to tam zaszkodzi, albo pomoże, że on w apsie posiedzi... Posiedzi, parę dukatów zapłaci i puszczą go... Ty wiesz, że o świnki więcej zawsze krzyku jak czego...

— Tak!.. — rzekł starzec, popierając wykrzyk ten znaczącym ruchem.

— Otóż tak... Powiedz mi, tylko, gdzie on, a w tem już ja, że tobie włos z głowy nie spadnie.

Starzec się uśmiechnął.

— Cóż?..

— Nic... — była odpowiedź. — Ja tylko to sobie myślę, że moje włosy Pan Bóg policzył i bez Jego woli żaden nie spadnie.

Greki był przekonany. Zrobił więc głową i ramięm ruch, oznaczający, że zadanie swoje uważa za skończone i wkrótce też potem pożegnał Hadzi-Petara, i udał się na konak.

Konak był to budynek drewniany, przeznaczony na użytek podwójny; na pomieszkanie dla kajmakana i na przybytek władzy administracyjnej. Stosownie do tego dzielił się na dwie połowy: frontową i tylną. We frontowej, zwróconej na rynek, znajdowała się izba obszerna, z galerją dookoła. Galerja, na parę piędzi nad podłogę wzniesioną, miała z przodu balustradę drewnianą, a pod ścianami szeroką ławę, na której zasiadali członkowie rady, zwanej *mezlisz*. W rogu na tej ławie rozesłana skóra barania oznaczała miejsce przewodniczącego, którym z prawa był kajmakan. Obok przewodniczącego, zasiadał *kitabdzi* (pisarz) ze szkatułką na papiery. Dalej rzędem mężowie rady. W jednym rogu tej izby znajdował się komin; na kominie tym utrzymywano ogień w zimie i w lecie — ogień, przy którym *kawedzi* gotował kawę tak dla mężów rady, jak również i dla delikwentów i interesantów. Ci ostatni stali, lub w kuczki siedzieli w części izby niższej. Mężowie rady spoglądali na nich z góry. Dodać tu jeszcze potrzeba, że członkowie *mezliszu* zrzucali papucze w izbie, przed schodkami, które na galerję prowadziły, inni zaś w sieni przed progiem, przez który się do tego przybytku porządku publicznego i sprawiedli-

wości wkraczało. Jednym i drugim wolno było fajkę palić i jeść.

Kir-Kosta zastał mezlisz w komplecie. Kajmakan zajmował miejsce swoje. Ow Turek w futrze, który rewizję robił, siedział pomiędzy radcami. Ci dwaj, co mu towarzyszyli, stali przy drzwiach, śród czterech innych agentów władzy wykonawczej. Turek w futrze odpowiadał właśnie kajmakanowi na zapytanie. Zie się wyrażał zdawał sprawę z powierzonej mu czynności, inaczej, składał raport.

Ali-aga spojrział na niego, skinał lekko głową i wyrzucił z gardła dźwięk krótki:

— E?...

Turek w futrze oczy otworzył szeroko, usta ścisnął, głowę nieco przekrzywił i ramionami ruszył.

Oto był raport cały. Odznaczała go krótkość. Bez wyrzeczenia jednego wyrazu powiedzianem było wszystko, a chociaż nie wszyscy, o co chodziło, zrozumieli, to jednak rzecz została załatwioną. Kajmakan zrozumiał, że wyprawa w celu ujęcia jakiegoś tam przybysza nie powiodła się. Nie wiedział jednak, że wyprawa ta doprowadziła do odkryć, z których coś wnioskowość należało.

Po zdaniu raportu przez Turka w futrze, kir-Kosta złożył obok Ali-agi list i mapę.

Ali-aga rzucił na to okiem z ukośną i, zwracając wzrok na Greka, popatrzył na niego z wyrazem zapytania.

— Jakiś *kitab*... — rzekł Grek, ramionami zlekka kusząc.

Ali-aga wyciągnął rękę powoli i wziął najprzód list. Patrzył, obracał go na wszystkie strony i położył. Wziął następnie mapę. Gdy ją ujął za koniec, rozwinęła się. Patrzył, obracał... obracał, wkońcu wręczył ją kitabdżemu, dawszy mu znak, ażeby podał dalej. Mapa poszła z rąk do rąk. W milczeniu radca rady ją wręczał. Aż dostała się do rąk ostatniego i ten podał ją kawedżemu.

Kawedzi, choć Turek, niekiedy jednak głośno myśli swoje wypowiadał.

— To coś od czarów... — rzekł. — Kiedyś przez Jagodynę przebiegał fakir i miał papier ze znakami. Za po-

mocą znaków tych sprowadzał deszcz, grad, pioruny, choroby...

Na słowa te przytłumiony, głuchy pomruk zgrozy wydarł się z piersi wszystkich członków mezliszu.

— Alla! — mruknęli razem.

Kir-Kosta wziął z rąk kawedżego mapę, złożył takową i położył ją znów na ławie obok kajmakana.

Kajmakan pogrążył się w milczeniu. Członkowie mezliszu poszli za przykładem przewodnika swego. Jaki taki powieki spuścił, że wydawać się mogły iż zasnął. Nie zasnął żaden. Milczeli i myśleli.

Patrząc na szereg ten mężów siwobrołych, poważnych, siedzących nieruchomie z podgiętymi nogami, ubranych w wielkie turbany i w futra, które się na ich postaciach malowniczo w draperje układały, pochylonych nieco naprzód i pogrążonych w milczeniu, rzekłbyś, że to szereg mędrców, skąpych na słowa, lecz bogatych w rozum.

Milczeli i myśleli.

Na myśleniu spędzili godzinę całą.

I nie wymyślili jeszcze nic, gdy się rozległo wołanie muezzina z pobliskiego minaretu i zabrzmiało w powietrzu wezwanie wiernych do modlitwy.

— *La illach il' allach, en Mohamed ressul u'llach...* (niemasz Boga nad Boga, a Mahomet jest prorokiem jego) — zabrzmiało drżąco, przeciągle, wyraźnie, każdym wyrazem osobna, każdą sylabą, każdą niemal literą wnikać w dusze muzułmańskie i budząc w onych skrucę nabożną. Poczul się każdy maluczkiem wobec Boga, tronującego na niebiosach, maluczkiem z całą potęgą swoją i z całym rozumem.

On jedeni on wielki! on rozumny!

Mahometanie, odnosząc wszystko do Allacha, ten z tego osiągał skutek, że stają się wiele nabożni, ale przytem i bardzo ograniczeni. Zaprawdę! na cóż człowiekowi rozum, kiedy wszystko Allach robi! Bez jego woli niema nic. On wydelegował padyszacha w charakterze namiestnika swego i obdarzył go rozumem, odpowiednim zajmowanemu przezeń stanowisku. Inaczej być nie może gdyby bowiem być miało inaczej, to Allach popełniłby niedorzeczność. Allach popełniłby miał niedorzeczność?!.. Padyszacha przeto rozum jest z Allacha i przewyższa sumę rozumów wszystkich poddanych jego.

Padyszach naznacza wszystkich wyższych i niższych urzędników. Wszystko to się dzieje za wolą Allacha. A zatem każdy naznaczany, dlatego samego, że naznaczanym został, dostaje w udziale część mądrości, odpowiedniej czynności, którą pełni. Staranie się o rozum, nabywanie onego jest rzeczą jak najzupełniej niepotrzebną. Dość modlić się.

„Chwała niech będzie Bogu, panu najwyższemu wszelkiego stworzenia, najmiłosierniejszemu, królowi dnia sprawiedliwości! Czczymy cię, o panie, i wzywamy o pomoc. Prowadź nas drogą prostą, drogą tych, dla których tyś miłosierny, ale nie tych, co na gniew twój zasłużyli, nie drogą wiodącą do ciemności“¹⁾.

Członkowie mezliszu, usłyszawszy wezwanie do modlitwy jeden po drugim zsuwali się z ławy, rozścielali na podłodze chustki od nosa, stawali na nich, zwracali się twarzą ku wschodowi i, podnosząc modlitewnie do góry czoła i ręce, ślali strzeliste do Allacha prośby. Klękali, czołem o ziemię uderzali, znów wstawali, zamykali oczy, uszy dłońmi naprzód naginali, jakby nasłuchując, ażali nie wpadną w nie słowa z nieba. Może prorok, może przynajmniej archanioł co szepnie.

Po modlitwie każdy zajął miejsce swoje. Ten i ów zaczął sobie podać kawy i ognia do fajki. I znów myśleli.

Znów upłynęło czasu dużo.

Dowody leżały obok kajmakana.

Nagle słyszeć się dało lekkie kobiece chrząknięcie.

Prawowierni, którzyby powieść niniejszą czytali, uśmiechnęliby się z przekąsem, przeczytawszy zdanie powyższe, i zawołali:

— Skąd chrząknięcie kobiece w izbie obrad mezliszu?..

Nie było ono w izbie, ale tak jak w izbie. Owa bowiem izba, w której się obrady odbywały i wszelkie urzędowe sprawy załatwiała, była frontową i przylegała do tylnych, oddzielona od tych ostatnich ścianą. W tej ścia-

nie, nieopodal od tego miejsca, które kajmakan zajmował, wybite było kwadratowe okienko, założone gęstą drewnianą kratą, z cieniutkich zrobioną deszczulek. Przez tę kratę można było z wnętrza domu widzieć i słyszeć wszystko, co się w izbie urzędowej robiło i mówiło. Ale z izby urzędowej nie było widać, czy kto przez kratę patrzy i słucha. Mieszkania prawowiernych napelnione są podsłuchami podobnymi. Owóż chrząknięcie, o którym wyżej, słyszeć się dało z za tej właśnie kraty i ten wywarło skutek, że Ali-aga drgnął, jakby przez ciało jego elektryczna przebiegła iskra.

Drgnął i spojrzął na leżące obok papiery.

Spojrzał na papiery i przeniósł powoli wzrok na radców.

Lecz ci, pogrążeni w myśleniu, wlepili oczy każdy przed siebie.

Na kajmakana nie patrzył żaden. Trzeba więc było uciec się do mowy ustnej.

— E... — odezwał się Ali-aga, nazywając po imieniu radcę, co siedział najbliżej. — Co z tem robić?..

— *Bilmem* (nie wiem), *effendim*... — była odpowiedź krótka.

Ten przeto nie przez dwie blisko godziny nie wymyślił.

Kajmakan do następnego z zapytaniem się zwrócił.

I tego Allach nie natchnął odpowiedzią inną, jak

„*bilmem*.“

Trzeci cmoknął i głową rzucił.

Czwarty także cmoknął.

Zapytanie przeszło przez cały szereg poważnych mężów, którzy przez dwie blisko godziny myśleli, i nie wywołało odpowiedzi innej, jeno albo taką, jaką dał pierwszy i drugi, albo taką, jaką dał trzeci i czwarty. Tak chciał Allach.

Gdy jednak w sposób ten wola Allacha przez usta radców się wyraziła, zabrał głos kawedzi, pomimo że prawa do zabierania głosu urzędownie nie posiadał. Kroków kilka od komina odszedł, dłońią nos utarł, turban na głowie poprawił, imbrykiem, który w rękę trzymał, wywijął i tak mówił.

— Albo spalić, albo paszy do Belgradu odesłać. Gdyby te kitaby zabrane były prawowiernemu, wypadaloby spalić, ażeby ludziom nie szkodziły... Że jednak znaleziono je u niewiernego, niechże pasza-effendi wie, na jakie to niewierni biorą się sposoby.

¹⁾ Wyjątek z Koranu.

Przez usta kawadźego rozum Allacha przemówił, co się w tem okazało, że propozycja jego trafiła do przekonania wszystkim odrazu, a mianowicie kajmakanowi, który od dawanie jej nawet pod głosowanie uważał już za zbyteczne. Na mezliszach zresztą głosowania niema. Operacja ta sprzeciwia się duchowi islamizmu, odnoszącemu wszystko do jednostki. Chrześcijaństwo stawia jednostkę zbiorową, islamizm absolutną. Rada przeto jest do rady, nie zaś do wydawania postanowień. Te ostatnie należą do jednostki, której wolno z pomiędzy zdań, jakie się o jej uszy obijają, wybrać trafiające jej do przekonania. Wszelkie mezlisy, w których niektórzy upatrują ziarno, mogące zakiełkować w parlamentaryzm turecki, mają głos czysto i wyłącznie doradczy. Z tego też powodu Ali-aga, bez odwoływania się do członków mezliszu, przyjął propozycję kawadźego za swoją, propozycję tę przerobił w umyśle swoim na postanowienie, a postanowienie zakomunikował kitabdżemu pod postacią skinienia głową. A jak się w owej piosnce o Sahajdacznym mówi:

Skinął szablą ku kozaczy,
Musnął ręką po kółpaku:
Wie kozacza, co to znaczy—

tak kitabdżi wiedział co ma robić. Poprawił kałamarz za pasem, wydobyl ze szkatulki arkusz papieru, podstawił kolano i począł pisać przedstawienie do paszy, prowadząc wiersze od prawej ręki do lewej, jak porządek nakazuje, i z ukosa, jak etykieta wymaga. Pisał... przerywając sobie niekiedy i przypatrując się zdaleka pisanu własnemu, jak to czynić zwykli malarze, gdy się im obraz pod pędzlem formuje. U Turków bowiem pod względem pisania najprzód idzie kaligrafja, a potem dopiero sens. Kitabdż przeto pisał i przypatrywał się, głowę przekrzywił brwiami mrugał i dalej pisał — aż skończył. Skończywszy po raz ostatni całość zdaleka obejrzał, uśmiechem wewnętrznym zadowolenia oblicze swoje oblał i powiedział do siebie półgłosem:

— *Czok ii...* (bardzo dobrze).

Kajmakan pieczęć swoją zamiast podpisu wycisnął i wszystko było skończone. Radcy zsuwali się jeden po drugim z miejsc swiecz, schodzili ze schodków, brali papucze i opuszczali izbę. Kawadźi węgle popiołem przysypał. Kitab

dżi wyszedł ze szkatulką pod pachą. Kajmakan, schyliwszy się, posunął w głąb domu. Podrzedni agenci władzy wykonawczej wynieśli się. Pozostał tylko sam jeden kir-Kosta.

Powiedzieć należy, że w chwili, kiedy obrady, z powodu wtrącenia się kawadźego, przybrały obrót prowadzący je do rozstrzygnięcia, za kratą dało się słyszeć kobiece kasznięcie.

Przedtem było chrząknięcie, potem kasznięcie. Różnica pomiędzy jednym a drugim zdaje się niewielka, a przecie na odgłos pierwszego drgnął Ali-aga i przyspieszył obrady, na odgłos drugiego drgnął kir-Kosta i kiedy wszyscy izbę opuścili, on pozostał.

Pozostał i kaształ.

Z za kraty powtórne odpowiedziało mu kasznięcie. Po tem drugim kasznięciu nastąpił śmiech.

— Cha, cha, cha... Chi, chi, chi...

Śmiech był kobiecy. Trwał przez chwilę i ustał.

Kir-Kosta zapytał:

— Hanem, czego się śmiejesz?..

Głos z za kraty:

— O, toż radzili!.. Zasnąłam, zbudziłam się, a oni radzili jeszcze... Jakiż ten Ali-aga głupi!..

Kir-Kosta chrząknął.

— Głupi, bo stary... Och! stary.. — wymówił głos z za kraty z przyciskiem. — Gdyby nie kawadźi, byłiby radzili do jutra, i jutro, i pojutrze... Cha, cha, cha..

— Hanem, kazałaś mi pozostać...

— Kazałam... Przecież ty wiesz, że jak kaszlę, to na ciebie...

— Wiem, ale nie wiem, co rozkażesz...

— Poczekaj, dowiesz się... Powiedz mi tymczasem, o czem to mezlisz tak radził?..

— O kitabach...

— Cóż to za kitaby?... Skąd się one wzięły?

— Znaleziono je u Hadżi-Petara...

— Czy Hadżi-Petar przywiózł co dla mnie?.. — podchwycił głos z za kraty.

— Sztukę materji zielonej...

— To dobrze... Stara mi ją przyniesie.. To d obrze Ja tak już dawno chciałam materji zielonej... Zrobi z niej sobie strój piękny i każę takowy złotem wychafto-

wać... O!.. jakąż ja kontenta!.. O!.. strój zielony...
Ho, ho!..

— Będziesz, hanem, dopiero *tod-gabi*... (podobna do armaty) — odezwał się Grek.

— Cóż z tego, kiedy Ali-aga taki stary... taki stary!.. Nadaremnie go poję zieleń na kochanie i zaprawiam mu *tatty* ¹⁾, prozskami od *hekim-baszi*... ²⁾.

— Dam ci radę, hanem... posłuchaj...

— No?.. — tonem wysoko nastrojonej ciekawości zabrzmiał głos z za kraty.

— Trzeba złapać nietoperza, zarznąć go lewą ręką tym nożem, którym Ali-aga...

— Ta, ta, ta!.. — przerwał głos z za kraty. — Już ja i to robiłam... Nic nie pomaga... Czy nie znasz sposobu innego jakiego?..

Nie znam, ale będę się dowiadywał... Przechodzą tędy fakiry, i derwisze, i hekimy, i Cyganki...

— Dowiaduj się...

Nastąpiła chwila milczenia, które przerwał głos z za kraty:

— Jakimże to sposobem znaleziono u Hadzi-Petara te *kitaby*?..

Kir-Kosta począł o rewizji rozповідаć; lecz jak tylko wspomniał o przybyszu obcym, natychmiast głos z za kraty mu przerwał:

— Czy to nie ten sam, co przyszedł z tą rają, która wczoraj wieczorem sól przywiozła?..

— Ten sam, hanem... Czyś go widziała?..

— O, widziałam!..

Ton odpowiedzi tej był taki, iżby go można rekomendować aktorkom na wymawianie wyrazów, nabrzmiałych namiętnością.

— Widziałam... Byłam w czarszii, kiedy oni przechodzili... Widziałam go... Hadzi-Petar szedł przodem, on za nim... Właśnie dla tego kazałam ci pozostać, ażeby się ciebie rozpytać: skąd on? co za jeden? i co się z nim stało?..

¹⁾ *Tatty* — słodycze.

²⁾ *Hekim-baszi* — lekarz.

— Skąd?.. nie wiem... — odpowiedział Grek. — Podobno z za Dunaju... tak Hadzi-Petar powiada... Co to za jeden?.. *giaur*... handluje świnkami...

— Nieprawda!.. — podchwyciła kobieta.

— Tak Hadzi-Petar powiada...

— Hadzi-Petar *łże*... to nieprawda!.. Ten niewierny nie jest handlarzem żadnym... O! jam się mu przypatrzyła dobrze... To jakiś chyba bej chrześcijański... jakiś rycerz...

— I ja go, hanem, widziałem.

— I cóż?.. Czyż nie prawda, że on nie może być handlarzem, a do tego jeszcze świnkami?.. To nieprawda!.. — rzekła dobitnie. — Cóż się z nim stało?..

— Ali-aga kazał go pojmać i do apsu wsadzić...

— I cóż?..

— Nie pojmano go jeszcze...

— Nie pojmano!.. — powtórzył głos z za kraty, a w tonie głosu tego brzmiało zamyślenie.

— Słuchaj-no ty mnie, kir-Kosta, trzeba go pojmać koniecznie...

— Ali-aga rozkaz dał...

— Co tam rozkaz Ali-agi!.. Ali aga rozkazuje kawasom, ja rozkazuję tobie... Rozumiesz?..

— Rozumiem, hanem...

— Otóż pojmać go trzeba...

— Będę się starał...

— Koniecznie... koniecznie... — mówił głos z za kraty, z naciskiem, niecierpliwosć oznaczającym.

— Albo go przyprowadzę żywego, albo przyniosę jego głowę...

— Ach!.. — dał się słyszeć wykrzyknik, nabrzmiały przerażeniem.

Kir-Kosta, jak to powiadają, za język się ugryzł i zrobił głową ruch, oznaczający: wiem już, o co chodzi.

— Kir-Kosta... — odezwał się po chwili głos z za kraty. — Ty psie niewierny!.. Ty się nie waz głowy mu odcinać... Pamiętaj sobie: głowa za głowę... Żebyś mi go ani skaleczył, ani zadrasnął... Przyprowadź go żywym do apsu, przyprowadź koniecznie. Jeżeli nie przyprowadzisz, to nie będziesz się długo chwalić swoją paskudną, głupią na karku głową... To moje słowo ostatnie... Ja ci tu pozostać kazałam na to tylko, ażeby to słowo powiedzieć... Idź precz i spełnij rozkazy moje...

Gniewliwym był ton ostatnich tych wyrazów. Sypały się gradem z ust, prześcigając jedne drugie. Czuć się dawało, że kobieta, co je wymawiała, zostawała pod wpływem rozdrażnienia mocnego.

Czytelnik domyśla się, co to była za kobieta — i może ma do mnie pretensji trochę, że nie przedstawiłem Turczynki pod postacią poetyczną odaliski, otoczonej wszystkimi urokami tajemniczymi. Owóż powiedzieć muszę na ucho, że owa poetyczność odaliski jest rzeczą bardzo bardzo naciągniętą. I na Wschodzie, tak samo jak na naszym prozaicznym Zachodzie, kobiety młode owiewa urok młodości, póki młodemi są; a gdy zaczyna im lat przybywać, to tak samo jak u nas, puszek się ściera, barwy delikatne tracą połysk świeżości, urok niknie, a z nim razem wszelki ślad poetyczności, podniesionej niewolnictwem.

Niewolnictwo wielce się przyczynia do upoetyzowania kobiety wschodniej. Fantazyja podaje ją za ptaszka w klatce, za kwiat w wazonie, za gwiazdę z nieba skradzioną i pomiędzy czterema ścianami haremu zamkniętą. Śpiewałyby, pachniały, jaśniały dla wszystkich — nie! — srogi pan zabrał ją dla siebie wyłącznie. Tęskni zatem, wędnie, umiera w zamknięciu pod groźnem okiem małżonka tyrańskiego.

Tak źle nie jest. Kondycja kobiety na Wschodzie jest odmienną od kondycji kobiety na Zachodzie: kto jednak myśli, że tureccy małżonkowie przez to samo, iż żony swoje zamykają, wolni są od siedzenia pod pantoflem małżonek, ten w grubym pozostaje błędzie. Pod względem tym dzieje się tam to samo, co u nas, tylko w sposobie odmiennym nieco. Zamykanie żon to sprawia, że się lepiej zachowuje pozory. Mąż, na zewnątrz haremu, ma minę męża niepodległego, podczas kiedy w chrześcijaństwie, w domu, czy za domem, nosi na sobie ślady palców, które go za nos wodzą.

Przytem wiedzieć należy, iż wielożeństwo, dozwolone prawem, należy na Wschodzie do zbytków, na które pozwalają sobie tylko ludzie bardzo możni. Zwyczajni zaś śmiertelnicy poprzestają zazwyczaj na połowicy jednej, a to dla wielu powodów, z których wymieniamy parę. Trzeba żonę kupić. Niekażdy, kupiwszy jedną, nabywać może jeszcze i drugą. Można się wprawdzie z pierwszą rozwieść, lecz trzeba jej sposób utrzymania zapewnić. Tak

każe prawo. Nie rozwiódłszy się zaś, brać drugą, jest to wprowadzać do domu swary i zazdrość, których ofiarą pada nierazko mąż. Z dwiema więc kłopot wielki, z trzema jeszcze większy, zwłaszcza jeżeli żony należą do niewiast kochających. W razie takim każda kocha i każda chciałaby kochanie męża zachować dla siebie: każda więc z osobna szuka na to sposobów w gusłach, zaklęciach, napojach i lekach, i zwykle się zdarza, iż współzawodnictwo w miłości wpędza męża w grób. Rzadkim przeto, bardzo rzadkim jest Turek, mający żon więcej jak jedną.

A jedna, jeżeli tylko pozbawioną nie jest sprytu, płci nadobnej wrodzonego, umie sobie niewolę ubarwić i osłodzić, umie małżonka osiodłać i krótko w delikatnych rączkach trzymać, umie sobie pozwalać na wszystko, zasłaniając się niewolą i zamknięciem, i czerpie sposoby w tem właśnie, coby ją możliwości działania niezależnego pozbawić zupełnie powinno.

Naszej Turczynce na imię było Fatma. Należała ona do kobiet tego rodzaju, które wędzidło małżeńskie gryzą z niecierpliwością i przez zemstę kielznąją mężów. Ali-aga był okielznany prawdziwie po turecku, krótko a ostro.

6. Marko i Anka.

Ciekawa rzecz, co się też z Markiem i Anką stało? Anka biegła przodem, Marko za nią pomykał. Wpadła do ogrodu — on za nią biegł, nie zdając sobie sprawy dokąd i po co i nie zwracając najmniejszej na miejscowość uwagi. Można — ż się mu dziwić?... Został oczarowany nagle. Siła czarów go uwlekła, siła, której się nie był w stanie oprzeć, a tem mniej poddawać ją mógł pod roztępienie rozwagi, zastanowienia i spostrzeżeń. Ruszał więc za przewodniczką, która przed niego niby z nieba spadła, pośpieszał za nią, a ona nie oglądając się i ani słowa nie mó-

więc, przeprowadziła go najprzód przez gąszcz drzew owocowych, następnie przez zarośla i krzaki, dalej przez winogradnik, wkońcu wskoczyła w rów.

Ona w rów i Marko za nią.

W rowie dziewczyna szła zrazu wyprostowana, a uszedłszy tak kilkadziesiąt, pochyliła się naprzód. I Marko się pochylił.

Kierunek rowu szedł z góry w dół, dość spadzisto. W kilku susach dziewczyna znalazła się na dole, nad brzegiem rzeki, wzdłuż której puściła się biegiem przyspieszonym, a ubiegłszy w ten sposób kawał spory, zwróciła się nagle w prawo, przystanąła na chwilę, podkasła się i... w wodę. Marko za nią. Rzeka w tem miejscu rozlewała się dość szeroko korytem, które niżej nieco zakręcało po-za urwisko i wydawało się głębokiem. W tem miejscu atoli był bród. Woda nie dochodziła do pasa. Dziewczyna brnęła rezolutnie coraz to dalej i dalej, brojąc odzieży swojej od zamoknięcia. Szła w zygzak — najprzód w poprzek, potem z nurtem, dalej z ukosa przeciwko prądowi, wkońcu zawróciła, weszła na wodę płytszą, przyspieszyła kroku, wyskoczyła na brzeg przeciwny, i nie zatrzymując się ani na chwilę, pobiegła dalej.

Tu dopiero Marko się zatrzymał. Snadź kąpiel niespodziana, która mu odzież do połowy zamoczyła, stała się zimną wodą, bryzniętą na gorącą jego wyobraźnię. Stał, spojrzął po sobie — woda z niego ciekła — spluł.

— Tfu!... Cóż to jest?...

Któż jednak mógłby mu dać na to zapytanie odpowiedź? Któżby mógł zagadkę wytłómaczyć? Nie kto inny oczywiście, tylko przewodniczka. Spojrzął więc za nią. Ujrzał ją biegnącą. Biegła... biegła, aż nagle stanęła i odwróciła się; z oddalenia kroków kilkadziesiątu widać było jak jej oko zdziwieniem, strwożeniem i prozbą strzeliło; podniosła rękę, skinęła palcem i Marko skoczył naprzód.

Znow się rozpoczęło to samo, co na tamtej stronie rzeki.

Dziewczyna wpadła w parów, który z wyżyn prostopadle prawie ku rzece schodził. Marko za nią.

W parowie tym atoli niedługo już ściganie się odbywało. Za pierwszym gruntu załomem, który tworzył rodzaj przylądka, pokazała się kobieta, stojąca w postawie oczekującej. Na widok kobiety tej Anka zwolniła biegu i doszła do niej powoli, mocno zadyszana i zaperzona.

i matki starej, znalazła się zgromadzoną razem cała onej część kobieca i dziecięca.

— Czyśmy wszyscy?... — zapytała Stana, małżonka Ziwka, a matka Anki.

Każda kobieta policzyła dzieci swoje. Nie brakło żadnego.

— Bogu dzięki... Nic nam teraz innego nie pozostaje, tylko czekać spokojnie, aż znać nam dadzą.

Wyrazy te, jak się zdaje, wystosowane były do Marka, który się oglądał, jak człowiek nie wiedzący dokładnie, co ze swoją robić figurą.

Z kobiet każda przyniosła z sobą torbę, a w torbie żywność na dzień cały.

Marko znalazł się pomiędzy niewiastami i musiał z niemi pozostać, jeżeli nie dla czego innego, to dlatego, iż tak był roztargniony idąc tu, że, gdyby mu przyszło iść napowrót, z pewnością drogiby nie znalazł. Potrzebowałby przewodnika, albo... przewodniczki. Pierwszego jednak, w tej dzikiej ustroni, nie było wcale; druga zaś... zapewneby się nie podjęła oddawać go w ręce Turczyna. Nie pozostawało przeto nic innego, tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Czy ta ostateczność wielką naszemu Markowi sprawiała przykrość?...

Pytanie to nie jest może tak trudne do dania na nie odpowiedzi, jak do wytłómaczenia. Pozostawanie pomiędzy niewiastami nie sprawiało mu, przypuścmy — przykrości; ale — dla czego mianowicie? W tem węzeł pytania. Czy dla Anki? Rzecz wątpliwa. To bowiem pewna, że, czując nie miłość, lecz choćby tylko skłonność do istoty płci odmiennej, nic niema nudniejszego i nieznośniejszego, jak widzieć tę istotę przy boku matki, w otoczeniu ciotek, siostrzyczek i braciszków. Chciałoby się uciec z nią na kraj świata, oddalić od niej wszystkich świadków i natrętów, otoczyć się obłokiem i pozostać z nią sam na sam.

Nie zakładaliśmy jeszcze do serca Marka i nie wiemy, co się w niem dzieje. Czy już kocha? czy dopiero kochać będzie? Nie ulega jednak wątpliwości, że Anko oczarowała, że zatem — nie mając na razie do czynienia nic lepszego — miło mu było paść oko widokiem czarodziejki, oprawnej, niby brylant w kruszec pośledniejszego gatunku, w towarzystwo bab i dzieci. Usiadł więc

na trawie, wsparł się na łokciu i wprawił wzrok w ruch taki, jakiemu ulega igła magnesowa zwracająca się zawsze w stronę bieguna północnego. Biegunem dla Markowego wzroku stała się Anka.

Kobiety zasiadły w kółko. Stana, która z tytułu małżonki najstarszego brata rej pomiędzy niemi wiodła, zadawała małżonkom braci młodszych zapytania, odnoszące się do drogi, którą każda przebyła. Odpowiedzi wypadały zadawałajaco pod tym względem, że żadna nie spotkała się z Turczyńcem. Dodać bowiem, w rodzaju objaśnienia, należy, iż w razach, kiedy raje zmuszonymi się widzieli w ucieczce szukać przed panami kraju ratunku, doświadczeniem nauczeni, wykonywali odwrót w taki sposób, ażeby zmylić pogoń. Dzielili się i puszczały rozmaitemi drogami, oglądając się, azali ściganemi lub śledzonymi nie są. Partja, która na siebie pościg ściągnęła, nie szła na punkt zborny, a jeżeli szła, to w takim tylko razie, gdy mogła ścigających wyprzedzić, i po to tylko, aby ostrzedz o zagrażającym niebezpieczeństwie. Wówczas rodzina znów się dzieliła i szła dalej, ażeby się zejść na punkcie innym. Wymagało to dokładnej znajomości położenia okolicy i pewnych wiadomości strategicznych. Znajomość tą i wiadomości posiadała Serbka każda, w czasach kiedy byt Serbji niezależny zaliczanym był przez wszystkich mężów stanu i przez wszystkich ludzi poważnych a rozumnych do wytworów wyobraźni chorobliwej.

Małżonki więc braci młodszych zdały sprawę małżonce brata starszego i... wydobyły jedna wełnę, druga kłębek nici, inna płótno przykrojone do szycia. Każda zajęła się robotą jakąś kobiecą, a bohaterka nasza szyła, zdaje się koszulę. Działwa częścią tulila się przy matkach, częścią spała w trawie, częścią grzebała pod krzakami.

Kobiety zajęły się robotą i — naturalnie gadaniem, bez którego płeć niewieścia wytrzymać nie może. Gadały — gdakały, ta o tem, owa o owem, ale się im jakos rwało, jakby na tej nieprzesnutej przędzy, jaką jest gadanie kobiece, co moment węzły się zdarzały, jakby na językach synowych Hadzi-Petara pęta siedziały i swobodnemu obracaniu się onych przeszkadzały. Wyrażnem było, że im coś zawadza — coś, pod postacią obcego człowieka, siedzącego nieopodal i milczącego. Więc zrywały gadanie, lecz wnet znów rozpoczynały, raz głośno, drugi raz sposobem szeptanym. Szeptaly i śmiały się. Niekie-

dy znów śmiały się, nic nie mówiąc, tylko spoglądając jedna na drugą.

Najpowaźniej pomiędzy niemi zachowywała się Anka, już-to z powodu wstydlivosti dziewiczej, już-to z powodu... może innego jakiego.

Matka zaś jej i ciotki śmiały się i szeptały. Ciągnęło się to dość długo, aż nastąpiła chwila, w której jedna drugą łokciami szturchać zaczęły, mówiąc pocichu:

— A no ty!... Czemuż nie ty?... No ty!...

Poczem wszystkie razem uderzyły w śmiech.

Wyśmiawszy się należycie, znów jedna drugą do czegoś namawiały, zachęcały, czy osmielały.

Nastąpiła nareszcie cisza, a wśród ciszy dał się słyszeć głos Stany, która, wlepiwszy oczy w swoją robotę, w następujący odezwała się sposób:

— Człowiecze, a jak się ty nazywasz?...

Zapytanie to stosowało się do Marka; lecz Marko odrazu nie usłyszał i nie zrozumiał onego.

Kobiety spojrzaly po sobie.

Po chwili Stana powtórzyła zapytanie.

— Ha!... — rzucił się Marko, jakby ze snu obudzony. — Jak ja się nazywam?... Ja się nazywam... ja... się... na zy-wam...

Szukał w pamięci imienia własnego, które mu z niej nagle wywietrzało. Szukał i znaleźć nie mógł.

Wypadki podobne zdarzają się ludziom. Ułomność jest własnością natury człowieczej.

— Jak się na-zy-wam... — zaczął po raz trzeci.

Kobiety spojrzaly jedna na drugą wzrokami, w których malowało się zdziwienie, czy strwożenie. Anka pokraśniała jak piwonja.

Marko w czoło się uderzył.

— Tfu!... — splunął. — Czy mnie opętało co?...

O! opętało... — Wykrzyknik ten nawiasem jest przez autora powieści rzucony. Niechże czytelnik nie bierze go na uwagę tak, jak, zdaje się, do serca wzięła go dziewczyna, dla której stał się on pewnym rodzajem galwanicznego uderzenia. Zadrzała jak listek osikowy, zadrzała i na obliczu matki zawiesiła wzrok, w którym ten, co w oczach ludzkich czytać umie, wyczytałby tajemnicę jej samej nieznaną.

— Ja się nazywam Marko...

— Marko... — powtórzyły kobiety, jakby dla zanotowania sobie imienia tego w pamięci.

Usta dziewczyny poruszyły się mimowolnie. Dźwięk żaden z nich nie wyszedł, lecz poznać można było, że i ona sobie coś zanotowała.

— Marku...—odezwała się po chwili milczenia ta sama, co pierwsza pytanie zadala. — Skąd ty... czy zdaleka?...

— Z za Dunaju!...—odrzekł zapytany, który tym razem władał już pamięcią swoją.

— Z za Dunaju?...—wszystkie kobiety jednym krzyknęły głosem, przeciągle i z akcentem zadziwienia.—Bre... bre...

— A jakże się nazywa ten gród, czy to sioło, w którym chata twoja stoi?...—szło wypytywanie dalej.

— Moja chata stoi w wielkiem mieście, w stolicy królestwa, nazywającej się Buda...

Kobiety dziwiła odpowiedź każda; a że były to kobiety proste, więc zdziwienia swego nie ukrywały bynajmniej. Odpowiadanie Marka ośmielało je. Nie sama już tylko Stana pytania mu rzucała.

— A masz ty ojca i matkę?...

Marko westchnął.

— Nie... nie mam już...

— Pomarli?... a dawno?...

— Matka niedawno, a ojciec... załedwie go zapamiętam... I zapewnebym go zapomniał, bom był dzieckiem małym, kiedy mnie odumarł, ale wraził mi się w pamięć tem, że chodził na kuli i był bez ręki...

— Na kuli!... i bez ręki!... to chyba i nogi nie miał?...

— Nie miał lewej ręki i prawej nogi... Pamiętam go... w oczach mi stoi...

— Jau... jau... — zagłosily kobiety, a jedna z nich zapytała:

— Jakże to?... gdzie to on je stracił?...

— Na wojnie... w bitwie z Turczyńcem...

— Przeklęty Turczyn!...—zawołała jedna. — Bodajby się pod nim ziemia rozstąpiła!... Toż to ojca twego ojciec i matka musieli biedni kukać i jaukać, gdy dziecko swoje bez nogi i bez ręki zobaczyli...

— Nie widzieli go oni... Dziad mój już nie żył wówczas... Przedtem jeszcze zginął na wojnie tureckiej...

— O!... i dziad twój zginął!... — wtrąciła z kobiet jedna.

— I dziad i pradziad i prapradziad... A jeden z praojców moich na palu umarł... W moim rodzie w ten sposób każdy z kolei, syn po ojcu, płacił dług otaczbinie... Zaczęło się to na przymorzu, gdzie dwieście temu lat Serbowie, złamani niegdys na Kosowem zolu, bój z duszmanem wznowili, i z przymorza przeszło nad Sawę, nad Dunaj i trwa ciągle... Bił się mój ociec, mój dziad, mój pradziad, a teraz kolej na...

Chciał powiedzieć „na mnie“, lecz mając już wyraz ten na języku, spojrział na Ankę i oniemiał. Wzrok dziewczyny dziwnego coś wyrażał. Wlepila oczy w mówiącego, oczy szeroko otwarte, które mówiły, śpiewały, w których, zdawało się, przelewa się morze płomieni, hucząc hymnem zachwytu i tryumfu i rzucając lunę, która Marka niby olśniła. Oniemiał, usta mu się otworzyły, oczy rozwarły, zapatrzył się w Ankę i ta, wytrzymawszy przez chwilę wzrok jego, głowę nagle zwiesiła, oczy dłonią zasłoniła, i z pomiędzy palców jej spłynęło kropel kilka i na trawę spadło. Stało się to wszystko w jednym oka mgnieniu. Kobiety, zajęte Markiem, tego nie widziały. Nie spostrzegły ani się domyśliły, że w obecności ich, w jasny biały dzień, odbywa się rozmowa serdeczna, odbył się przelew duszy w duszę, związał się węzeł dramatu życiowego, w którym rolę kochanka i kochanki nadane zostały zgóry dwojgu ludziom, a nadawcą było to, co muzulmanie przeznaceniem, chrześcijanie Opatrznością nazywają. Wielka a niezbadana tajemnica miłości zapaliła się w sercu dwojga.

Marko westchnął głęboko.

Koblety westchnienie to wzięły w znaczeniu żalu czy smutku, bo naraz wszystkie poczęły Marka pocieszać i otuchy mu dodawać.

— Kaugi tak dawno nie było... — mówiła z nich jedna—i może Bóg da, nieprędko będzie...

Marko odzyskał całą nad sobą władzę. Spostrzegłszy, że kobiety omyliły się co do znaczenia westchnienia jego—znaczenia którego on, mówiąc nawiasem, i sam nie rozumiał—uśmiechnął się.

— Mężowie nasi—mówiła stara—nauczyli się z Turczyńcem obchodzić... I w grodzie waszym, w którym kutia twoja stoi, musi się dziać to samo... Ludzie zapewne z Turczyńcem umieją radzić sobie...

— U nas bo Turczyńca niema...—podchwycił Marko.

— Niema?... Czyż to być może?...

— Tak, ale jest zato Niemiec.
 — Niemiec?... kuku meni!...—krzyknęły baby w głos jeden.

A głos ten wyrażał i przerażenie i politowanie.

— Biedniż wy, pod Niemcem...—odezwała się Stana.

Stana ten naród знаła ze słyszenia, z ogólnej opinji, jaką on sobie w Słowiańszczyźnie urobił, opinji, będącej niezbyt pochlebną. Nasz lud pod postacią Niemca wyobraża sobie djabła. Wyobrażenie to pouziela i Słowianie południowi, a to z powodu pomocy, jakiej im Niemcy w walkach ich przeciwko Turcji używali. Ile razy cesarstwo niemieckie rozpoczynało wojnę z państwem otomańskiem, tyle razy głośli się obrońcą chrześcijaństwa i wzywało Serbów do przyłożenia ręki. Serbowie rękę przykładali; po skończeniu jednak wojny wracali pod jarzmo tureckie, zawiedzeni, rozczarowani. opuszczeni, na łaskę i niełaskę mściwemu nieprzyjacielowi oddani, czując, ba! nierzadko dokładnie wiedząc, iż wydanie to było nie czem innem, jeno poręczawczem, danem Turcji w celu uzyskania dla Niemiec korzystniejszych przy układach o pokój warunków. W takim rzeczy stanie niedziw, że Serbowie nie byli dla Niemców miłością przejęci; niedziw, że synowe Hadzi-Petara przeraziły się, gdy się dowiedziały, że Turczyn, panujący w kraju, z którego przybył Marko, nazywa się Niemiec.

— Biedniż-wy...—mówiły.—To także, zapewne, daje cie haracz i bejlik...

— Dajemy...—podechwycił Marko — tylko pod nazwą inną...

— Bre... bre... — dziwiły się kobiety i głowami kręcily.

Następnie podziw ich ta wzbudziła wiadomość, że niemieccy paszowie nie trzymają haremów zamkniętych, jak tureccy, lecz otwarte. Nie mogły zrozumieć tego. Marko zaś nie umiał im tajemnicy tej wytłumaczyć jasno. Niemożność zrozumienia z jednej, niemożność wytłumaczenia z drugiej strony, czyniły rozmowę tem bardziej zajmującą.

— Masz-że ty braci i siostry?...—zagadnęła jedna.

— Mam siostrę...—odparł zapytany.—Zamężna, starza odemnie .. Pan Bóg dał jej dzieci dużo...

— A ty czyś żonaty?...

Kobieta, co to pytanie zadała, wymówiła je tonem naturalnym i spokojnym, nie domyślając się, iż było ono dla kogoś najważniejszem ze wszystkich, jakie w ciągu długiej rozmowy rozciekawione kobiety, niby z rogu obfitości, sypały. Na twarzy Anki widać było, że w piersi dziewczyny oddech się zatamował. Serce bić przestało. Oczy blask żywotny straciły, a natomiast powlekły się pokostem, który się świecił jak szkło. Twarz blednąc poczęła; na karminowe usta wystąpił białawy mat. Gdyby kto w tej chwili na nią spojrział, nie mógłby jej nie zapytać: czy ci nie słabo?... Szczeńciem nikt na nią nie zważał; nikt też nie widział, że się znalazła nagle pomiędzy życiem a śmiercią—życiem a śmiercią nie w znaczeniu fizycznym, niemniej jednak mającem na życie, na przyszłość dziewczęcia stanowczy, rozstrzygający wywrzeć wpływ. Śmierci bowiem jest rodzajów kilka—jak wiadomo—i jeden z tych rodzajów dotknąć miał serce dziewczyny, gdyby Marko, na zapytanie jednej z synowych Hadzi-Petara, dał był odpowiedź potwierdzającą.

Dał jednak odpowiedź przeczącą.

— Nie... — w uszach Anki zabrzmiało hymnem zbawienia.

Zanim to „nie“ z ust Marka wypłynęło, dziewczyna przeżyła wiek.

Nie bowiem nie może być względniejszego nad czas. Dla jednych lata przebiegają jak minuty, dla drugich w mgnieniu żrenicy lata się mieszczą. Owóż czas ten, co pomiędzy zapytaniem a odpowiedzią upłynął, wydał się naszej Ance długim .. długim.. nieprzeczekanym; zaczęło się jej robić zimno, czuła stygnięcie krwi i dziwny jakiś nacisk w piersiach i... odżyła. Odetchnęła głęboko, jakby się pozbyła ciężaru jakiegoś, co ją przygniatał. Uczuła dla Marka wdzięczność niewysłowioną. Uśmiechnęła się i spojrziała na niego z takim wyrazem, w którym się wdzięczność ta w całej swojej malowała potędze.

— Zbawco mój, dziękuję ci za życie... — oczy jej mówiły.

A nad czołem promieniowała aureola miłości.

Bo też Marko nie poprzestał na jednozgłoskowej odpowiedzi. Odpowiedź jego wypadła tak:

— Nie... żonaty nie jestem, ani zaręczony... Anim się—dodał po chwili, wymawiając dobitnie wyraz każdy—dotychczas nigdy jeszcze w życiu nie kochał ..

Mówił to ze spuszczonei oczami, jak dziewczyna, głosem drżącym, jakby obawą nabrzmiałym, z rumieńcem, który mu nagle na oblicze wybiegł i oblał je jakimś odblaskiem płomiennym, odbijającym od cery twarzy, zbrązowiałej na słońcu i wietrze. Widać było, że mu krew serdeczna do głowy uderzyła: dał świadectwo temu, że on mąż, miał w duszy uczucie wstydlivosti dziewczęcej, tej wstydlivosti, która stanowi rękojmię czystości duszy.

Ance zaś wyraz „dotychczas“ wpłynął w ucho lubo, słodko, harmonijnie, dostał się do serca i tam rozlał błogość, jakiej dziewczyna w życiu nigdy nie doznawała jeszcze. Coś w niej się niby obudziło, coś urosło, coś zadrgało życiem i nadzieją.

— „Dotychczas“... — śpiewało jej i grało.

Było to coś naksztalt objawienia.

— I ja „dotychczas“ nigdy jeszcze nie... kochała.

Zagrały dwa serca, odezwały się dwie lutnie... „do jednego nastrojone tonu“.

7. Mojészowy czyn.

Śmiało już i bez obwijania rzeczy w bawelnę, możemy Marka zamianować bohaterem, Ankę bohaterką powieści niniejszej. Nie mieliśmy prawa czynić tego poprzednio. Nominacjom tym sprzeciwiało się powodów wiele, pomiędzy którymi jednym z nienajmniej ważnych był ten, że tej parze brakło sankcji. Musieliśmy przeto wstrzymać się z wymawianiem wyrazu, mającego w powieści znaczenie wysokie, aż miłość pasowała ich na heroizm.

Tak tedy: bohaterem naszym jest Marko, bohaterką Anka. Śledźmyż losy ich w dalszym wypadków rozwoju, a, żeby śledzenie ułatwić i uczynić je jaknajdokładniejszym, postarajmy się zapoznać z niemi jeszcze bliżej.

Do zabrania bliskiej znajomości z Markiem nie posiadamy dat innych, tylko te, któreśmy w poprzednich po-

dali rozdziałach. Z tych dat możemy wysnuwać domysły i wnioski.

Marko był z rodu tych błędnych rycerzy, których wydało tureckie nad południową Słowiańszczyzną panowanie, a którzy przez ciąg kilku wieków, jak Dante do bram miasta rodzinnego, kołotali do wrot ziem ojczyściej. Czynność ta przechodziła z ojców na synów. Był on więc przedstawicielem tej czynności, doszłej w rozwoju zdarzeń do pewnych wyników, mających ujętą i określoną polityczną doniosłość. Monarchja austriacka z wychodźców serbskich utworzyła wojska pograniczne. Owóż domyślamy się, że bohater nasz w tych wojskach służył i że w celach wojennych wysłanym został przez władzę naczelną do kraju, mającego być przypuszczalnie teatrem wojny. W sposób ten tłumaczymy sobie podróż jego, rozpytywanie o drogi komunikacyjne, posiadanie map i instrumentów pomiarowych i notowanie danych, mogących być przydatnemi jedynie sztabowi wojskowemu. Azatem, był to zapewne oficer dość wykształcony. Pierwszy lepszy nie mógłby podobnemu sprostać zadaniu. Dla nieposzlaki snadź wziął na siebie strój wieśniaka i charakter handlarza bydłem. Jak jednak dalece charakter ten do niego nie przystawał, to się ze słów Fatmy-hanem do kir-Kosty wyrzeczonych pokazało. Kobieta przez skórę rycerza w nim odgadła.

Tyle o Marku. Brak danych nie pozwala nam posuwać domysłów dalej i podawać bohatera naszego za jakiego księcia udzielnego, mającego przy końcu powieści pasterkę na tronie obok siebie posadzić. Przeciwnie: zdaje się, że to nie był żaden książę, żaden nawet graf ani baron, ale zwyczajny śmiertelnik, mający do spełnienia zadanie, które życiu jego cel wytykało. Dążąc do celu tego, spotkał na drodze... czarodziejkę. Podobne wypadki i najzwyczajniejszym przytrafiają się śmiertelnikom.

Co się zaś owej czarodziejki tyczy, to o niej samej niewiele więcej byłoby do powiedzenia nad to, co się powiedziało wyżej, gdyby nie okoliczność pewna szczególna, stawiająca ją w położeniu wyjątkowem.

Przypominamy słów kilka, wyrzeczonych przez hajduka Milenka do Hadzi-Petara, wieczorem, przy ognisku, na szczyście Pekskiej planiny. Słowa te odnosiły się do jakiejś dziewczynki, wnuczki starego. Owóż wnuczka ta była to właśnie Anka.

Kiedy ona na świat przyszła, żył jeszcze w Jagodynie Deli-Wuk, człowiek, którego żywot cały był nieszczęściem pasmem jednym długim. Nieszczęścia te tem się odznaczały, iż każde sam na siebie nawołał i że pierwotnym każdego powodem był stan Serbji. Deli-Wuk, jako raja, podobnym był do tych koni narowistych, których ujeżdżenie nie sposób. Co lat kilka nawoływał na siebie jakąś biedę i wychodził z niej zawsze ze szwankiem. Głównem jego nieszczęściem źródłem były sny i widzenia.

Przyśniła mu się raz Matka Boska, w koronie na głowie, z berłem w ręku, w złocistej szacie, wśród świec jarzących, w otoczeniu świętych, i powiedziała:

— Wuku, wiem ja, co ci na sercu leży, ale bądź spokojny... Ja o Serbji myślę...

Deli-Wuk rozповідаł sen ten znajomym swoim i przyjaciółom, którzy znajdowali go bardzo znaczącym. Wkrótce jakoś potem przyszedł termin na pobieranie haraczu na rzecz skarbu. Deli-Wuk poborców z chaty swojej kijem wypędził i to zyskał, że został ograbiony ze szczętem.

Drugi znów raz przyśnił mu się święty Sawa.

— Nie to — mówił — że Turcy kości moje na Wraczarze spalili i popioły na wiatry rzucili. Oni tem zrobili gorzej sobie, aniżeli Serbji, bo rozgniewali bardzo Pana Boga, który gotuje im krótkie na ziemi panowanie, a długie w tamtem życiu męczarnie... Będą oni gorzeli w ogniu takim samym, w jakim kości moje spalili...

Deli-Wuk we śnie zapytał świętego, czy może o tem ludziom powiedzieć.

— Czemu nie?.. — odparł zapytany. — Możesz...

Korzystal Wuk z pozwolenia. Rozповідаł swój sen wszystkim, nawet Turkom, którzy też wsadzili go do więzienia i przetrzymali przez lat dwa i niedziel sześć.

Innym znów razem spotkał się we śnie na drodze oko w oko z królewiczem Markiem, który, pozdrowiwszy go w imię boże, takie dał mu polecenie:

— Powiedz Turkom, że, jeżeli którego z nich po świętym Dymitrze na ziemi serbskiej spotkam, leć mu odetnę...

Deli-Wuk dane polecenie spełnił i omal się z głową własną nie rozstał. Zostawiono mu ją dlatego jedynie, iż ktoś kajmakanowi wyperswadował, że on nie z imienia tylko, ale w rzeczy samej *deli* (bzik). Turcy mają dla

70
pomieszanych na umyśle szacunek. Pośpieszamy jednak dodać, że Wuk nie był bynajmniej na umyśle pomieszany. Miał tylko pewną myśl, której sobie z głowy wybić nie mógł, a tą była Serbia. Widząc jej stan oplakany, nie znajdując dla niej sprawiedliwości na ziemi, szukał opiekunów i pomocników w niebie i znajdował ich... w nateżonej w jeden punkt wyobraźni własnej, która mu we śnie i na jawie sprowadzała widzenia wielce obiecujące. Po za tem jednak był to człowiek bardzo dobry, uczciwy i pracowity. Nieszczęście tylko, iż pracy jego owoce zabierali Turcy, a za owocami pracy szło wszystko inne: żona, dzieci, wnuczki, częścią pomarłe, częścią przez Turków pochwyte — tak że wkońcu został w chacie swojej samowtór z dzieckiem małym.

— Co ja z niem zrobię?.. — rzekł, powróciwszy z pogrzebu córki.

— Co?.. wychowasz... — odrzekł mu pobratym, którym był nie kto inny, tylko znajomy nasz, Hadzi-Petar.

Pobratym nie jest to żaden krewny. Jest to brat wedle ducha, przyjaciel, zaślubiony uroczyscie w obliczu Boga. U Serbów jest zwyczaj zaprzysięgania pobratymstwa, stającego się w razie takim świętem, jak przysięga wiążąca stadło małżeńskie. Taką to przysięgą związany był z Wukiem Hadzi-Petar. Wykonywali ją na świętej górze Atońskiej, dokąd razem chodzili i skąd przynieśli sobie obydwa przydomek „hadzi“. Wuka jednak rzadko kto hadzim (pielgrzymem) tytułował.

— Dobrą jest rada twoja... — odparł Wuk — ale, ot co... Do mnie przychodzą święci i dają mi, jak wiesz, zlecenia różne...

— Wiem... — podchwycił Hadzi-Petar. — Zlecenia, za które cię Turcy do apsu biorą...

— I które mnie może kiedy na pal zaprowadzą... — dodał Hadzi-Wuk tonem naturalnym, jakby o jaką bagatelę chodziło.

— Na cóż ci to, człowiecze?.. Czy ty tem choć trochę Serbji pomożesz?.. — rzekł Hadzi-Petar tonem perswazyj.

— Ph!.. — odparł Wuk i ręką machnął. — Ale o to mi chodzi, ażeby dziecko bez opieki nie zostało...

— Niech cię to nie trasuje... — były słowa Hadzi-Petara. — Niewiasta moja matką mu być potrafi.

— O to mi tylko chodziło.

Pobratymi podali sobie dłonie. Chłopczyna, mający podówczas rok z czémś, miał zapewnione przytulisko, na wypadek bądź niewoli, bądź śmierci dziadka.

Wypadek ten atoli nie nastąpił rychło. Turcy w przekonaniu, że Hadzi-Wuk jest *deli*, zostawiali go w spokoju — tak że on, przy pracy i przy przyjaciół pomocy, zdołał powoli zrestaurować w części zrujnowaną fortunę i zostawić wnukowi jaki taki spadek, wnukowi, który rósł w dwóch domach: u Hadzi-Petara, gdzie znajdował opiekę macierzyńską, i u dziada, gdzie się karmił miłością dla Serbji i nienawiścią dla Turków.

Na Deli-Wuka przyszła kolej naturalnym rzeczy porządkiem, w którym jednak było coś i nadnaturalnego.

— Ot... — rzekł razu pewnego do pobratyma — wiesz, co ci powiem... Dziś środa... We środę, co przyjdzie, kiedy będzie słońce zachodziło, zamknę oczy na wieki...

— Il... cóż ty gadasz?... — podchwycił Hadzi-Petar.

— No... no... zotaczysz...

— Jesteś przecież zdrów, Bogu chwała...

— Ta-że zdrów... Ale mnie tam wołają... — odparł, pokazując palcem na niebo.

— Turcy ci dają spokój...

Słowa te ścierały się do owej pół-przepowiedni, którą Hadzi-Wuk wyrzekł niegdyś o sobie, mówiąc, że może poprowadzą go na pal.

Hadzi-Wuk to zrozumiał.

— Hm!... — odparł z akcentem niecierpliwości. — Turcy boją się zaczepiać mnie... Ale tu już nie oni wyrokują...

Co do obawy tureckiej, omylił się, Turcy się go nie lękali; to jednak pewna, że takim było powszechne uszanowanie, jakim Deli-Wuka spółziomkowie otaczali, że śmierć jego na palu, na szubienicy lub pod mieczem byłaby silne wywarła wrażenie, byłaby w jagodyńskich Serbach spotęgowała niepotrzebnie niechęć do Turków, i bez tego wielką. Instynktownie Deli-Wuk to czuł, chociaż tego wyrazić nie umiał i z tej przyczyny podejrywał Turków o bojażń zaczepienia go. Hadzi-Petar wiedział dokładnie, jak rzeczy stoją, lecz nie chciał snadź drażnić pobratyma, przez wyświecanie przed nim położenia jego. A że się zmylił w jednym względzie, więc był niemal pewnym, że się zmyli także i we względzie tej śmierci we środę.

Że to przepowiedzenie sobie dnia i godziny śmierci, nie pozostało bez wywarcia wrażenia na umysły ludności ciemnej, a zatem przesadnej, tego dodawać nie potrzeba. Wszystko, co Deli-Wuk opowiadał, nabrało po zgonie jego znaczenia i mało brakowało do uznania go wybrancem bożym, któremu dopuszczonem było widzieć i wiedzieć więcej, aniżeli śmiertelnikom zwyczajnym. Za czasów dawniejszych byłoby to niezawodnie nastąpiło, a nawet nastąpiłoby to i za tych czasów, do których się powieść nasza odnosi, gdyby nieboszczyk otaczać się umiał tajemniczością i zagadkowością. Wszakże, mimo to, znaleźli się tacy, na umysłach których wycisnął on pewien rodzaj pieczęci. Do takich, między innymi, należała Milewa.

Kobieca jej wyobraźnia uderzoną została nadzwyczajnością przepowiedni. Przyjęła to za pewien rodzaj eudu, o którym marzyła nieraz. W natężeniu wyobraźni nieraz i jej wydawało się, że się przed oczami jej zarysowują obrazy, podobne do tych, jakie Deli-Wuk przed śmiercią kreślił. Ale ująć ich, schwycić nie mogła — i składała to na to, że Najwyższy nie uważa jej za godną łaski tak wielkiej.

Można wyobrazić sobie, jaką ona zastępczynią matki stała się dla wnuka nieboszczyka. Chłopcu u rodzonej nie mogłoby być lepiej. Doglądała, pielęgnowała, cieszyła się nim tembardziej, że zgóry widziała w nim małżonka wnuczki, a więc członka rodziny własnej.

Wnukowi Deli-Wuka na imię było Milenko, wnucze Milewy Anka — ta sama Anka, która się na Marka zapatrywała...

Pomiędzy dwojgiem tych dzieci zachodziła znaczna wieku różnica. Milenko był o lat szesnaście od narzeczonej swojej starszy, co w Serbji, gdzie częściej starszą bywa co do lat żona od męża, aniżeli mąż od żony, stanowi wykroczenie przeciwko zwyczajom przyjętym. Niewielkie to jednak było wykroczenie. Zaradczy na nie środek nastęrczał się sam przez się. Należało wydać zamaż dziewczynę w pierwszym młodości jej rozkwicie, w szesnastym roku jej życia. Mąż lat trzydzieści jeden, żona lat szesnaście?... wypadki podobne zdarzały się na świecie, w Serbji nawet. A zresztą — choćby się i nie zdarzały, to to samo, iż małżeństwo to znalazło uznanie Deli-Wuka

na łożu śmiertelnem, dostateczną było dla Hadzi-Petara, a szczególnie dla Milewy pobudką do trzymywania się go oburącz.

Dziewczyna tedy rosła, zgóry przeznaczona, i chłopiec rósł obok niej. W rośnięciu ich zachodziła niezgodność pewna. Ona się podnosiła nad ziemię, on pędził w górę; ona była jeszcze dziewczynką, on dochodził już lat graniczących z wiekiem męskim. Wydawało się, jakoby, wbrew naturze rozwijającej kobietę rychlej aniżeli mężczyznę, on dorastał prędzej, aniżeli ona. Kiedy Anka liczyła lat dwanaście, Milenkowi kończyło się dwadzieścia osiem. Mogłoby to stać się dla związku ich fatalnem, gdyby nie to, że Milenkowi nie ciążył jakoś kawalerski stan. Co było tego przyczyną? — odgadnąć trudno. Może wdzięki dziewczęcia, rozkwitającego jak kwiat z pączka? Może roztargnienie młodego człowieka, zajętego pracą u kozucharza, teścia Żiwkowego?...

Prędzej pierwsze, niż drugie. Co się bowiem pracy tyczy, to tej, żeby całą prawdę powiedzieć, Milenko nie oddawał się z gorliwością zbytnią. Siedział w sklepiku, póki musiał, i zszywał kawałki futra baraniego jedne z drugimi, ale wolał tego nie robić. Z tego powodu, kiedy był młodszym, często od majstra, Żiwkowego teścia, ciągi dostawał; kiedy zaś na człowieka wyrósł, często na niego zachodziły skargi.

— Nie pracuje, opuszcza się, darmo chleb je...

Często go też spotykały strofowania, tak ze strony przyszelego jego teścia, jako też ze strony Hadzi-Petara.

— Słuchaj-no... — powiadali mu: — co z ciebie będzie?

Milenko miał zwyczaj na zapytanie to odpowiadać milczeniem. Bo też, prawdę mówiąc, było to zapytanie dość ciekawe, które sobie i sam zadawał często.

— Co ze mnie będzie?... Kozucharz...

Ale jakoś nie mogło mu do głowy przystać, ażeby życie jego upłynąć miało w drewnianym sklepiku, na kuśnierskiej ławie, wśród skór baranich, lisich, wilczych, psich, kozich etc. Zajęcie, któremu się oddawał, wydawało się mu tymczasowem i przypadkowem. Roilo mu się po głowie inne, wysnute częścią z pieśni, które ślepi śpiewali gęślarze, częścią z opowiadań dziadka, które mu w pamięci tkwiły. Nie wiedział jednak, jakie mianowicie. Nie umiałby onego określić. Zapytany, czego dla siebie pragnie,

nie umiałby odpowiedzieć dokładnie, a raczej nie umiałby pragnień swoich ująć w wyraz jeden, malujący dokładnie powołanie, do jakiego miał pociąg. Wiedział tylko z pewnością całą, że do kuśnierki nie miał pociągu najmniejszego, a to dlatego, że siedząc nad robotą, nie myślał o robocie wcale, ale natomiast o wielu rzeczach innych, nie mających najmniejszej ze zszywaniem skór styczności. Myślał naprzykład często o świetnym stroju czerwonym lub zielonym, złotem albo srebrem szytym, o pistoletach perłową nabijanych macicą, o zamkach, pałacach, tłumach służby i niewolników; myślał o tureckich głowach z karków spadających. Myśląc o rzeczach podobnych, nie mógł, rozumie się, gorliwie kozucharstwu się oddawać, a zarazem nie mógł odgadnąć, co z niego będzie.

Pytanie więc, zadawane mu często przez Żiwka i Hadzi-Petara, pozostawało w stanie zagadki nierozwiązanej dla innych, przedewszystkie zaś dla Milenka samego — przedewszystkiem dla niego, inni bowiem tak sobie rzecz tłómaczyli:

— Z latami ustatkuje się. Krew gorąca przewre zastanowienie przyjdzie i będzie z niego kozucharz, nie lepszy, ani gorszy, od innych...

On atoli sam o sobie powiedzieć tego nie mógł. Do kozucharstwa czuł wstręt, a pod względem pociągu do innego jakiego rzemiosła, o jednym tylko wiedział: o dziwnym pociągu do skóry tureckiej. Widok Turka sprawiał mu w rękach świerzbiczkę. Nie wyobrażał sobie przyjemności większej nad możność zmięcia w garści bodaj jednego z wyznawców proroka.

— Bodaj jednego!... — mówił sam sobie nieraz w duchu, wypuszczając igłę kuśnierską z palców, zaciskając kulaki i przykładając je jeden do drugiego.

A czuł się na siłach, by w przyjemność podobną uczynić sobie, natura bowiem hojnie go pod względem cielesnym uposażyła. Był wzrostu słusznego, karku szerokiego a krótkiego, w plecach i piersiach szeroki, czoła niskiego, muskularności bogato rozwiniętej, słowem, budowy atletycznej. Mógłby służyć za model do posągu Herkulesa. Mógłby, doprawdy, Turka zmiąć, gdyby mu się pod rękę nawinał.

Niedziw, że człowiek, takimi obdarzony zdolnościami i takim przeniknionym pragnieniem, nad igłą przykrzyży

sobie. Dziwem prawdziwym było raczej to, że wytrzymał nad nią przez lat dwanaście.

Jak dziwo to wytłumaczyć? Czy nadzieją zostania małżonkiem Anki?... Tłumaczenie podobne byłoby naciąganiem. Nadzieja ta nie mogła być wędzidłem na burzliwy charakter, z tej przyczyny, że Anka, dziewczynka mała, nie była wstanie wpływu nań wywierać. Milenko patrzył na nią, jak rosła; widział w niej dziecko i nic więcej. Cierpliwość przeto, z jaką on się rzemiosła trzymał, przypisać należy czemu innemu: wpływom poważnym nauk moralnych Hadzi-Petara, wpływowi serdecznemu macierzyńskiej Milewy. Ta zwłaszcza ostatnia umiała do przekonania jego trafić i bujną fantazją na wodzy trzymać, a to przez to, że i jej fantazja nastrojona była do tonu takiego prawie samego, co Milenkowa. Na nich dwojgu sprawdzało się łacińskie przysłowie: *similis simili gaudet*. Milenko wynurzał się przed Milewą z jakiejś części rojeń swoich i znajdował w niej spólcucie, tłumaczące się niekiedy łzą zwilgotniającą powieki kobiety, niekiedy gorącym pocałunkiem złożonym na czole młodzieńca, niekiedy słowami pociechy.

— Cierp, synku... cierpiał i dziad twój... I on pracował, pomimo że się jemu Matka Boska i święty Sawa pokazywali... Może ty się doczekasz, czego się nie doczekał on...

Cierpiał więc Milenko — siedział nad kuśnierską robotą; lecz ile ta jego cierpliwość nici narwała i igieł namalała, tegoby żaden najbieglejszy obliczyć nie zdołał rachmistrz.

Wszakże: „póty dzban wodę nosi, aż mu się ucho urwie“.

Milenkowa cierpliwość, wystawiana często na ciągłą w kuśnierskim warsztacie próbę, wystawiana często na próby w ucisku, jakim było tureckie panowanie, pękła razu pewnego w sposób Mojżeszowy, przy studni na rynku — studni murowanej, z kamiennym żłobem, do którego woda siedmiu tryskała rurami. Milenko przechodził rano przez rynek do warsztatu. Nie mając zwyczaju śpieszyć do roboty utrapionej, szedł powoli, rozglądając się na prawo i na lewo, i zatrzymał się z powodu widowiska, jakie go uderzyło. Widowiskiem tem była kłótnia. Przy studni zebrało się kilkanaście kobiet z wiadrami i dzbankami

i zawiązały spór z wyrostkiem. Kobiety były to Turczynki, wyrostek był Serbem. Niewiadomo było, o co im poszło. Chłopak podobno dopuścił się względem jednej z obecnych swawoli — wodą bryznął, czy coś takiego. Turczynki mu wymyślały; on im się odcinał. Powstała wrzawa. Nawinał się jeden z bejów miejscowych, wmieszał się do sprawy, wziął stronę kobiet i spór zagodził w ten sposób, iż ujął wyrostka za uszy, nagiął mu głowę na żłób i bił nią o kamienie, odbywając tę egzekucję przy towarzyszeniu klątw i złorzeczeń, odnoszących się do chrześcijaństwa w ogólności a do Serbji w szczególności. Za drugim czy trzecim uderzeniem, chłopcu z czoła popłynęła krew! Na widok ten Milenko zakopiał. Poskoczył, Turka za gardło pochwycił, zdusił i rzucił. Pochwycił człowieka żywego, rzucił... trup. Kobiety z wrzaskiem uciekły. Przy studni pozostał Turek, drgający rzutami konania i nad nim Milenko zaślepiony, ogłuszony i rozwścieklony.

Mojżesz w podobnym wypadku uciekł — jak mówi Pismo Święte. Milenko nie wiedział, co począć. Nie mógł się oderwać od widoku sprawiającego mu dziką jakąś rozkosz i nie mógł stłumić w sobie głosu, który mu w duszy wył hymnem zemsty, układając się w wyrazy następujące:

— Turków mi tu!... Turków jaknajwięcej!...

Czekał niedługo. Z domów, ze sklepów, z kawiarni co na rynku stała, z konaku, z przodu, z tyłu, z prawej strony, z lewej wychodzić poczęli wyznawcy Mahometa i otoczyli go kołem, które, zrazu szerokie, stopniowo się ścisnęło, w miarę jak ludzi coraz to więcej przybywało i jak ludzie ci ku studni się coraz to bliżej posuwali, uzbrojeni jedni w kije, drudzy w bezmiany, inni w noże lub w kindżały. Milenko spoglądał po nich wzrokiem krwią nabiegłym. Czoło miał sfałdowane w brzoźdy grube, nozdrza rozdęte, policzki mu drgały. Turcy nie śpieszyli się, pewni, że się im nie wymknie. On zaś o wymknięciu się ani myślał. Tylko gdy przeciwnicy blisko byli, ryknął niby byk rozjuszony, susem jednym pomiędzy nich wpadł i w tejże chwili zrobił si dokoła niego próżnia. Milenko trzymał jednego z Turków za nogę i wywijał nim. Zrobiwszy sobie rum, cisnął tego, poskoczył i pochwycił drugiego. Po chwili miał w ręku już trzeciego.

Turków ogarnął poploch. Powoli się zeszedli, lecz szybko się rozciągli, pozostawiając Milenka panem rynku,

zasłanego turbanami i papuczami, rannemi i trupami. Było dwóch rannych, tych którymi wywijał z początku, i dwa trupy, jeden pod studnią, drugi pod słupem, o który grzmotnął tego, co go naostatku miał w rękę, a grzmotnął nim tak, że mu się głowa jak czerepiany rozbiła garnek.

Pozostał sam. Obejrzał się. Odwinał rękawy, jakby gotując się do walki nowej. Obszedł rynek dokoła, jakby dla stwierdzenia tryumfu. Zawrócił w jedną z uliczek, prowadzących ku rzece. Widziano go na moście, wpatrującego się w nurty Lewaczki. Rozeszła się pogłoska, że wskoczył do wody i utopił się.

Turecy kleli, a chrześciance szeptali pomiędzy sobą, że Milenko będzie bezpieczny, jak się tylko za Morawę dostanie.

Anka przeto pozostała narzeczoną, w położeniu podobnem nieco do położenia wdowy, tak zwanej słomianej. W chacie Hadzi-Petara było smutku i płaczów dużo. Stara majka jednak płakała, ale się nie smuciła.

— Poszedł drogą swoją...— mówiła.— Da on o sobie wiedzieć...

Jakoż, w miesiący kilka po wypadku tym, przyszła do Jagodiny wiadomość pierwsza o Milenku-hajduku, a w parę lat potem zagadano szeroko o Milenku-harambaszy.

— To on!...—twierdziła Milewa.

I nie myliła się. Był-to on w rzeczy samej, ten sam Milenko, z którym zabraliśmy znajomość na górze Pekskiej. Spełniły się w części rojenia jego młodzieńcze. Miał strój pyszny; z za pasa sterczały mu pistolety i kinał, złotem, perłami i drogiemi kamieniami nabijane; rozkazów jego słuchała drużyna wierna i waleczna; mógł sobie dogadzać, ile razy go ręka zaświerzbiała; a sklepienie nieba i zielone góry służyły mu zamiast zamków i pałaców.

8. Zielona kitajka.

Opowiadanie o losach Milenka dało nam poznać dokładnie położenie Anki. Była ona związaną przyrzeczeniem, obowiązującym nietyłe ją samę, co jej dziadka i babkę, azatem ojca i matkę. Na straży tego zobowiązania, stał duch Hadzi-Wuka, który jednak nie stał i stać nie mógł na straży serca dziewczyny. „Serce nie sługa, nie zna co to pany“ — powiada piosenka Anka, która do dwunastego roku życia swego miała się za przyszłą „nie-wiastę“ Milenka, a od dwunastego roku karmioną miała wyobraźnię opowiadaniem o możeszowem jego znalezieniu się na jagodyńskiej *czarszji* i o junackich czynach w górach dokonywanych, która pamiętała dobrze tę postać atletycznej postawy i dzikiego wejrzenia, której nakoniec nie mogło nie pochlebiać bohaterstwo narzeczonego, Anka powiadam — nie czuła do narzeczonego tego pociągu serdecznego. Nic jej od niego nie odpychało, ale też pomiędzy nią a nim nie istniał ten węzeł gordyjski, którego i miecz Aleksandra rozciąć nie jest w stanie. Kochała go, jak się kocha brata, dumną nim była dumą siostry. Najprzywiązańsza atoli i najtardziej kochająca siostra czuje potrzebę i innej jeszcze miłości. Ta-to potrzeba, nierozumiana — któż bowiem coś podobnego rozumie? — przez Ankę do chwili przybycia Marka, odezwała się w jej sercu na widok jego, stała się nieodzowną przy dźwięku jego głosu.

Anka zobaczyła Marka po raz pierwszy wieczorem, w chwilkę później, niż go widziała Fatma-hanem, w dniu jego do Jagodiny przybycia; na drugi dzień około południa kochała już człowieka, co wpół leżąc w trawie, odpowiadał na zapytania, jakie mu jej matka i ciotki zadawały, a opowiadał urywkowo, to coś o sobie, to znów coś o Serbji, o Niemcach, o niewoli, o walkach, o cierpieniach. W południe słońko niebieskie oblewało ziemię potokami światła i dogrzewało, a serce dziewczyny darło się do tego słońka, co świeci, grzeje i dogrzewa ludziom pod nazwą miłości.

Dziewczyna kochała i doznawała dziwnej z kochania rozkoszy. Siedziała za matką, która ją sobą wpół zakry-

wała; pobliski krzak tarniowy rzucał na nią cień z ukosa; z za matecznego ramienia spoglądała ku Markowi; i tego jej było dosyć—czuła się jakby w niebie—swego siedzenia w trawie i cienia krzaku tarniowego nie zmieniłaby na żadne pałace „sterczące dumnie“. Było jej bardzo dobrze.

Tak jednak, niestety! pozostać długo nie mogło.

Przyszło najprzód złe przecucie, pod postacią obawy, podobnej do tego wiatarka leciutkiego, co to niewiedzieć skąd się bierze i marszczy szklaną wody powierzchnię. Jakaś trwoga zaniepokoiła jej duszę. Trwoga to była bezimienna, a jednak odejść nie chciała, pomimo że Anka nie zapytywała się wcale o następstwa wyniknąć mogące z tego szczęścia bezmiernego, jakiego w chwili tej doznawała. Było to złe przecucie — tajemnicza przestroga, której wytłómaczyć nie sposób.

Przecucie sprawdziło się. Bańka jej szczęścia prysła.

Pośpieszam jednak z zapewnieniem, że nic się złego nie stało. Złe bowiem wyraziło się w sposób, w którym nierozkochane synowe Hadzi-Petara nie widziały nic przykrego, nic, co by komu zagrażało. Przeciwnie. Usłyszały przeciągłe gwizdnięcie. Anka zbladła, niby chusta, matka jej i ciotki w jeden zawołały głos:

— Hadzi-Petar!...

Głos ich nabrzmiął był radością. Poczęły składać robótki i zwoływać działwę z krzaków.

Marko wstał.

Niebawem pojawił się Hadzi-Petar i z uśmiechem na obliczu pozdrowił drużynę kobiet.

— Wracajcie... — rzekł — Burza przeminęła szczęśliwie.

— I ten człowiek wróci?... — zapytała Stana, ukazując na Marka oczami.

— Ten człowiek?... — odparł starzec, patrząc naszemu bohaterowi w oczy. — Coś Turkom bardzo chce się człowieka tego dostać... Dlatego ty do mojej kuli powracać już nie możesz... Kir-Kosta, niby pies gończy, śladów twoich szuka.

Potrzebnym jest króciutki komentarz do objaśnienia ostatnich Hadzi-Petara wyrazów, mogących się komu wydać przenośnią, a odnoszących się do rozmów, jakie Kir-Kosta ze starcem miał dwukrotnie. Nie były one przeno-

śnia bynajmniej. Hadzi Petar, wychodząc z domu w celu przywołania kobiecej połowy swojej rodziny, zachował tę ostrożność, jaka się zazwyczaj w podobnych zachowywała razach. Często się zatrzymywał, oglądał i rozpatrywał. Wyszedł najprzód stroną jedną i powrócił. Udał się następnie w stronę drugą i znów wrócił. Synowie także rekonesanse robili, ukrywając się z tem jaknajstaranniej— i tak Hadzi-Petar, jak synowie jego, widzieli kir-Kostę, nad rzeką chodzącego i pilnie czegoś na brzegu szukającego. Brzegi Lewaczki, zwłaszcza w miejscach gdzie istniały brody, były piaszczyste i gdzieniegdzie namulone. Nie potrzeba było nadzwyczajnej bystrości, ażeby się domyślić, czego to kir-Kosta szuka. Chodziło mu o dowiedzenie się, co się stało z poszukiwanym nieznanym: czy, jak odpowiedzi Hadzi-Petara domyślać się kazały, wyszedł na miasto i ostrzeżony, w innym jakim ukrył się domu? czyli też z rodziną starca w pole się wyniósł? Od wiadomości tej zależało zarządzenie poszukiwania dalszego. Kir-Kosta przeto szukał nad rzeką śladów na piasku, wyciśniętych przez nogi zbiegów. Oto do czego odnosiły się wyrazy Hadzi-Petara.

— Co za kir-Kosta?... — zapytał Marko.

— Pewien pies, który przed nami szczeka na Turków, a przed Turkami na nas, pewien lis, który się ogonem nakrywa i niewinnego udaje... Ukradł tobie ten wielki sahat...

— Sahat?... — wtrącił Marko tonem zdziwienia.

— No... ten sahat, czy co, co to północ pokazuje...

— Kompas...

— No... kompas... Turcy zabrali obraz kraju i list...

— List!... — krzyknął Marko i dłonią się po czole palnął. — Otożem się spisał!... zapomniałem o liście!...

Przy słowach tych wzrok rzucił na Ankę, jakby w celu pociągnięcia jej do odpowiedzialności, i ujrzał ją tak zbladłą, że już-już miał na języku zapytanie jakieś, odnoszące się do powodu koloru lic jej, lecz się powstrzymał. Natomiast wyraził oczami rzewne spótcucie i zwrócił się z zapytaniem do Hadzi-Petara:

— Czy mieszka w Jagodynie Szwab?

— Jeszcze co!... — odrzekł stary. — Czy niedość nam Turków?...

— Ale może kto po szwabsku mówi?...

— Nikt, Bogu dzięki...

— Bogu dzięki!...—powtórzył Marko z naciskiem. — Kiedy nikt po szwabsku nie mówi, to tembardziej nikt nie czyta... Mogą się więc Turcy na list mój patrzeć do dnia sądneho. Napiszę inny...

— A czy koniecznie pisać potrzeba?...—zapytał Hadzi-Petar.

— Koniecznie...—rzekł Marko. — Pułkownik Michajlewicz...

Wymówił nazwisko i za język się ugryzł. Dłonią potarł po oczach i po twarzy, z oznaką nieukontentowania z samego siebie. Tu listu zapomniał, tu się wyrwał z nazwiskiem, którego wymienić, jak się zdaje, był nie powinien. Wyraźnie coś mu szyki w głowie pomieszało.

— El!..—ręką machnął i palcami strzepnął.

— Koniecznie ci pisać potrzeba?...—powtórzył Hadzi-Petar powoli i w zamyśleniu, robiąc głową giesty, oznaczające, iż coś w umyśle rozważa. — No... hm... koniecznie?...

Po chwili się odezwał:

— Kiedy tak, to zostań-że ty tu do wieczora...

Nagle zapytał tonem pół-żartu:

— A umiesz-że ty jaką sztukę szwabską?..

Marko spojrział starcowi w oczy, treścią zapytania zdziwiony.

— Umiesz, czy nie?..

— To co?..

— Jak pies szczekać?.. jak kot miauczeć?... jak kura gdakać?..

Na ostatnie to zapytanie kobiety w śmiech, a Markowi rumieniec na lica wybiegł, rumieniec, który ludziom wybiegać zwykł przy doznaniem ubliżeniu.

— Ja-bo nie na śmiech mówię...—rzekł stary poważnie, tonem surowym. — Ty tu zostaniesz do wieczora... Wieczorem jeden z synów moich, albo kto inny, przyjdzie po ciebie... Potrzeba więc, ażebyś z nim się rozmówić umiał, ażeby on ciebie i ty jego poznać mógł zdaleka, ot, jak kobiety poznały mnie, kiedym gwiznął... Bez tego, zamiast swemu, mógłbyś się turkom w ręce dostać...

Kobiety śmiać się przestały.

— Więc cóż—starzec zapytanie powtórzył — umiesz jaką sztukę niemiecką?..

Marko się uśmiechnął i pomyślał chwilkę.

— Umiem przepiórki wabić... Nauczyłem się tego, jak-em był wyrostkiem...

— To dobrze.. Więc ten, co wieczorem przyjdzie po ciebie, gwiznie trzy razy, ty mu odpowiesz biciem przepiórki, a on w dłoń klaśnie i zejdziesz się... On cię zaprowadzi w miejsce bezpieczne, gdzie pisać będziesz mógł.

Zwracając się zaś do kobiet, dodał:

— Zostawcież mu, co tam w torbach macie, żeby przez dzień nie zgłodniał, a same zabierajcie dzieci i... do domu!.. każda drogą inną...

Poparł rozkaz giestem. Drużyna kobieca rozpierschła się.

Stara odeszła ostatnia, a to dlatego, że się Anka ociągała, szukając po-pod krzakami czegoś, czego nie zgubiła. Co zaś zgubiła — o tem powiadomieni jesteśmy dostatecznie.

Biedna dziewczyna! Przed chwilą taka była szczęśliwa!.. Za tą chwilą było jej żal... żal... wysłowiłoby tego nie mogła, i z głową pochyloną, z oczami w dół spuszczone, szła za matką, jakby — przepraszam za porównanie—na sznurku ciągniona. A jak na toż, matka się rozgadała.

— Anko, bre...—mówiła Stana. — Ten Marko na juna patrzy... Istny junak!.. żeby go zobaczyła lat temu dwadzieścia, kiedym dziewczynką była, to... hm...

Anka na matkę spojrziała wzrokiem, w którym i zdziwienie i postrach się odmalowały; ta zaś prawiała dalej:

— Jegoby z Milenkiem porównać można; ale... gdzie tam!.. Milenko i on, to jak sielak i wiaroszanie...

W guście podobnym gadała baba dalej, przerywając sobie niekiedy dla obejrzenia się na młodsze dzieci lub dla ponaglenia Anki do pośpiechu:

— Ta idź-że prędzej!.. Co tobie, że się tak wleciesz?

Ona szła i oglądała się. Nagle zawołała:

— Majko!.. a patrz-no...

I pokazała palcem.

Wzdłuż rzeki widać było ludzi rozstawionych w odstępach pewnych, jak szyldwachy, i ukrywających się. Jeden stał za skałą, drugi za krzakiem. Pokazali się

i znikli. Kiedy Anka zwróciła na nich uwagę matki. już ich na widoku nie było.

— Co?..—zapytała Stana, strwożona tonem przerażenia, jaki brzmiał w wyrazach córki.

— Ludzie jacyś...

— Co?.. gdzie?..

— Tam... tam...—odpowiedziała Anka, palcem pokazując.—Zdaje się, jakby podglądali nas...

— Chyba się wydało tobie...

Anka przysiadzby nie mogła, że jej zmysły nie ludziły. Przyspieszyła jednak kroku, co i Stana uczyniła, i wkrótce potem, obróciwszy drogę przez ogrody i podwórza sąsiadów, matka i córka znalazły się pod strzechą swoją...

Widzenie jednak ludzi tych dziewczynie z głowy wyjść nie mogło. Zafrasowała się wielce. Nie wątpiła, że, jeżeli widzenie to rzeczywistością było, ludzie rozstawni czatowali nie na kogo innego, tylko na Marka. Wybiegała do ogrodu, z kąd widać było koryto Lewaczki, przykładała dłoń do czoła, badała okiem każdy krzak, każdy kamień, każdy gruntu załom — nie nie dostrzegła. Uspokoić ją to powinno było. Niemniej przeto w gorączkowym oczekiwaniu wyglądała powrotu dziadka, tymczasem zaś garnęła się do babki, której opowiedziała o niepokoju swoim.

Stara Milewa nie wiedziała jeszcze o Marku nie więcej nad to, że Turcy przyaresztować go chcieli, jako przybysza obcego. Od wnuczki dopiero dowiedziała się o szczegółach, które ją zafrasowały mocno, przenikając, niby promienie światła bryłę kryształową, duszę jej mistycznie nastrojoną. Kiwiała głową, miała oczy szeroko otwórzona i rzucała od czasu do czasu pojedyncze wyrazy lub frazesy, nie przyczyniające się bynajmniej do uspokojenia dziewczyny.

— Boże!.. Boże!..—mówiła.—Kiedy Turczyn napastować zaczyna, czy nie zbliża się to już czas? Ten Marko, czy nie jest to jaki... zesłaniec?.. Kto wie?.. Jeden tylko Hadzi-Wuk nieboszczyk wiedziałby..

W niepokoju przeto wyglądała Anka powrotu dziadka.

Hadzi-Petar nie wrócił aż wieczorem.

W Serbji, w czasach owych, stosunek mężczyzny do kobiety nakazywał tej ostatniej podległość i uszanowanie.

Nie mogła przeto Anka zapytywać dziadka wręcz, co się z Markiem stało. Nie odważyłaby się na to za żadne świata skarby. Mogła jednak dowiedzieć się sposobem innym, wydoskonalonym przez używanie długie i spotegowanym przenikliwością umysłu kobiecego. Sposób ten zależał na czytaniu w oczach. Uciekła się Anka do niego i uspokoiła się. Wzrok Hadzi-Petara nietylko nie wyrażał frasunku żadnego, ale przeciwnie, świecił pogodą wewnętrznego zadowolenia, coby miejca mieć nie mogło, gdyby Markowi zagrażało niebezpieczeństwo jakie. Starzec był nawet w dobrym przy wieczery humorze.

— Bogu niech będą dzięki!..—powiedziała sobie Anka w duszy.

Dostrzegła, że torba, w której złożone były ochrone od tureckiej konfistaty narzędzia, została wyniesiona. To naprowadziło ją na domysł, że Marko znajdować się musi u któregoś z mieszkańców Jagodyny.

— U którego mianowicie?..

Oto, co dręczy ją zaczęło i co jej sen w nocy odebrało.

Trzeba bowiem wyznać, że bohaterka nasza, acz ozdobiona wielkimi przymiotami duszy i serca i pięknoscia ciała niepospolitą, nie była wolną od pewnych ułomności niewieści. Miłość jej nie liczyła jeszcze dwudziestu czterech godzin od chwili, jak się poczęła, a już obudziła się w niej zazdrość... niewinna, lekka, podobna do pyłku skrzydełek motyli, uronionego na listku róży, niemniej przeto prawdziwa. Zapytania bowiem powyższego czepiał się cały szereg zapytań, układających się mniej więcej w sposób następujący:

— Czy u Gicy-bakalina?.. U niego jest dziewczyna lepa... Może u Michaja?.. Ten ma dwie córki... i t. d.

Robiła przegląd wszystkich rówieśnic swoich i porównywała je ze sobą. Sumienie, a może i miłość własna, zaręczały jej, że niema się lękać czego. Jednakże... dręczyła się. Dręczyło ją to szczególnie, że którejś innej dziewczynie, nie jej, danem było przyrządzać dla Marka wieczere, rozpalac dla niego ogień na kominie, ślać mu łóżę.

Biedna dziewczyna!

Nie spała; przewracała się z boku na bok; potraçała

siostry młodsze, które obok niej pokotem w objęciach snu twardego leżały, wdychała.

— Anko!..—odezwał się głos w ciemnościach.

— Co, stara majko?..—zapytała dziewczyna.

— Nie możesz spać?.. — rzekła po chwili stara Milewa.—Och!.. i ja nie mogę... Mój Boże!..

Anka zachowywała milczenie, lękając się snadź, ażeby stara nie zapytała jej o powód bezsenności.

Obawa jej wrzaskie płonną była. Stara Milewa zajęty miała umysł powodem niespania własnego.

— Mój Boże!.. spać nie mogę, bo mi stoi w głowie rozkaz Hadzi-Petara... Mam iść do haremu Ali-agi, zanieść pani jego sztukę materji zielonej.. Och!... — stękała staruszka. — Wolałabym iść na pokutę jaką.. Ale cóż robić?.. Hadzi-Petar rozkazał..

— Z Turczynką dogadać się trudno... — wtrąciła dziewczyna, ażeby coś powiedzieć przecie.

— Jeszcze z taką, jak Fatma-hanem!.. I pomiędzy Turczynkami bywają kobiety ciche i skromne... Ale ta!.. ona nie na kobietę stworzona... Za niczym tam nie poszła, ale Hadzi-Petar rozkazał... Niema co...

Staruszka jeszcze przez czas jakiś gwarzyła i usnęła. Snadź potrzebowała wyłkać przed kimś żal, ażeby odzyskać spokój umysłu, do przywołania snu na powieki potrzebny.

Usnęła z kolei i Anka.

Gdybym był poetą, powiedziałbym, że w izbie, w której babka w towarzystwie tuzina wnucząt spoczywała, wionął skrzydłem cichy anioł snu. Nie będąc wszakże poetą, wyznać muszę, że anioł ów wionął skrzydłem wcale nie cichem. Po odleceniu jego powstał szelest, niby miechów, odgłos chrapań i t. d. Trwało to do rana, a rano ową rzekomą ciszę zastąpił gwar ruchu codziennego. Kobiety się krzątały, dzieci krzyczały — bohaterka nasza w izbach zamiatała — stara Milewa z wizytą do haremu się wybierała.

Pójdźmy z tą ostatnią, wyprzedzając ją o tyle tylko, ile potrzeba, ażeby słów kilka o haremach powiedzieć. Stopniowy rozwój zdarzeń powieści naszej zmusza nas do wycieczki tej w sferę tajemniczością owianą, której największą pono osobliwością jest to, że zamknięta. To nadaje jej urok owocu zakazanego, którego skosztowanie

gdyby każdemu dozwolonem było, niejedenby spluł i powiedział:

— Jest co zamykać!..

Haremy bogate odznaczają się przepychem i zbytkiem, połączeniem bardzo rzadko z dobrym smakiem. Dużo złota, dużo drogich kamieni, jedwab, puchy, kobierce, barwy jaskrawe, zmieszane w pewien rodzaj mozaiki, do składu której wchodzi zarówno świecidla, farby i gładkie lica. Obok brylantu lub rubinu połyska oko, obok kutasów i frendzli — warkocz. Jedno brać można za drugie. Na pierwszy rzut oka wygląda to eudnie i oryginalnie; lecz po bliższym i dłuższem nieco rozpatrzeniu się w cudach tych, uderza okliwość; czuć w nich, pomimo pałacowych kadzidel, jakiś zaduch, który wielki w haremach bogatych, staje się wyłącznie panującym w uboższych. Wszedłszy do haremu, odrazu poznać można, iż się jest w miejscu zamkniętem. Coś niby w nosie kręci... Brak świeżego powietrza niemilo organ powonienia uderza, nąprowadzając na myśl wilgoć zatęchłą.

Takim był harem Ali-agi, w którym samowładna Fatma-hanem rządy sprawowała. Składał się on z kilku izb mieszkalnych i jednej gościnnej. Ta ostatnia służyła do przyjmowania gości i poci niewieściej w dzień, do goszczenia pana i małżonka wieczorem i do spędzania czasu zbywającego dla hanem. A że czasem zbywającym były wszystkie dnia godziny, w których Fatma nie była poza domem, przeto izba gościnna posiadała ją prawie ciągle, przesuującą się po dywanie z jednego końca w drugi. Niekiedy siedziała nieruchomie i, popijając kawę, nargile paliła. Niekiedy cmoktała ziarnka granatu, lub, wystawiając język, smakowała *tally* rozpuszczające się w ustach. Niekiedy, leżąc, wpatrywała się w zwierciadelko, które w rękach, trzymała, i różne do niego miny stroiła. Niekiedy bawiła się lalkami. To ostatnie było jedynem, jakiemu się oddawała, zatrudnieniem. Dla kobiet haremowych lalki wielką stanowią rozrywkę, broniącą je od nudów próżniactwa, nieumiarkowanego temi nawet, tak zwanymi „robótkami“, które paniom naszym, szczególnie zaś panienkom, do zabijania czasu służą... przy gościach zwłaszcza. W haremach robótkami zajmują się niewolnice, panie niczem — niczem, w całym tego wyrazu znaczeniu. Fatma-hanem była panią, miała niewolnic sześć, które

szły i haftowały i pomiędzy którymi jedna głucho-niema służyła jej za towarzyszkę, ile razy wychodziła. Ona zaś sama nigdy w życiu w pieszczonych paluszkach igły, ani szydelka nie trzymała, nigdy żadnej się roboty nie jeła, z wyjątkiem lalek, które ubierała, przebierała, rozbierała, i w różnych je grupach i postawach na poduszce, przy pomocy szpilek, zestawiała, usadowiała i układała, radząc się we względzie tym rozbujalej fantazji, karmionej widowskami, na jakie prawowierni podczas ramazanu małżonki swoje i córki posyłają.

Fatma właśnie bawiła się lalkami, kiedy weszła Milewa.

Staruszka, zwyczajem tureckim, zrzuciła pantofle przed progiem, otworzyła drzwi i przy nich ze schyloną głową, w pokornej zatrzymała się postawie.

Fatma, okiem na nią rzuciwszy, miała na obliczu połysk uśmiechu szatańskiej radości.

Staruszka złożyła jej powitanie etykietalne.

— Chodź-że stara Nazarejko, chodź bliżej...—odezwiała się hanem.

Milewa postąpiła kroków kilka i zaczęła:

— Przychodzę za rozkazaniem małżonka mego i pana złożyć ci, pani...

— Chodź-że bliżej!..—przerwała Turczynka.

Milewa jeszcze się o kroków parę przysunęła.

— Usiądź obok mnie...

Staruszka głowę podniosła, oczami po hanem i po dywanie powiodła, wzdrygnęła się i w pewnym rodzaju przestrachu w tył odstała, wstrzymując się gwałtem prawie od przeżegnania się: w imię Ojca i Syna!..

Turczynka zaśmiała się głośno.

Powodem przestrachu babki bohaterki naszej była grupa z lalek na poduszce ułożona.

— Cha, cha, cha.. Nie bój się stara...

To mówiąc, rzuciła na poduszkę od niechcenia chustkę, którą pod ręką miała.

— Chodź... Usiądź obok mnie.. Cóż tu przynosisz?

Milewa pod pachą zwitek trzymała.

— Mój pan i małżonek przysłał mnie z pozdrowieniem do ciebie, pani, i z tym niegodnym ciebie upominkiem, który kazał mi u stóp twoich złożyć...

— Zielona materja!.. A pokaż-no mi ją...

Staruszka zwitek Fatmie podała. Ta go rozwinęła i, zdawało się, o wszystkim zresztą zapomniała, tak się jej i gatunek i kolor podobały. Cieszyła się tą kitajką majowej barwy, jak dziecko. Zbierała ją w rękę w fałdy i przypatrywała się zdaleka; przykładła sobie materja do piersi, do kibici; obwijała nią sobie ręce, rozwinęła sztukę całą i rozrzuciła ją wzdłuż dywanu, a co chwila wykrzykiwała:

— *Czok ji!.. czok gize!*..

I co moment staruszki zapytywała:

— Czyż nie piękną ja będę w tym stroju zielonym? czyż nie piękną? powiedz, stara!.. Czerwony fez na głowie.. krucze włosy w splotach w koronę... na szyi sznur pereł... do tego strój zielony, złotem szyty... czyż nie piękną ja będę?..

Milewa potakiwała machinalnie i po kwadransie, jeżeli nie krócej, pobytu swego w gościnie, zebrała się do odejścia.

— Cóż to!.. uciekać chcesz?.. — pochwyciła Turczynka. — Poczekaj-no jeszcze... powiedz...

Klasnęła w ręce, kazała przynieść *tatly*, kawę i nargile. Staruszka od nargili się wymówiła, pokornie dziękując, kawy jednak odmówić nie mogła, ani konfitur, których końcem łyżeczki zaczępnęła.

— Powiedz-że panu twemu, żeby liczył na moją łaskę za tę piękną kitajkę... — odrzekła hanem.

— Dzięki ci... — oparła Milewa.

— Ael... — dodała Turczynka, przypatrując się materji — dziwię się, jak on tak dobrze i gatunek i kolor wybrał...

— Wybierał, pani, dla ciebie, więc dogodzić ci się starał.

— To nie dosyć starać się, ażeby dogodzić móżdż. Trzeba się jeszcze znać... Czy on wybierał sam?

Zapytanie to zadając, patrzyła Milewie przenikliwie w oczy, tak, że ta oczy spuścić musiała.

— Czy sam wybierał?..

— Co ja ci, hanem, odpowiedzieć na to mogę? Nie wiem...

— Ty nie wiesz, ale ja wiem... Stary Hadzi-Petar powiedział komuś, że potrzebuje kupić dla małżonki Aliagi materji zielonej, a ten ktoś zapytał Hadzi-Petara: czy młoda, czy piękna?.. Hadzi-Petar na to: młoda i piękna...

Naręczona Harambaszy.

A ten ktoś do Hadzi-Petara: poczekaj-że, stary, ty nie widzisz już dobrze i nie masz w palcach czucia do poznania, czy materja miękka i delikatna... niechaj-no wybiorę ja... I wybrał... I wiesz, stara, co ci powiem jeszcze: ten ktoś ze swojej zapłacił kiesy...

Stara Milewa otumaniona została tą powieścią, z palca wyssaną. Podobny wyskok fantazji tylko w haremowym uość mógł otoczeniu.

— Cóż... czy nieprawda?

— Hanem, ty wiesz... — odrzekła staruszka machinalnie.

— Wiem ja jeszcze i to, że ten ktoś pod dachem pana twego w gościnie zostaje...

Na to już Milewa nic nie odpowiedziała.

— A jest-to rycerz chrześcijański, włastelin, mnogie posiadający dobra... pełno złota w skrzyniach... pełno drogich kamieni, cienkich sukien, jedwabiów... służą mu giermkowie i paziowie... On tu przyszedł, bo słyszał o wdziękach pięknej Fatmy, co wędnieje w haremie starca, jak kwiat bez rosy... On tu przyszedł, gotów wyrzec się swojej wiary brzydkiej, uznać bogiem boga tureckiego i prorokiem jego pro roka i przywdziać turban...

Milewie bębniło i szumiło w uszach.

Turczynka przysunęła się do niej, zniżyła głos i do ucha jej szeptała:

— Powiedz jemu, stara Milewo, niech się tego nie lęka, że go Ali-aga do apsu wsadzi... Niech się tego nie lęka... — Tu jeszcze bardziej głos zniżyła. — Powiedz jemu, stara, że jest ktoś, co nad nim czuwa... co ma klucz od drugich od apsu drzwi, na haremowy wychodzących ogród... co weźmie go za rękę... i wyprowadzi i...

Głos Turczynki przycichł zupełnie, ginąc, jak dźwięk struny, coraz to mocniej tłumikiem przyciskanej. Przez chwilę panowało milczenie. Milewa szeroko otwartymi, zdumiona, słupiała, patrzyła na nią oczyma. Małżonka Ali-agi wpadła w jakiś rodzaj ekstazy, która jej w oczach migocącym świeciła polyskiem; nagle rzuciła się całym ciałem w tył i ręce nad głową załamała.

Potem znów się do staruszki przysunęła i znów jej do ucha pocięchu mówiła. Mówiła powoli, cedząc i mocno zaznaczając niektóre wyrazy:

— Powiedz mu to, stara... Ale pamiętaj; biada tobie, biada małżonkowi twemu, biada twoim dzieciom i wnukom, biada kościom ojca twego, twojej matki, jeżeli się od ciebie o tem, com ci mówiła, oprócz niego, dowie jeszcze kto inny... Ani twój mąż, ani twoje dziecko, ani twój Bóg, tylko on wiedzieć o tem może...

Milewa głowę zwiesiła, jakby wysłuchiwała wyroku śmierci.

Turczynka zmieniła nagle ton. Klasnęła w dłonie. Kazała powtórnie podać *sładko*, wody i kawy i znów zajęła się materją zieloną; a gdy staruszka z dywanu w celu odejścia powstała, już jej nie zatrzymywała.

9. List paszy.

Tydzień cały upłynął od wypadków w powieści niniejszej opisanych, wypadków, pomiędzy któremi ostatnim była stariej Milewy w haremie wizyta.

W ciągu tygodnia tego nie zaszło nic, coby zasługiwało na osobną w opowiadaniu naszém wzmiankę. Gdyby wędrowiec jaki przybył w tym tygodniu do Jagodyny i obejrzał miasteczko, mógłby w podróźnej książeczce swojej zapisać, że widział zakątek, w którym kwitnie spokój, na zadowoleniu oparty. A ponieważ zadowolenie jest owocem szczęścia, więc wynik z tego taki, że do szczęścia nie potrzeba niczego innego, tylko panowania tureckiego.

Takiem też było to szczęście, takim ten spokój, który w Jagodynie panował, — spokój zewnętrzny, formalny, podobny do powierzchni wulkanu, przygasłego na wieków parę.

Wszystko było spokojne, zaczawszy od oblicza starej Milewy, której małżonka Ali-agi ulokowała w duszy piekło.

Stara jednak nie okazywała tego po sobie, uśmiechała się nawet do ludzi, w obawie, ażeby się kto, broń Boże! nie domyślił, jaką tajemnicę piastuje.

Spokojna była i Anka. I ona się uśmiechała — i miała do tego powód słuszny: czytała bowiem w oczach dziadka, że „on“ bezpieczny. „On“ stało się dla niej jednoznacznie imieniem „Marko“, inaczej Marka w myślach swych nie nazywała. A gdy kto przy niej imię jego wymówił, czuła w twarzy gorąco, jakby ją płomień oblewały. Jednakże spokojną była.

Spokojnym był i Hadzi-Petar. Starzec miał może racji najwięcej. Udało mu się wyprowadzić Turków w pole, wprowadzić Marka do miasteczka i ukryć go w domu Jewty-bakalina, człowieka pewnego, z Turkami w dobrych stosunkach pozostającego, tylko pod względem małżonki trochę niedomagającego. To ostatnie jednak wydawało się rzeczą podrzędną. Główną były dobre z Turkami stosunki.

Jewta-bakalin był na całą turecką mahalę dostawcą bakali i artykułów handlu korzennego; kajmakanowi i członkom mezliszu sprzedawał taniej niż innym; był ich powiernikiem pod względem tajemnic, odnoszących się do trunków, przez proroka zabronionych, i żył w przyjaźni z kawędzim, który w izbie obrad kawę gotował i na posiedzeniach mezliszu zabierał głos ekstra-doradcy. Kir-Kosta miał dla niego względy, tak, że, oswoiwszy się nieco z tajemnicami miasteczka, widziało się, że kir-Kosta, kawędzi-Mustafa i bakalin-Jewta stanowili trójkę, pomiędzy którą dzielił się wpływ na sferę urzędową. Ostatni tém się jędynie od dwóch pierwszych różnił, że był Serbem — i dobrym Serbem, chociaż po sobie tego nie pokazywał i pomimo, że z rodu należał do Cincarów⁽¹⁾. Przymioty te czyniły dom jego jedynym na schronienie Marka. Hadzi-Petar mu to zaproponował i on od pierwszego słowa propozycją przyjął.

— Tylko, Jewto, wiesz... ani pary!..

— Nie gadaj ty mi, stary, tego... — odparł bakalin.

— A niewiasta twoja?..

— Język utnę, jeżeli piśnie...

Bezpieczeństwo więc było zupełne i Hadzi-Petar miał powody wielce słuszne być spokojnym zupełnie.

Spokojnym był i Marko. Było mu u Jewty, jak u Pana Boga za drzwiami. Raport swój napisał, wyprawił i... miał cały czas i nieograniczoną swobodę do rozmyślania

nad znikomością rzeczy ludzkich i różnemi innemi, temu podobnemi, przedmiotami. Prawda, że ta tylko pozostawała mu swoboda. Dom bakalina stał w rynku, naprzeciw konaku i miał dół cały zajęty sklepem korzennym, a na piętrze kilka izb ciasnych i niekoniecznie czystych. Jedna z izb tych oddaną została bohaterowi naszemu na użytek wyłączny. Z niej przez dziurkę w pęczku, zastępującym szyby w oknach, rozlegał się widok na plac obszerny, z wagą na środku; na konak z rosochatym jaworem przed głównymi drzwiami i z mурowaną pod spodem szyją, będącą przedsiönkiem do bramy więzienia; na studnię, przy której czasu onego Milenko beja zadusił, na szeregi sklepików, front mehany i wyloty uliczek z rynku w różne rozchodzących się strony. Z wyjątkiem jednak widoku tego, Marko rozrywki nie mógł mieć żadnej. Za domem ogrodu nie było, do któregooby wyjść, posłuchać świągotu ptasząt i świeżem powietrzem odetchnąć można; ale za to sam dom, drewniany, obfitował w żyjątko dwojakiego rodzaju, których nie nazywamy przez wzgląd na przyzwyczajenie literacką, które atoli, do pewnego stopnia i w pewnym względzie, rozrywki dostarczyć mogły i dostarczały; obfitował także w świerszcze, po całych nocach w szczelinach śpiewające. Z powodu rozrywek tych, położenie bohatera naszego dużo miało podobieństwa do położenia więźnia, uóznając się od tego ostatniego pod jednym szczególnie względem, pod względem staranności, z jaką bakalin-Jewta gościł swego karmil. Kiebaby rodzaju różnego, pilafy, czorby, sarmale, potrawy z rozmaitych jarzyn, wszystko to dawał mu po razy kilka na dzień, stawiając przytem wino krańskie i dodając za każdym razem garść orzechów, garść rodzynków, kilka daktylów, kilka fig, trochę hałwy rachatlukumu.

— Jedz, pij i nie frasuj się... — powtarzał, stawiając przed Markiem przysmaki — a z moją niewiastą w rozmowy się nie wdawaj.

Przestroga ostatnia była zbyteczną. Marko, z natury nie nader rozmowny, nie czuł zbyt wielkiego pociągu do gawędki poufnej z bakalinicą, pozostającą względem męża w stanie wojny nieustającej i pobierającą od niego ciągły w dniu każdym, raz jeden przynajmniej. Bohater nasz słyszał, jak się te odbywały operacje i domyślał się, że to o niego chodzi, Jewta bowiem za uderzeniem każdym powtarzał:

⁽¹⁾ Cincary, rumuńscy wychodźcy, w Bałkanach osiedleni; trudnią się mularką i handlem.

— A język za zębami trzymaj!..

To mu także sprawiało rozrywkę niejaką. Zresztą myślał dużo o drogach komunikacyjnych, obchodzących główny trakt turecki, idący doliną Morawy, i o wędrówkach swoich, pomiędzy którymi najbardziej zajmowała go ta, którą odbył w towarzystwie Anki. Był więc spokojny.

Spokojnym był i kir-Kosta. Tego spokojój wydawał się najgłębszym. Twarzą, oczami nie zdradzał troski najmniejszej. Tydzień spędził, jak spędził wszystkie tygodnie urzędowania swego, z wyjątkiem tej jednej tylko małej zmiany, że w dzień rewizji u Hadzi-Petara opatrzył brzegi Lewaczki i to samo powtórzył na drugi dzień o świącie. Pasterze, co owce na wzgórzu wypędzali, widzieli go chodzącego z kijem w rękę, co krok się zatrzymującego i schylającego. Szukał czegoś na piasku i na trawie. Poszedł na drugi brzeg rzeki i badał rowy ogrodów, płoty i ślady na pulchnej ziemi winnic. Często się zatrzymywał i głową kręcił. Wodził oczami po widnokregu, jakby zapytywał o co nieba. Wkońcu westchnął, laseczką w powietrzu wywinął i do miasta powrócił. Czy odkrył co, czy nic nie odkrył?.. czy się czego domyślił, czy się nie domyślił niczego?.. z oczu jego niktby nie wyczytał. Anki nie wyjmując. Tajemnica spozstrzeżeń, jakie poczynił, spoczywała w duszy jego, niby kamień na dnie studni. I w duszy-to zapewne szukać należało jakichś odmian, które się na zewnątrz nie zdradzały. Jak dawniej, odwiedzał rajasów, utyskiwał na ich biedę i czynił przed nimi półwynurzenia, odnoszące się do ciężaru jarzma tureckiego.

Wszakże przebiegły a bystry spozstrzegacz mógłby na Greku dopatrzeć zmian pewnych. Aleby musiał posiadać oko nadzwyczajnie bystre, mające w spojrzeniu miarę i wagę niesłychanie czułe. Zmiana bowiem, jaka zaszła, odbyła się w kónchach uszów kir-Kosty, które zrobiły się jakoś pełniejsze, większe i bardziej niż przedtém wydęte. Powiadają, iż organa ludzkie urabiają się i rozwijają odpowiednio do potrzeby. Być przeto może, iż potrzeba nateżenia organu słuchu to sprawiła, że kónchy uszów kir-Kosty przybrały kształty odpowiednie woli, która tę potrzebę nateżyła, rozwinęły się stosownie do akustycznych wymagań, ułatwiających skupianie dźwięków. To bowiem pewna, że kir-Kosta, po powrocie z powtórnej wycieczki nad brzeg rzeki, stał się niezmiernie uważnym na wszystko, co się gdzie mówiło. Gdziekolwiek był, a szczególnie

na ulicy, nastawiał ucha i wycęzał słuch. Idąc, zatrzymywał się i słuchał. Ludzie przechodzący spozstrzegali go często zmienacką postępującego za nimi tak cicho, że słychać nie było, jak się zbliżył. Częściej jeszcze przytrafiało się to kobietom.

Podpatrzono także jakąś postać tajemniczą, włóczącą się po ogrodach rajów wieczorną porą i podchodzącą pod domy, kiedy rodziny do wieczery zasiadały. Może to jednak było przywidzenie; może to był wytwór przesądnej wyobraźni, skłonnej do wiary w zjawiska nadprzyrodzone. Bądź-co-bądź, w postaci owej tajemniczej, która się tu i owdzie, ku wielkiemu dzieci i dziewcząt przestraschowi, ukazywała, nikt nie dostrzegł podobieństwa do kir-Kosty. Co jednak nikomu w oko nie wpadło, to to, że kir-Kosta zatrzymał się razy parę przed domem bakalina-Jewty, kiedy Jewta niewiastę tłukł, i szedł stamtąd do Ormiaiuna, co pachnidła sprzedawał, na rozmowę, w nierozumiałym prowadzoną języku. Zresztą spokojny był zupełnie.

Spokojnymi byli wszyscy serbscy i tureccy mieszkańcy Jagodiny, a najspokojniejszą była ta ich częśćka wyborowa, co władzę najwyższą przedstawiała. Mezlisz zgromadzał się regularnie. Członkowie jego drzemali na ławie i po przedrzemaniu się powracali poważnie do domów, oddając się drzemce dalej, przerywając takową kilkakrotnie w regularnych czasu odstępach jedzeniem i kończąc snem. Turcy, w zwykłym bytowaniu swego stanie, mają wielkie do węzów boa podobieństwo. Tryb życia państwa, które zbudowali, jest ten sam zupełnie. Rzuca się na zdobycz, obwija ją, zgniata, oślinia, pożera i trawi, zasypiając w czasie procesu trawienia. Wówczas wszyscy śpią — śpią, chodząc, siedząc i leżąc, śpią, nic nie robiąc i coś robiąc, śpią, czynności ważne i nie ważne i urzędy publiczne sprawując. Jest-to stan bardzo błogi, wywierający ten skutek, że mężowie, zajmujący w Turcji dostojęstwa wysokie lub obdarzeni przez los zamożnością, rozrastają się wszcz, w rozmiarach gdzieindziej nieznanych. Gdyby nie opjum i haszysz, wysuszające ciała wyznawców proroka, wyższe sfery społeczeństwa muzułmańskiego składałyby się z ludzi otyłości potwornej. Samo atoli używanie tych środków jest dowodem potrzeby snu w narodzie, znającym dwie jeno czynności państwowe: jedzenie i trawienie.

Turcja znajdowała się właśnie w porze trawienia kiedyśmy bohaterów powieści niniejszej na scenę wpro-

wadzili i tém tłómaczy się dostatecznie ten spokój, jaki w tureckiej części w Jagodynie panował. Wprawdzie dochodziły posłuchy o wojnie jakiejś, toczącej się nad Prutem, nad Dniestrem; ale:

Prut?.. Dniestr?..

Turcy, zamieszkujący w Jagodynie, nie wiedzieli dobrze: czy to rzeki? czy jary? czy jeziora? czy też miasta lub kraje? Drzemali więc spokojnie.

Drzemali i, drzemiac, odebrali odpowiedź z Belgradu na raport paszy, przy którym, jak sobie przypominamy, przesłanemi były paszy mapa i list, zabrane Markowi. Goniec powrócił bardzo prędko. Zazwyczaj podobne ekspedycje potrzebowały do załatwienia czasu rok albo i więcej. Ta zaś załatwioną została w tydzień. Był-to wypadek nadzwyczajny i zadziwiający. To też członkowie mezliszu zadziwili się, lecz po turecku... bardzo poważnie. Każdy oczy szeroko otworzył i głową lekko pokiwał — i, zapłaciwszy w sposób ten zdziwieniu dług, powrócił do obojętności dawnej. Cóż bowiem było wtém nadzwyczajnego? Czy nie Allah kieruje wszystkiém na świecie? Czy dla Allacha jest co niepodobnego? Jemu, co świat stworzył i pisze dekreta losu dla najdrobniejszej rzeczy, łatwo było zapisać w księdze przeznaczeń, iż raport, przez jagodyńskiego kajmakana wyprawiony, ma leżeć w kancelarji paszaliu nie rok, ani miesiąc, ale tylko dzień jeden.

— Allah test wielki, jest potężny... Niemasz Boga, tylko Bóg, a Mahomet jest prorokiem jego...

Z tego stanowiska rozpatrywany, wypadek ten nie był nadzwyczajnością żadną. Członkowie rady się zeszli, miejsca swoje zajęli i pograżyli się w milczeniu. Posiedzenie nie miało celu innego, tylko wysłuchanie odpowiedzi paszy z Belgradu.

Kitabdži włożył na nos wielkie okulary, poprawił się na siedzeniu, rozciął kopertę, nie tykając pieczęci i, wydobywszy i rozłożywszy arkusz papieru, zapisany na jednej stronie, począł się mu przypatrywać jak obrazowi. Przechylał głowę na prawo i na lewo, oddalał pismo od oczu, to znów je przybliżał, patrzył na nie wprost i zukosa i potem dopiero do czytania się zabrał. Pierwej atoli czytał pocichu. Poznać to było można po ruchu ust i po dźwiękach zgłosek pojedynczych, które się kiedy-niekiedy z ust kitabdżego wydzierały. Czytał, miarkował,

myślał, aż wkońcu drzemiącym członkom me zliszu dał znak chrząknięciem głosem.

Chrząknął raz; chrząknął raz drugi i trzeci.

Członkowie mezliszu powieki popodnosili; kajmakana z cybucha pociągnął i kłęb dymu z ust wyrzucił.

Kitabdži zaczął czytać, a raczej bąkać głośno.

Pisanie paszy składało się z trzech części. Pierwsza była pewnym rodzajem przedmowy, zaadresowanej do kajmakana, tytułowanego „rozumnym, prawym i pełnym godności“; koniec jej zawierał życzenie, ażeby Allah użyczał Alemu-adze wszelkiej pomyślności i długiego życia. Treść drugiej części była mniej więcej następująca:

„Wzięliśmy przed oczy nasze, pełne jasności, papiery które nam przysłałeś, mądry Ali-ago. Piszesz, że papiery te, z których jeden zapisany ohydny jakiemś pismem, a drugi zasmarowany jakiemś znakami i kreskami, mającemi podobieństwo do węzów i batogów, zabrane zostały pewnemu giaurowi-włóczędze. Wolelibyśmy, żeby zabranym został giaur-włóczęga, obciążonym kajdanami i osadzonym w apsie, jak sprawiedliwość najpotężniejszego, największego i najslawniejszego (któremu oby Allah długiego udzielił życia!) padyszacha każe, aniżeli te papiery, do odczytania których potrzeba być takim głupim i ciemnym, jak głupimi i ciemnymi są niewierni. Rozkazujemy ci przeto, rozumny, prawy i pełen zacności kajmakanie Ali-ago, ażebyś się więcej podobnemi głupstwami nie bawił. Przypominamy ci przytem poprzedni nasz rozkaz, odnoszący się do imania giaurów i do bacznego czuwania nad rają.“

Część ostatnia była powtórzeniem pierwszej.

Członkowie mezliszu w milczeniu poważnym wysłuchali wymówki tej, wystosowanej do ich przewodnika. Ten ostatni przyjął ją podobnie w milczeniu i z powagą należną. Jeden tylko nieczłonek mezliszu, kawedži, okazywał w czasie czytania oznaki niecierpliwości, pochodzącej zapewne stąd, że opinia paszy o papierach podkopywała opinią, jaką miano o jego (kawedżego) rozumie. Na to jednak rady nie było. W przekonaniu Turków, od krańca świata, gdzie słońce wschodzi, do drugiego krańca, gdzie zachodzi, nie znajdzie się ani jeden człowiek, coby przypuszczać mógł, ażeby prosty kawedži miał mieć rozu-

mu więcej, aniżeli pasza. Sam interesowany nie dopuściłby się herezji podobnej, i dlatego kawedzi, gdy kitabdzi czytanie skończył, odezwał się:

— Słowa paszy są słowami mądrości czystejszej...

A dla uratowania opinii własnej dodał:

— To, co mówiłem o znakach na papierze, odnosiło się do papieru, będącego w posiadaniu derwisza... prawowiernego... Co prawowierny, to nie jakiś giaur... Mądrość giaura jest ciemnotą...

Stał przy kominie, lewą ręką w bok się wziął, a prawą ogień poprawiał.

Kir-Kosta, obecny pytaniu i odpowiedzi paszy, zachował pełne uszanowanie milczeniem, trzymając wzrok zawieszony na obliczu kajmakana. Ten ostatni zwrócił na niego oczy i wykonał głową lekki rzut, oznaczający zapytanie. Kir-Kosta zanadto dobrze znał służbę swoją, ażeby potrzebować miał zapytania ustnego. Zrozumiał, o co chodzi, i odpowiedział, głowę pochylając.

— Szukam, effendim, śledzę z gorliwością jak największą... Pomiędzy rają spokój, a co do włóczęgi tego, wiem z pewnością, że z miasta nie wyszedł...

Następny gość kajmakana oznaczał co następuje:

— Nie wyszedł, ale wyjść może...

— Nie wyjdzie... — odparł Kir-Kosta.

Na tem skończyły się obrady, które trwały godzin trzy. Mężowie, co w nich udział brali, udali się na wypoczynek.

Moglibyśmy naśladować ich i rozdział zakończyć, dając w ten sposób możność wypoczęcia czytelnikowi, który powieścią niniejszą zajmować się raczy, gdyby nie potrzeba rzucenia na opowiadanie nasze trochę światła historycznego. „Trochę“ powiadam wyraźnie, to jest tyle, ile potrzeba do zdania sobie sprawy z osnowy zdarzeń — do zrozumienia naprzykład powodu tego pośpiechu, z jakim pasza belgradzki odpowiedział kajmakanowi jagodyńskiemu.

Zeby całą nadzwyczajność pośpiechu tego zrozumieć, opowiem wypadek jeden z czasów późniejszych, z epoki wojny pomiędzy Turcją a Egiptem. Armja turecka wystąpiła w ubraniu letniem; wojna zaciągnęła się na zimę; komenda naczelnika odniosła się do seraskieratu, z żądaniem ciepłego dla żołnierzy odzienia. Minęła jesień, minęła zima; Ibrahim pasza pobił wojska tureckie, a seraskie-

rat dał odpowiedź na wiosnę, rozkazując, ażeby, przez wzgląd na niskosć temperatury... spodnie białe przefarbowano na błękitne.

Jeżeli przeto w okolicznościach takich seraskierat taki okazał pośpiech, cóż-to za okoliczności być musiały, które paszę belgradzkiego do załatwienia sprawy odrazu zmusiły!

Były-to okoliczności groźne.

Austria ściągała wojska i posuwała je ku granicom tureckim. W jakim celu? Cel leżał jak na dłoni. Państwo ottomańskie miało na karku wojnę z cesarstwem rosyjskiem. Stosunki polityczne we względzie tak zwanej kwestji wschodniej, nie będącej bynajmniej rzeczą nową — jak się niektórym wydaje — odmienną nieco, aniżeli dziś, miały fizyognomją. Innym był rozkład antagonizmów gabinetowych. Nikomu ani przez myśl nie przechodziło, ażeby Austria mogła kiedy mieć spólne jakie z Turcją interesa. Mocarstwo to uważano po dawnemu, to znaczy, widziano w niem najazd na Europę, najazd barbarzyński, cierpiany dlatego jedynie, że posiadała potęgę, którą przelamać było trudno. Pokuszenia, jakie we względzie tym czyniono, rozbiły się o spoistość militarnej organizacji tureckiej, czerpiącej siłę moralną w fanatyzmie rodzaju dwojakiego: religijnym i politycznym. Pierwszy i drugi przedstawiał się pod postacią namiętności. Muzułmanie namiętnie miłowali wiarę swoją, taką ponętą i namiętnie kochali się w podbojach. Spoistość organizacji militarnej, w połączeniu z tą namiętnością dwojaką, czyniła z niej rodzaj lawy wulkanicznej, która się lała i lała i której zatrzymać żadne pojedyncze wystąpienia, żadne sojusze nie były w stanie.

Póty jednak dzban wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie. Potęgą tego, co turecka, rodzaju we własnem łonie słabości zaród nosi. Czem bowiem była spoistość militarna? — formą; czem była namiętność religijno-polityczna? — fikcją. Siła przeto fizyczna potęgi tej, tak długo groźnej i dla tak wielu narodów fatalnej, była czysto formalną; siła zaś jej moralna — fikcyjną. Wystarczyć to mogło na długo, ale nie na zawsze. To też niepowodzeń trzeba było tylko, ażeby się ona zachwiała; a raz zachwiana, słabnąć coraz to bardziej musiała, stawiając na miejscu, które zajmowała, próżni rodzaj pewien. Ona tam była jeszcze, z nią zaś razem była i próżnia. Jestto fe-

nomen dziwne: spólistnienie panowania tureckiego i nice-stwa. Wszystko i nic — razem, spojone związkiem małżeńskim! Każde państwo, jakkolwiek sformowane, posiadało uznanie państw innych, miało jakoweś cechy prawowitości, nakazujące je szanować. Państwo tureckie nie posiadało uznania i nie miało prawowitości cech żadnych. Istniało w międzynarodowym względzie jako fakt; nie istniało jako prawo obowiązujące. Stąd państwom innym, a przedewszystkiem sąsiednim, chodziło o usunięcie faktu tego i o postawienie na miejsce jego innego, czyli: o zapełnienie próżni sobą.

W epoce powieści naszej państwo ottomańskie było już bardzo słabe. Zdaleka czuć się od niego dawała woń trupia; ale — wyraźnie powiadamy — „od niego“, od państwa ottomańskiego, nie zaś od ziem i narodów, nad którymi się władanie tureckie rozciągało. Ziemię przedstawiały się pod postacią kopalni nietkniętych, nieprzebranych skarby w łonie swoim ukrywających; narody — pod postacią płatników z kieszeniami tak głębokimi, że do ich dna Turcy przez ciąg czterech wieków sięgnąć nie mogli, pomimo, że pod względem tym bynajmniej skrupulatnością się nie powodowali.

Próżnia więc, o której wspomnieliśmy wyżej, nie była pozbawiona pewnych powabów i ponęt, zasługujących na to, ażeby się pō nie schylić.

Tron cesarstwa niemieckiego zajmował podówczas Józef II, człowiek poglądów szerokich i zdolności niepospolitych. Klęski zadane Austrii przez Fryderyka Wielkiego, były dla Józefa II podniętą do myślenia o podniesieniu uroku cesarstwa wewnątrz i zewnątrz. Wewnątrz owocem tej pobudki były reformy, na zewnątrz była wojna przeciwko Turcji, przedsięwzięta w celu pomknięcia granic państwa w głąb półwyspu Bałkańskiego, jak można najdalej.

Monarcha ten atoli nie rzucił się w wojnę tę na lew na szyję. Poczekał na dywersją i nie rozpoczynał kroków zaczepnych, aż się przekonał, że działania wojenne na dobre się nawiązały pomiędzy państwem ottomańskim a Rosją. A zanim do otwartej przyszło deklaracji, starał się tak zarządzić, ażeby nic, a przynajmniej jak najmniej, na los ślepego puszczać trafu. W celu tym wydobyto z archiwowego opylania stosunki zakulisowe, jakie gabinet wiedeński utrzymywał niegdys z poddanymi

Wysokiej Porty — stosunki, dzięki którym osiągnięto pierwsze rzeczywiste tureckiej potęgi zachwianie. Mogły więc być one wielce pożyteczne; ale zachodziła tu trudność jedna mała, którą był *czterdziesto-sześćo-letni pokój*. W przeciągu czasu tego pozrywało się nitek wiele, wiele stosunków w sieci, pokrywającej dawne posiadłości tureckie. Potworzyły się dziury wielkie. Serbja mianowicie, z powodu wyznania wschodniego, uzależnionego od patriarchy konstantynopolskiego, mającego dużo ważnych powodów trzymania raczej z Wysoką Portą, aniżeli z gabinetem wiedeńskim, stała się dla tego ostatniego, do pewnego stopnia, rodzajem ziemi nicznej, tajemniczej zwłaszcza pod względem usposobienia mieszkańców chrześcijan odnośnie do państwa niemieckiego. Nie wątpiono w Wiedniu, że Serbowie Turków nie miłują; nie wiadano jednak na pewno, czy kochają Niemców.

Czy kochają Niemców?.. — Rzecz się zahaczała o to, co stanowiło właściwie kwestją bardzo podrzędną, gdyby nie okoliczność, że dwór wiedeński zrozumiał dobrze korzyść posiadania w czasie wojny sprzymierzeńców pewnych i bezpłatnych, dzierżących w rękach swoich wszystkie komunikacje nieprzyjaciela i mogących działać na jego tyłach. Ta okoliczność kwestją podrzędną czyniła bardzo ważną i nakazywała na miejscu idei „państwa niemieckiego“, podsuwać ideję bądź „chrześcijaństwa“, bądź też „ojczyzny serbskiej“. Zamaskowanie idei jednej drugą tę miało korzyść, że do niczego wyraźnie gabinetu wiedeńskiego nie zobowiązywało. Powierzył rzecz tę sztabowi wojskowemu, ten zaś wydelegował pułkownika Michalewicza, Serba z rodu i z uczuć, powierzając mu sprawę całą. W ten sposób sprawa ta stawała się czysto wojskową. Dla Serbów atoli, a zapewne i dla pułkownika, miała ona znaczenie inne, donioślejsze i ważniejsze.

Turcy nie domyślać się nie mogli, że, jeśliby do wojny przyszło, gabinet wiedeński użyje sposobu, którego używał zazwyczaj w wojnach poprzednich. Nie byli oni tak dalece ograniczeni, ażeby pojmować nie mieli korzyści, jaką sposób ten przeciwnikom ich zapewnia. Starali się przeto zapobiedz temu zgóry, ale tak, ażeby — jak to powiadają — „nie wołać wilka z lasu“, to jest nie dać rai poznać, że ona szkodliwą być może. Z drugiej znów strony chodziło im także o niedanie dworowi wiedeńskiemu

poзору do zrywania stosunków względności sąsiedzkiej. Mając na karku wojnę jedną, nie życzyli sobie drugiej. Z tej-to przyczyny wstrzymywali się od wszelkich demonstracji, mogących mieć wyraźny lub ukryty pozór przygotowań wojennych i ostrożności szczegółowych, odkładając tę rzecz do ostatka. Wojska atoli tureckie gromadziły się powoli w Bośni, w Starej Serbji, w okolicach Niszu, ścigały się bez hałasu, maskując się spokojem, jaki utrzymywano w prowincjach, bezpośrednio do granic państwa niemieckiego przylegających. W celu-to zapewne tem lepszego zamaskowania przygotowań tych, władze wyższe tureckie nakazały władzom niższym mieć oko na raję i ścigać włóczęgów obcych. Obcy włóczęgowie byli szczególnie niebezpieczni, mogli bowiem być wysłanymi w celach zbadania stanu sił zbrojnych tureckich, tej tajemnicy, która dla stron, gotujących się do wojny, stanowi punkt najdrażliwszy. Jedna dobra wiadomość wyrównywa niekiedy wygraniu bitwy. Władze przeto tureckie miały racją jak najzupełniejszą, zwracając baczenie na przybyśków z lewego brzegu Dunaju, na którym ściąganie się wojsk świadczyło o istnieniu zaczepno-odpornego przymierza, zawartego pomiędzy Józefem II-gim a Katarzyną II-gą. Nie dziw więc, iż pasza belgradzki pośpieszył z rychłą kajmakanowi jagodyńskiemu odpowiedzią.

10. Widzenia starej majki.

„Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć, jej przyjście wieszczą odgadnie żrenica“ — powiada poeta, odnosząc i wojnę do szeregu tych samych plag, jaką zaraza jest. I wojnę może wieszczą odgadnąć żrenica, tem nawet łatwiej, że, jak twierdzą podania gminne, nie przychodzi ona nigdy, nie poprzedziwszy się znakami na niebie i na ziemi. Na niebie pojawiają się komety różgami ognistymi

straszące, sypią się gwiazdy, pożogi zapowiadające; na ziemi psy wyją, puszczyki jęczą, stada kruków przeciągają nad miejscami pobojozisk przyszłych. Tak pono bywało dawniej. Obecnie to się zmieniło. Cywilizacja, zerwawszy tajemniczy związek pomiędzy światem cielesnym a światem duchów, spędzić potrafiła prorocze światła z nieba i milczenie nakazała psom, puszczykom i krukom. Dawniej jeszcze i umarli mieszały się do spraw ziemskich: cywilizacja i tych w grobach zamknęła.

Ale nie tak bywało dawniej.

Dawniej... Dostyc jednak!.. Spostrzegam, iż rozpoczynam — rozprawę o przepowiedniach, a odstępuję od materji powieściowej. Traktat więc urywam, a do powieści wracam.

Doprowadziliśmy ją do przedednia wojny — do tej właśnie chwili, w której pokazać się były powinny: komety z różgami, gwiazdy spadające, psy wyjące, puszczyki wrzeszczące i kruki za żerem się kręcące. Poszukiwałem śladów tych zjawisk po kronikach i historjach; rozpytywałem o nie na miejscu; starałem się ułoić podania jakoweś: — poszukiwania moje, rozpytywania i starania były nadaremne. Nie poszczęściło się mi pod względem tym.

Niewiadomo, czy Jagodynianie przeczuwali co i czy im wróżby jakie zapowiadały bliskość początku nowej dla Serbji ery. Z wyjątkiem owej postaci tajemniczej, co przez kilka wieczorów straszyla dziewojki i dzieci, nie nie zaszło takiego, coby do rodzaju nadprzyrodzonych zaliczyć się dało zjawisk. Jest-to bowiem rzeczą zwyczajną, a raczej jest-to właściwością tureckiego bytu: gdzie się osiedlają Turcy, tam przebywają i puszczyki. We wioskach najmniejszych i w miastach największych towarzyszą one wyznawcom proroka, jak cień, co za ciałem chodzi. Byle tylko Turcy gdzie zamieszkali, natychmiast głos tych ptaków złej wróżby rozlega się w powietrzu, mieszając się ze śpiewaniem słowików, skrzeczeniem żab, biciem przepiórek, pianiem kogutów i głosami wszy skie mi innemi, biorącemi udział w owym hymnie chóralnym, którym natura brzmi na cześć Stwórcy wszechświata. Nie przyczynia się on wielce do harmonji hymnu, ale za to służy jako dowód owego pustkowia — owej próżni, o której w poprzednim wspomnieniu rozdziale — która tureckie

cehuje panowanie. Wiadomo bowiem, że puszczyki lubią pustki.

Spiewanie przeto puszczyka nie zapowiadało nie — nie wróżyło jeszcze klęski innej nad tę ciągłą, którą stanowiło jarzmo obce, a do której się Jagodynianie już przyzwyczaili potrosze. Woleliby, ażeby nie istniała ona, lecz umieli się do niej stosować jakoś, trzymając się tej praktycznej reguły: „gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podleżeć“. Leźli więc powoli z żywotem, przepłatając takowy i urozmaicając pracą, zapewniającą im wewnętrzną domową niepodległość, bardzo ograniczoną, bo nie wychodzącą poza obręb rodzinnego kółka, i bardzo względną, bo zależną od kaprysów tureckich, — niemniej jednak miłą, bo przez liczne podzielaną grona. Serbja, zepchnięta z politycznej widowni, ukryła się, że tak rzekę, pod strzechą domową i znalazła tam schron pewny i bezpieczny. Rodzina serbska przedstawiała w zmniejszeniu naród, w całej pełni swej, państwo w państwie, mający za podstawę siłę biernego, niemniej przeto skutecznego oporu, który był całą przyszłości rękomią. Co tam się działo na zewnątrz jej sfery, ona to przyjmowała, jak się przyjmuje chorobę, nie uznając tego za stan normalny. „Tak pozostać nie może“ było dla niej pewnym rodzajem latarni morskiej, przyświecającej zdaleka tej nawie olbrzymiej, którą mianowała „otaczbiną“ swoją i na której burza strzaskała rudel, podarła żagle, połamała maszty. Nawa jednak, pomimo to, nie tonęła, światło latarni błyszczało w dal — i rodzina otuchy nie traciła.

Daliśmy już czytelnikowi poznać świętek ów, jakim rodzina serbska była. Tu przeto dodamy tylko, dla uczynienia znajomości dokładniejszą, że świętek ów miał w sobie coś dziwnie uroczego. Ktoś, coby mógł do niego się wkraść w czapce-niewidziance, nie mógłby nie zachwycić się zgodnością, jaka panowała w gromadce, przedstawiającej społeczność w streszczeniu; nie mógłby nie pomyśleć sobie:

— Jakżeż ludzie ci potrafili stworzyć sobie szczęście w nieszcześciu!..

Mówimy tu szczególnie o rodzinie Hadzi-Petara. Nie masz bowiem reguły bez wyjątków i rozminęlibyśmy się z prawdą, gdybyśmy utrzymywać mieli, że w każdej rodzinie serbskiej panowała zgodność doskonała. Zdarzało się rozmaicie. Ludzie nie są aniołami. Lecz co się tyczy

domu Hadzi-Petara, było w nim, niby w raiku ziemskim, zgodnie, dobrze, zacisznie — o tyle, rozumie się, o ile kaprysy panów kraju nie wnosiły weń poplochu. Lecz na podobne wypadki miano w pogotowiu, jak widzieliśmy, środki zaradcze. Była to rozmaitość, która nie nadwyreżała harmonji i nie podkopywała spokoju i szczęścia, malujących się na postaciach starszych i młodszych członków tego światka wielogłowego, któremu życie tak płynęło, jak płyną wody ruczaju, ukrytego w trawach doliny. Coś tam czasem wpadnie; wody się na moment zamąca — i znów się oczyszczają — i znów płyną.

Tem „czemś“, co wpadło, było przybycie Marka.

Marka nie stało... — no... i możeby się wody tego ruczaju oczyściły, gdyby nie... wiadoma okoliczność — okoliczność, która z jednej strony dotknęła starą majkę, z drugiej młodą dziewczynkę. Z wyjątkiem atoli dwóch tych osobistości, wszystkie zresztą inne powróciły do stanu dawnego spokoju, tłomaczącego się regularnem i swobodnem działaniem zwyczajnego trybu życia. Dziadek, ojciec i stryjowie Anki pilnowali tego, co Anglicy nazywają „business“, a na co Serbowie mają w języku swoim techniczne wyrażenie: „zanat“. Bracia jej, rodzeni i stryjeczni, którym wiek na to pozwalał, terminowali i praktykowali w rzemiosłach lub handlu. Matka i ciotki, każda w swoim sposobie, pracowały niby kółka w zegarku. Stanna, na przykład, była tkaczą — pod szopą na podwórzu stał warsztat, na którym wyrabiała płótna i ręczniki dla rodziny całej; bratowe zaś jej i synowice dostarczały jej przedziwa. W sposób ten robiło się wszystko. Jedno drugiemu pomagało, a owoce pracy szły na użytek wspólny. Sama tylko Milewa posiadała przywilej uwalniający ją od pracy obowiązkowej, a to z powodu wieku późnego, starzających sił i osłabionego wzroku. Staruszka stanowiła wyjątek. Nie wymagano od niej niczego, ale za to rodzina cała zachowywała się względem niej z uszanowaniem jak największem i z jaknajgłębszą czcią — całą, powiadam, rodzina, nie wyjmując Hadzi-Petara, dla którego stara jego niewiasta była rodzajem pewnym świętości domowej.

— Moja stara — mawiał — napracowała się... niech spoczywa...

Milewa jednak bez zajęcia pozostawać nie mogła. Przyzwyczajona do pracy za młodu, nie umiała się bez niej obejść na starość. Nie mogąc pracować cieleśnie, zarzezoną Harambaszy.

przątneła sobie umysł, zajęła wyobraźnię, oddała się życiu rozmyślań, zasilanych wspomnieniami, zbieranemi na drodze żywota długiego, i wrażeniami, które silniejszy wpływ na jej umysł wywarły. My zresztą znamy już ją trochę z tej strony.

Owóż ona, jak powiadamy, stanowiła wyjątek.

Zazwyczaj, wstawszy rano razem z rodziną całą, brała się do jakiejś pracy. Posunęła, pokaszlując, w ten kąt i w ów, chciała pomódz coś tej i owej: lecz się prędko przekonywała, że siły nie dopisują jej. Chwytała się wówczas igły lub wrzeciona.

— Ochl... oj!...

Ból w krzyżach nie dozwalał jej schylać się nad szyciem, ani rzucać ręką przy przedzeniu. Zaniechać musiała jednego i drugiego, usiąść poduszkami obłożona i nie bez uczucia zazdrości przyćmionym wzrokiem patrzeć, jak młodsze od niej synowe jej i wnuczki, krzątają się, szyją, przedają, piorą, żarna obracają, w stępach biją i t. d. Zazdrość atoli niedługo w sercu jej gościła. Widziała i uznawała w tem wolę bożą i wola owa służyła jej za punkt wyjścia do tworzenia sobie obrazów, malowanych pędzlem fantazji. Powiedzieć można, iż śniła na jawie, zaciskając ręce, które miała zwyczaj na piersiach trzymać złożone, i błędząc wzrokiem po niebie, na którym wypatrywała Boga, wzywała go na opiekuna dla dzieci swoich i wnuków, dla swojej Serbji. Od dzieci do wnuków, od wnuków do Serbji prowadziła staruszkę droga prosta. Dodać potrzeba, iż dochodziła do tej ostatniej pod przewodnictwem uczucia wdzięczności za szacunek, jakim ją otaczano. Chciała czemś wynagrodzić rodzinie swojej. Chciała uprosić dla niej u Boga jedynej pewnej przyszłości ich rękami, tkwiącej całkowicie w niezależności kraju. Rojenia więc staruszki były nie czem innem, jeno ciągłą, nieustanną modlitwą, obejmującą sferę coraz to szerszą. Modlitwa jej zaczynała się od westchnienia, kończyła na widzeniach.

Tak bywało w czasach zwyczajnych, kiedy pod strzechą Hadzi-Petara życie snuło się trybem regularnym, niby nitka z kłębka rozwijana. Lecz na nitce tej znalazł się nagle węzeł, który staruszkę ze zwykłej wytrącił kolei. Polecenie Fatmy-hanem wprawiło jej umysł w stan chorobliwy, gorączkowy. Każdy kobiety tej wyraz brzmiał jej w uszach, jakby go słyszała nieustannie; każda niemal

sylaba zamieniała się w duszy jej w chóry dźwięków nadnaturalnych, których ona nie rozumiała nawet.

Milewa nie potrafiłaby opowiedzieć, czego właściwie małżonka kajmakana od niej chce. Mówiła jej coś o Marku, o więzieniu, o kluczu do apsu, o drzwiach do ogrodu... mówiła o wytepieniu jej rodziny i tajemnicy. Wszystko to spłotło się w umyśle jej w całość jedną z dawnymi, codziennymi jej modlitwami. snami i widzeniami stworzyło w niej dziwny odmęt, w którym migały się postacie świętych, męczenników, bohaterów, nieboszczyka Hadzi-Wuka, Milenka i tego przybysza obcego, będącego mimowolnym powodem całej tej zmiany. Postacie te przesuwały się jej przed oczami we śnie i na jawie.

— Marko?... Marko?... — powtarzała sobie w duchu, zadając samej sobie zapytania, — dlaczego go Turcy poszukują? dlaczego go Fatma-hanem za rękę wyprowadzić chce?

Pierwsze wydawało jej się straszem, drugie jeszcze straszniejszym. Fatma przedstawiała się jej w postaci szatana, czyhającego na duszę przybysza nieznanego.

— Turczyn gubi ciało, ona duszę...

Zguba duszy Serba! — Czy co okropniejszego być mogło?... Milewę nietylby przerażało ukrzyżowanie lub wbicie na pal. Uważała to bowiem jako stratę na ziemi, lecz korzyść w niebie — jako pomnożenie tego zastępu orędowników, stojących przy tronie Najwyższego i opiekujących się krainą jej. Tłumaczyła sobie opiekę tę po swojemu i dlatego kosztem życia własnego gotowaby była, w razie potrzeby, ratować duszę Marka.

Ta jej atoli gotowość była na nic.

Trzeba było innych szukać sposobów. Ale — jak?... gdzie?... w czem?...

Wyobraźnia staruszki pracowała. Tworzyła obrazy dziwne, coraz dziwniejsze jedne od drugich. Wyobrażała sobie hufce niebieskie, wkraczające do Jagodyny i Michała archaniola na czele, z mieczem ognistym w dłoni wypędzającego Turków. Gdy atoli wyobraźnia jej spokojniejszą nieco była, gdy się znajdowała w nateżeniu stopnia niższego, widziała Milenka wyrzucającego panów kraju z miasta, jak się z gumna wyrzucają zgniłe snopy przez płot.

— Przyjdzie tu... przyjdzie... — mówiła do siebie półgłosem.

Anka ją podsłuchała i zapytała:

— Kto?...

Staruszka za odpowiedź całą głową pokiwała.

— Przyjdzie... — odezwała się raz głośno, kiedy *Ruczak**) zgromadził całą jej rodzinę w grono jedno.

Hadzi-Petar spojrział na nią wzrokiem zafrasowanym nieco; Stana rzuciła napół od niechcienia pytanie:

— Kto, majko?...

— Nie spodziewamy się nikogo...

Milewa się uśmiechnęła, tym uśmiechem, co to oznacza powątpiewanie co do prawdziwości wyrazów usłyszących.

— O niczem, majko, nie wiemy...— odparła Stana.

— Przyjdzie dziś...

— Ta kto?...

— Jak słońce zajdzie...

— Któż taki?...

Hadzi-Petar patrzył na starą swoją małżonkę wzrokiem, w którym się malowało politowanie.

— Przyjdzie... przyjdzie...

— Któż przecie?...— zapytała synowa inna.

Staruszka spojrzała na Ankę. Dziewczyna, oblala się z razu rumieńcem; lecz wnet rumieniec, niknąc jak cień od rozchodzącego się pod słońcem dymu, ustąpił miejsca bladeści, która, niby kredowa powłoka, policzki jej okryła. Czy ona co w spojrzeniu babki wyczytała?... Cóżby wyczytać miała?... Oczy staruszki były, zdawało się, bez wyrazu, przyćmione, mgłą zasłane. Coś jednak Ankę, jak to mówią, w serce tknęło.

Milewa znów głową pokiwała i wymówiła wyraz jakiś, który był wyrazu cieniem, albowiem nie nadała mu dźwięku. Usta jej poruszyły się. Wzniósła wzrok do góry.

Hadzi-Petar ręką machnął i wyrzekł:

— A!...

Ruczak zakończył się w milczeniu. Reszta dnia upłynęła na zajęciach zwykłych. Wieczorem znów się cała zgromadziła rodzina, przy wielkim ognisku, które od komina światło na izbę rzucało.

Staruszka wyjrzała przeze drzwi na podwórze i, zwracając się do Żiwka, zapytała:

— Czemużes na podwórzu ognia nie naniecił?..

*) Ruczak—obiad.

— A na cóż to, majko?...— odparł zapytany.

-- Aniś koźłęcia nie zarznął?...

Żiwko nie nie odpowiedział matce. Milewa ścisnęła ramionami, coś sama do siebie mówiła i przy ogniu usiadła.

Stana opowiadała, jak się jej przy tkaniu płótna nici ustawicznie na czółenku rwały.

— Nici się rwały...— rzekła staruszka półgłosem i coś do siebie mówiła.

Rozmowa ogólna wlokła się powoli, zazwyczaj jak pomiędzy ludźmi, co niewiele sobie do powiedzenia mają i, kończąc dzień pracy, zamyślają o spoczynku. Jedno mówiło półgębkiem, drudzy słuchali półtuchem, a wszyscy patrzyli w płomień, który w komin uciekał. Jedna tylko Milewa spoglądała często ku drzwiom, jakby kogoś oczekiwała.

Miała przecucie. Inaczej tego wytłomaczyć nie można.

— O!...— zawołała.

Synowie, synowe, wnuki, wnuczki i mąż spojrzeli i zarazem usłyszeli odgłos chodu dolatujący z podwórza. Deski na czerdaku zaskrzypiały pod stąpaniem ciężkiem.

— To on... *gle!... gle!...*

I palec na drzwi ukazała.

Wszyscy razem głowy odwrócili.

We drzwiach stała postać wyniosła człowieka, który próg przestąpił i zatrzymał się. Patrząc nań od ogniska, poznać go nie było można. Patrzący się powieki mrużyli, chcąc coprędzej z oczów od płomienia pochodzące olśnienie spędzić; on zaś przez chwilę stał w milczeniu. Wkońcu odezwał się:

— *Dobro wiecz...*

Kilkoro ust złożyło się do wydania okrzyku, którym zapewne było imię przybysza, lecz Hadzi-Petar okrzyk ten powstrzymał.

— Psss...

I zapanowały cisza i nieruchomość. Nikt słówka nie rzekł, nikt na miejscu się nie poprawił.

— Nie spodziewaliście się mnie?...

— Nie... boga-mi...— odpowiedział Hadzi-Petar.

— Czekaliśmy na ciebie... — równocześnie odrzekła

Milewa.

— Wyjdźcie-no i zobaczcie... — kiwnął starzec na synów.

Żiwko i dwaj bracia jego natychmiast wstali i wyszli,

w celu obejścia domu dokoła i przekonania się, czy oko jakie ciekawe na nim nie spoczywa.

W izbie tymczasem przybysz witał się z domownikami.

— Jak się macie?...

— Chwała Bogu... A ty?...

— Bogu chwała...—i. t. d.

Ta wyrażen powitalnych zamiana odbywała się w ten sposób, że przybysz wciąż stał przy drzwiach, w cieniu, a z domowników żaden, z wyjątkiem tych, co wyszli, od ogniska się nie ruszał. Działo się to przez ostrożność. Niebawem jednak powrócili Żiwko i bracia jego i zdali sprawę milczeniem. Ponieważ nie mówili nic, a zatem niebezpieczeństwo nie groziło żadne. Hadzi-Petar więc, pozdrowiwszy wkońcu przybysza przez „*dobro doszeł*“, zaprosił go do zajęcia miejsca w gronie rodzinnem. Domownicy się rozsunęli, robiąc gościowi miejsce obok Milewy, którą on w rękę pocalował.

Staruszka wzięła głowę jego w dłonie i w oczy mu przez chwilę patrzyła.

— Czekaliśmy na ciebie...

— Czyż kto przybycie moje zapowiedział?...

— Czy zapowiedział?...—odparła Milewa, jakby zapytaniem zdziwiona.

I wymawiając wyraz po wyrazie, niby przypomnienia w myśli zbierając:

— Kto?... tak... Byłam w konaku... Kiedy to było?... O... straciłam pamięć... Ktoś mi powiedział: przyjdzie Milenko... Ale, kto?... No... nie pamiętam... Może później sobie przypomnę...

— Majka mówiła, że przyjdzie, ale nie mówiła kto...— podchwyciła z kobiet jedna.

— Mówiłam, że przyjdzie on...

— To źleby było, gdyby kto wiedział...—odezwał się przybysz.

— Nikt nie wie...—wtrącił Hadzi-Petar. — Nikt jej tego nie powiedział... z ludzi...

Wyraz ostatni wymówiony był z przyciskiem uroczystym, tak że słuchaczy dźwięk wyrazu tego przejął pewnym dreszczem lekkim, jakim przejmować zwykły porwijące krasomówcy słowa.

— Wiedziałam, że przyjdiesz, junaku...

Tu rzuciła okiem na wnuczkę. Lecz Anka tak się w cień usunęła, że jej widać wcale nie było.

— Nieprawdaż, babo, żem obietnicy dotrzymał?... — rzekł Milenko, zwracając do Hadzi-Petara mowę.

Starzec głową skinął.

— Muszę wam jednak odrazu z góry powiedzieć, że w przybyciu mojem dzisiejszem jest woli mojej trochę, a niemojej dużo... Moja ściąga się tylko do *kuti* naszej... Ale przyznam się, że dla *kuti* nie byłbym się śpieszył... Chciałem odwiedziny na późną odłożyć jesień... Przyspieszyłem je dlatego, że mnie tu sprowadza poselstwo ważne, które spełnić muszę natychmiast...

Milewy oblicze taki zachowywało wyraz, jakby świadomą była poselstwa owego, z którym przybywa Milenko.

— Gdzie Marko-kapetan?...—zapytał ten ostatni. — Muszę się z nim widzieć jaknajprędzej...

— Żiwko!...—rzekł starzec.—*Potrzeżi brzo!*...¹⁾ A oglądaj się... Niech Jewta-bakalin sam z nim przyjdzie...

Ostatnie to polecenie miało swoje właściwe znaczenie. Turcy, w czasach niepokojów, lub w momentach kiedy potrzebują natężyć ostrożność, mają zwyczaj rozwijać czujność szczególną po zachodzie słońca. Słońce zaśzło i każdy mieszkaniec powinien w domu siedzieć. Za bardzo tylko pilnym interesem wolno wychodzić na ulicę, ale do pewnej godziny i nie inaczej jak z latarnią. Patrole krążą od zmierzchu do świtu, po zaulkach czyhają zasadzki. Lecz reguła ta dopuszcza wyjątki mnogie, a najprzód na korzyść tych, co posiadają zachowanie u kajmaka i władz wyższych. Owóż do ludzi tego ostatniego rodzaju należał Jewta-bakalin.

Na rozkaz ojca, Żiwko w jednej chwili zebrał się, latarnię zapalił i poszedł.

Hajduk na siedzeniu się poprawił i oczami po izbie i obecnych powiódł.

— He! jakże ja tu dawno byłem... Czy się zmieniło co?...

— Żal tobie, Milenko, za strzechą spokojną... — odezwała się z kobiet jedna

— Hm... I żal i nie żal. Mam i ja strzechę nad głową... strzechę tego pałacu, co go sam Bóg zbudował.

— Prawda...—wtrąciła staruszka.

— Nie można mieć mieszkania piękniejszego i wygodniejszego... zwłaszcza przy swobodzie... Czy nie tak, majko?

¹⁾ Pobiegnij prędko.

— Tak synku...—odpowiedziała zapytana.

— I nie żal mi za strzechą... ale mi żal za wami... Przychodziecie mi nieraz na pamięć... Przypominam sobie często mego babę, Hadzi-Wuka, i was wszystkich... Musiało was przybyć...—dodał wesolo.

— A jakże-by inaczej!...—pochwycił Hadzi-Petar.— Postarały się o to i Stana i Elenka i Katica...

Wymienione pokolei kobiety, wstydliwie się uśmiechając, oczy spuszczały i głowy odwracały.

— Dzieci, które ja na rękach nosiłem, pourastać musiały...

I nagle zagadnął:

— A moja-ż *zaręcznica*... gdzie ona?...

— Anko!...—zawołał Hadzi-Petar.

Nie podejmujemy się opisywać tego, co się działo w sercu bohaterki naszej. Musiała tam być burza wielka, straszna. To tylko wiemy, że dziewczyna, usłyszawszy zapytanie hajduka i po tem zapytaniu imię własne przez dziadka wymówione, byłaby nie wiem jaką ceną okupiła możliwość znajdowania się w chwili tej pod ziemią, głęboko. Gdyby mogła, byłaby się schowała, uciekła. Lecz rozkaz dziadka posiadał potęgę nieprzepartą. Nie nadaremnie wychowywała się w bojaźni bożej i w uszanowaniu dla starszych. Wychyliła się zza ramion matki, które jej za zasłonę służyły, podała się naprzód postacią całą, zwrócona twarzą ku dziadkowi i pokazała się hajdukowi w pół-profilu, oświecona złotawym blaskiem płomienia.

Gdyby była zalotnicą, wyćwiczoną w rzemiośle wystawiania piękności własnej na pokaz, nie mogłaby lepszej przybrać pozy. Wdzięki jej uwadnitli się w świetności całej, na polu fantastycznej. Blask płomienia odbijał się na jej białych policzkach i uruchomił je, łamał się w źrenicach jej oczu i nadawał im połysk niezwykły, oblewał jej kibić ognistym światłem i uponętniał ją.

— To ona?...—zapytał Milenko machinalnie, pokazując na nią palcem.

— Prawda, że urosła?...—odpowiedziała Stana.

Hajduk wpatrywał się przez chwilę w postać dziewczyny, jakby w zapomnieniu, czy osłupieniu, które nie znikało jeszcze, gdy już ona za ramiona matki znów się usunęła. Jej już nie było, a on ją jeszcze widział. To trwało chwilę. Wkońcu głośno odchrząknął i zaklął.

Co-by ta klątwa oznaczać miała?—odgadnąć trudno. Może służyła ona za swego rodzaju upust dla uczucia hajduckiego.

Chrząknął, zaklął, wąsy rozglądził i rzekł:

— Nie przychodzę ja teraz na wesele... jak widziacie... Hajduk na wesele własne nie przebiera się w odzież sielacką.

Rozłożył ręce i spojrzał po sobie dla pokazania, że był w ubraniu wieśniaczem.

— Teraz nie pora na gody weselne, kiedy inne wzywają nas gody... Ale przyjdzie pora i na nie... Przybędę po swoje przyszlą z orszakiem mnie i jej godnym i będziemy się weselili i z pistoletów pukali... A póki nie przybędę, pilnujcie jej, jak oka w głowie (tu palcem na wół za matką widną Ankę ukazał), pilnujcie bowiem narzeczonej harambaszy, który nie żartuje, gdy kocha, nie żartuje, gdy nienawidzi... Spytajcie Turków... A jeśli kto na nią oczy podnieść śmiał, powiedzcie mu, że mu harambasza Milenka łeb utnie, chociażby wojewodą był, chociażby się z nią w pałacach sultańskich ukrył.

Uroczysty, a zarazem groźny, krótkiej tej przemowy ton wywarł uroczyste na słuchaczach wrażenie, przejmując ich drżeniem jakiejś dziwnej bojaźni.

— O!...—zaczął Milenko, chcąc mówić coś dalej, gdy wtem szybki chód na podwórzu zwrócił na siebie uwagę przytomnych. Drzwi się otworzyły i we drzwiach ukazał się najprzód Żiwko z latarnią w ręku, a z po-za Żiwka wysunął się Jewta bakalin.

Ten ostatni postąpił kroków kilka, zbliżył się do Hadzi-Petara, padł przed nim na kolana i szyję wyciągnął.

— Co to znaczy?...—zapytał starzec.

— Łeb mi utnij!...

— Co?...

— Bierz nóż lub siekiere i łeb mi utnij!... — Bierz piłę i odpiluj!...

— Cóż takiego?...

— Hańba na głowę moje... Wstyd!...

Starzec się domyślił, i Milenko się domyślił, i wszyscy się domyślili.

— Kiedyż-to?...

— Przed chwilą... Przed pół godziną, nie więcej... Żiwko przyszedł i widział...

— Widziałeś?...—zapytał starzec syna.

— Nie widziałem, jak go brali... — odpowiedział zapytany.

— Ale widziałeś, jak niewiastę moją biłem... Biłem, byłbym zabił, gdyby nie Żiwko... I jeżeli ty mi, Hadzi-Petar, łba nie odetniesz, to ją zabiję, a przynajmniej język jej odetnę...

— A mówiłeś...—zaczął starzec tonem wymówki.

— Cóż ja winien? Boga mi!... Robiłem, com mógł, ażeby nieszczęścia nie dopuścić... Biłem ją po trzy razy na dzień...

— Czy wiesz, że to wygadała ona?...

— Czy wiem?... Bóg to wie!... Ale ja robiłem, co do mnie należało, a teraz zrób ty, co należy do ciebie... Utnij mi łeb!

Starzec ręką machnął.

— Niech cię tam Pan Bóg sędzi, Jewto-bakalinie... Staraj się, żeby się Turcy nie przyczepili do ciebie...

— Nic mi nie zrobią oni...

— Jakże to było?...

— Otoczyli mój dom, weszli do środka i zabrali... ot, jak było... Naprowadził ich ten pezewenk, ten gogoman, ten łotr, ten łajdak, ten nikczemnik, ten... bodajby ziemia kości jego wyrzuciła!... kir-Kosta... Przyszedł do mnie, niby w gości, na kief... Poczęstowałem go sładkiem, wodą, kawą, cybuchem... a on!...

— Częstuj-że go i nadal... kir-Kosta jest to wrzód, który okładać trzeba.

— O. col...—zawołał bakalin—okładać?... kijami!...

— Cóż robić!... my raja... Dla nas nie masz prawdy, ni sprawiedliwości... Taką dola nasza... Znośmy-ż ją, póki trzeba.

— Niedługo już tego będzie...—odezwał się Milenko, który się scenie całej w milczeniu przypatrywał.— Na Boga!... niedługo... Ale tymczasem jest to nieszczęście wielkie, że Turcy kapetana Marka pojмали... Wojna się zaczyna, a on w niej głową... Turczyn (te wyrazy z mocnym wymówił przyciskiem), majka niegował odrazu nam głowę urwał!...

Po słowach tych zapanowało milczenie, jakby po odkryciu wielkiej i ważnej tajemnicy, i panowało długo. Słychać było tylko trzaskanie ognia w kominie i westchnienia, które się to tej, to owej kobiecie z piersi wydzierają.

Staruszka w płomień się wpatrzyła i coś do siebie po cichu mówiła.

— Ha!...—odezwał się Hadzi-Petar. — Ty, Jewto-bakalinie, idź i pomyśl, czy nie mógłbyś pochodzić koło kajmakana i głów tureckich... Jeżeliby nowców potrzeba było...

— Naprawdę...—rzekła Milewa i ręką machnęła.

Wyraz ten, rzucony przez nią od niechcienia niby, mrozem przejął wszystkich. Milczenie powróciło, przerwane niebawem, najprzód przez oddalenie się Jewty, następnie przez udanie się rodziny na spoczynek. Milenko, mający dopiero nazajutrz Jagodynę opuścić, umieszczony został w miejscu bezpiecznym, w ogrodzie w krzakach. Ze smutkiem w sercu każdy zaległ pościel i, męczony zrazu bezsennością, usnął, ulegając prawom natury.

Tylko w tej izbie, gdzie dzieci pokotem spały, a z dziećmi Milewa i Anka, słychać było westchnienia i płacz cichy.

Około północy, nim kur zapiał i pora duchów przeminęła, słyszeć się dały wyrazy przerywane:

— Drugie drzwi od apsu... na ogród... klucz... Za rękę wyprowadzi... Za rękę... Na ogród... Piekło.

— Co ty mówisz, stara majko?..

Po nocy poznać było, że zapytanie to wychodziło z ust Anki. Brzmiały w niem bojaźń, niepokój i gorączka. Staruszka nie odpowiedziała. Po chwili jednak znów mówić zaczęła:

— Ogród haremowy... Płoty wysokie... Drugie drzwi, a przed drzwiami drzewina bukszpanu... Ha-ha...

Jeszcze mówiła i mówiła.

Zapytanie się nie powtórzyło. Lecz, gdy kur załopotał w skrzydła i zapiał, z izby dziecięcej wysunęła się pośtać ciemna—szła cicho, lekko, mknęła jak duch i znikła w cieniach nocy.

II. Cuda w apsie.

Uczucie wtrąconego do więzienia człowieka porównać się da z uczuciem ptaka spadającego z powietrza na ziemię, ze skrzydłem przestrzelonem. Ktoby się chciał przekonać, niech spróbuje.. chociaż dobra wola ze strony próbującego odjęłaby wiele doświadczeniu podobnemu pod względem istotnego jego znaczenia.

Ze strony bohatera naszego dobrej woli nie było ani odrobiny.

Właśnie tylko co był po rozmowie z Jewtą-bakalinem.

— Na co ty tak niewiastę swoją tłuczesz a tłuczesz?..

— Na to, ażeby język trzymała za zębami...

— Daj jej pokój!..

— Ohof!.. Hadži-Petar powierzył mi ciebie i ja mam cię na głowie swojej!..

Tu się palcem po głowie stuknął i znaczący giest zrobił.

— Cóż-to pomoże?..

— Co pomoże?.. wiem ja, co pomoże, a co nie.

— Czyż ona gadała?..

— Ja też ją biję nie za to, że gadała, ale na to, żeby nie gadała... Wiem ja, co robię... Pod dachem moim włos z głowy twojej spaść nie powinien i nie spadnie, Boga mi!..

Po zapewnieniu takim Marko nie mógł nie czuć się bezpiecznym jaknajzupełniej. Zjadł wieczerzę, położył się, światło zgasił i przed zaśnięciem bujał myślami po przestworze bezgranicznym wyobraźni, gdy nagle usłyszał w sieni chód ciężkich stapań, usłyszał otworzenie drzwi od izby, w której spoczywał, ujrzał we drzwiach blask latarni, a przy blasku tym ludzi kilku w turbanach.

Splunął i zaklął — domyślił się.

Położenie jego miało podobieństwa wiele do położenia myszy w samotrzasku. Jedne drzwi, jedno okno, izba mała, w izbie ludzi kilku uzbrojonych w noże, kindżały, pistolety i berdysze, i on... w pościeli.

— Czy ten sam?... — zapytał z Turków jeden, oświecając twarz bohatera naszego blaskiem latarni.

— Ten sam... — odpowiedział głos z głębi.

— Kir-Kosta, ty się chyba Boga nie boisz!.. — odezwał się głos inny. — To przecież człowiek znajomy... kupuje świnki!..

Głos ten płynął z ust bakalina.

— Radzę ci, Jewto, nie kłaść między drzwi palca... — odpowiedział ten, do kogo bakalin przemówił. — Wyjść mozesz na tem źle, bardzo źle.

— Ale posłuchaj-no mnie, kir-Kosto... Jest u mnie w *duganie raki*¹⁾ słodka, a mocna... dam Turkom po kieliszku, po dwa... i...

— Pss... — przerwał kir-Kosta. — To w tym razie nie uchodzi!..

Podczas rozmowy tej Turek, co kir-Kościę pytanie zadał, kazał Markowi wstawać. Nie było sposobu nie słuchać. Bohater nasz podniósł się z pościeli i natychmiast pochwycony został przez dwie pary rąk silnych. Szarpnął się i napastników odepchnął.

— Pozwólcieź mi się odziać przynajmniej — krzyknął.

Starszy pomiędzy Turkami skinieniem ręki powstrzymał podwładnych swoich, którzy się już do oreża brali.

Marko się odział.

— Teraz dalej z nim!.. — dał starszy rozkaz. — Związać mu ręce w tył!..

Ręce mu związane i na schody wtrącono. Na schodach poprzedzało go Turków dwóch, podczas kiedy dwóch innych szło za nim. Bohater nasz upadł, potoczył się i nie zerwał się na nogi aż na dole. Ten schodzenia ze schodów sposób nie bardzo jest, wyznać należy, przyjemny; ten zaś sposób traktowania więźnia nie daje najlepszego o ludzkości tureckiej wyobrażenia. Na dole jeden z Turków za kołnierz go od odzieży ujął i poszli.

¹⁾ *Dugana* — sklep; *raki* gorzalka.

Przejscie było niedalekie—tylko przez szerokość placu, obok studni, czynami Milenka wstawionej. Przy studni Marko wydrzeć się z rąk Turków spróbował i, korzystając z ciemności nocy a ufny w szybkość nóg własnych, szukać chciał zbawienia w ucieczce. Szarpnął się, wydarł, lecz berdysem po głowie dostał tak mocno, że ogłuszony uderzeniem przyklął—i wnet znów znalazł się w rękach ich, a zarazem na plecach i pod żebrami uczuł szturchania kulaków i rękojeści. Nie było rady, ni środka. Ciągnięty i popychany, dowlęczony został do drzwi więzienia. Przed drzwiami temi zatrzymano go na chwilę. Przyszło Turków więcej. Coś pomiędzy sobą krótko pogadali. Jeden z nich otworzył drzwi, przez które wepchnięto bohatera naszego do ciemnego wnętrza.

Marko potoczył się z góry na dół i upadł. Poleżał przez chwilę, nieoprzytomniały jeszcze dostatecznie po uderzeniu, jakie przy studni otrzymał; stęknął razy parę, obrócił się i dzwignął. Obejrzał się. Otaczała go ciemność zupełna, ciemność taka, jaką wymarzył lord Byron w poemacie swoim pod tytułem „Darkness“. Nic nie widział. Żadne światełko, żaden promyk gwiazdy, najmniejsza błada iskierka nie wpadały do ciemnicy tej. Po więzieniach bywają okienka, przez które widać nieba kawałek; tu i tego nie było. Nic, nic—ciemność sama, cicha i głucha.

— Pii... otożem się dostał!...—rzekł bohater nasz po chwili, kiedy odurzenie przeminęło. — Ha!

I doznał tego uczucia, o którym wspomnieliśmy na czelu rozdziału.

I puścił wodze wnioskowi, przypuszczeniom i myślom, punkt wychodni których był następujący:

— Turcy nie tacy głupi, jak się wydaje... Podobny jak ja ptaszek, gdyby się dostał w ręce komendy cesarskiej, wisiałby na gałęzi przed upływem godzin dwudziestu czterech...

Przyznać potrzeba, iż taki punkt wychodni nie nader był pocieszający. Lecz pocieszenie trzyma się człowieka silniej, niż to sobie wyobrazić można. Nie opuszcza ono skazańca nawet, w śmiertelnej koszuli na plac egzekucji więzionego. Nie odbiegło ono i bohatera naszego, pojawiając się w umyśle jego pod postacią zapytania następującego:

— Czy wiedzą Turcy, kogo mają?...

W odpowiedzi przyszedł mu na myśl: raport i mapa.

— Zła sprawa!...—pomyślał.

I westchnął.

I znów myślał. Nie rozstawał się z pocieszeniem, lecz przedstawiał je już sobie słabem i bładem, zwłaszcza gdy przeciwstawił onemu przeszłość własną, zaopatrzoną w warunki szczęścia w życiu. I powiedział sobie to samo, co w położeniu podobnym tysiące przed nim powiedziało i tysiące po nim powie:

— Ginać tak młodo!

Świat się do niego rajem uśmiechał, rajem, w którym odrazu, przed oczyma wyobraźni jego, stanęła uroczą postać dziewczyny, znalezionej na drodze, jak skarb wartości nieocenionej.

— Znalazłem i straciłem...

Westchnął głęboko.

— Nawet czary tej rozkoszy i szczęścia ustami nie dotknąłem...

Żał go za serce ścisnął.

— At!...

Wstrząsnął głową, jakby zrzucając z niej myśli natrętne i szarpnął związanymi w tył rękami.

W chwili tej błyskawicznym sposobem urodziło się w duszy jego pragnienie: rozerwać więzy. Uradował się. Znalazł zajęcie — cel bliski, do osiągnięcia którego dążyć mógł natychmiast, zaprzatając nim sobie zarazem ręce i głowę. Zajęcia podobne wiele są pożyteczne w podobnych położeniach. Marko ramiona nateżył.

— Mocny powróż... — rzekł sam do siebie.

Spróbował powtórnie. Uczuł, że mu się sznury w ciało wjadały, więc ruchem ramion starał się na inne przesunąć je miejsce. Ruszał ramionami i plecami. Zrazu praca ta jego żadnego nie dawała wyniku, z wyjątkiem zmęczenia. Więc odpoczywał — a odpoczywając robił przegląd miejscowości zapomocą zmysłu jedyne, który mu do rozporządzenia pozostawał, a którym było powonienie. Zapomocą zmysłu tego do tej doszedł świadomości, że więzienie napelnia woń stęchlizny i wilgoci, zdolna prędko pozbawić człowieka zdrowia na życie całe. Począł rozmyślać nad więzieniami w ogólności, lecz się bawił tem niedługo. Szarpnął powrozy. Osunęły się. Gdyby umiał po grecku, byłby zawołał: *heureka!* — tak go to ucieszyło. Powrócił więc do zajęcia poprzedniego: ruszał plecami,

ruszał ramionami, przesuwał rękami — męczył się, odpoczywał, znów próbował — póty próbował, aż sobie nakoniec ręce wyswobodził.

— Ha!... — odetchnął.

Wstał, wyprostował się i wyciągnął, aż mu kości w stawach głuchym odezwały się trzaskiem.

Podniósł do góry rękę i dotknął sufitu. To podało mu myśl posuwania przegładu dalej. Postąpił po kroków kilka w jednym i w drugim kierunku i dowiedział się, że się znajduje w miejscu ciasnym, mającem sklepienie murowane i ściany z kamienia.

— Gdyby nie ściany te, możeby się można wykopać...

Próbował mocy murów i znalazł je bardzo słabemi. Kamienie dawały się wyjmować z łatwością.

— Gdyby mnie tu zostawili na dni parę...

I świtać zaczął w głowie bohatera naszego plan, który się stał dla niego pociechą wielką, przez to już samo, że zajął umysł jego całkowicie. Rozmyślał nad planem tym i wnet takowy ułożył. Za narzędzia służyć mu miały ręce. Zamierzył wykopać się jak kret. Chodziło mu tylko o to, kiedy do rozpoczęcia pracy przystąpić: czy natychmiast? czyli też poczekawszy, aż Turcy pierwszy raz wezwą go na posłuchanie i pozna, jaki go czeka los? Wahał się, rozmyślał — rozliczał godziny pozostające do dnia — miarkował, iż tej nocy mało ma już czasu do zaczęcia i skończenia roboty takiej — rozważał różne za i przeciw — chodząc wkoło, próbował mocy ścian w różnych miejscach i gatunku ziemi za kamieniami, które wyjmował i napowrót wkładał — zatrzymywał się, nasłuchiwał, znów chodził, znów się zatrzymywał i słuch natężał. Jedyne głosy, jakie do uszów jego dochodziły, były: miauczenie kota i wołanie puszczyka. Nie siedział jeszcze w więzieniu dość długo, ażeby się miał w głosach tych rozlubować; jednak... uwagę na nie zwracał.

Nagle... stanął, jak wryty.

Zdawało mu się, że usłyszał szmer jakiś, jakiś szelest, jakieś zawiasów skrzypnięcie.

Nie miał jeszcze czasu zapytać samego siebie, co by to znaczyć mogło, gdy wewnątrz więzienia zajaśniało blaskiem światła.

Nie miał jeszcze czasu rozpoznać się w oświeceniu tem, gdy ujrzał przed sobą postać kobiecą.

Wszystko to stało się nagle i niespodzianie — ale najniespodziansem ze wszystkiego było zjawisko postaci kobiecej. Marko przypuszczał możliwość śmierci i wolności; przypuściłby był możliwość cudu jakiegoś, naprzykład rozpęknięcia się więzienia w skutek trzęsienia ziemi, ale czegoś podobnego... Zamknął oczy, które mu oslepił blask raptowny, przetarł je dłonią i przez czas ten strzeliło mu w myśli zapytanie:

— Czy to nie zmysłów złudzenie?... czy to nie sen na jawie?...

Spojrzał. Nie! Nie złudzenie to było; nie był to sen.

Przed nim stała kobieta z kagankiem w ręku. Młoda, czy stara? ładna, czy brzydka? — nie był w stanie poznać odrazu. Widział tylko jasność jej uśmiechu i blask jej stroju. Połysk jej oczu miał w sobie coś dziwnego — coś tak mocnego, że bohater nasz, spotkawszy się oczami ze wzrokiem jej raz, już po raz drugi tego nie próbował. Więc trzymał oczy na jej kici, otoczonej wszystkimi ponętami zalotności Wschodu, zalotności posuwanej w haremach do stopnia dalego wyższego, aniżeli w salonach naszych. Kobieta miała na sobie szalwary faldziste z materji jedwabnej, a na szalwarach rodzaj jakiś tuniki z przodu otwartej, z podpinanemi za pas połami, uszytej z ciemnego żółtawego muślinu, naszypanego rzutkami świecącemi. Gdy szła, poły się podnosiły od ruchu powietrza i zdawało się, jakoby iskry leciały za nią i przed nią. Na piersiach stanik od tuniki tej był szeroko otwarty i miał rękawy na wyloty, które nad ramionami i za plecami formowały obłok iskrzysty. Z pod stanika tego wierzchniego wyglądał spodni, złotem szyty, uwydatniający wszystkie ponęty bogato rozwiniętej figury i nie wykradający oczom widza rozkosznego, alabastrowej białości i jedności gorsu, od którego odbijały się korale czerwone, spięte klamrą połyskującą djamentami i turkusami. Na głowie w krucznych warkoczach przewijał się sznur pereł, w pół przykryty fezem czerwonym, od którego kutas suty spływał na ramiona białe.

Była-li ona młoda czy stara, ładna czy brzydka? — tego, jak wyżej rzekliśmy, bohater nasz odrazu poznać nie mógł; lecz nie byłby w stanie, patrząc na nią jaknajdłu-

żej, temu zaprzeczyć, iż otoczyć się potrafiła ponętnością taką, że, jeżeli stanęła przed nim w znaczeniu pokusy, to pokusa owa, o której Ojcowie Kościoła wzmianki czynią, przybierać nie mogła postaci ponętniejszej...

Olsnił Marka blask nagły w ciemności; olsniła go i ta kobieta.

Przyszła, stanęła i z uśmiechem na karminowych ustach zdumionemu i osłupiałemu w oczy patrzyła.

Marko na nią oczu podnieść nie śmiał.

Stali tak długo jedno naprzeciw drugiego; w końcu ona przemówiła „głosem takim, jakim ciecze słodko strumyk, lutnia brzęczy“.

— Rycerzu mój, nie spodziewałeś się mnie?...

Marko na to nic.

— Nie czekałeś na mnie?...

Marko ani słowa.

— A jam się ciebie spodziewała, ja na ciebie czekałam... oddawna... oddawna... Widziałam ciebie w snach moich... Widziałam ciebie w moich myślach smutnych... Ilem ja leż za tobą, mój rycerzu, wylała!...

Marko nie wierzył uszom własnym.

Ona chrząknęła, tem chrząknięciem, z którego wydziela się dźwięk jakiś elektryzujący i, po chrząknięciu, mówiła dalej.

— Kiedym widziała orła, krążącego pod słońcem, myślałam o tobie... Kiedym widziała sokola, szybującego w powietrzu, myślałam o tobie... Kiedy mnie otaczały wonie róż i jaśminów, kiedy mi w uszach brzmiały chóry słowików, myślałam o tobie...

Znów chrząknęła i przez chwilę milczała.

I Marko milczał, z głową spuszczoną.

— Ja cię stąd wyprowadzę...

Marko głowę podniósł.

— Wezmę za rękę i wyprowadzę... i pójdziemy razem, zawsze razem, ja przy tobie, ty przy mnie...

Marko głowę spuścił.

— Ty się dla mnie wyrzekniesz wiary swojej brzydkiej; ja dla ciebie... ja dla ciebie...

Chrząknęła, coś powiedzieć chciała i nie mogła, jakby odwagi jej zabrakło. Zniżyła głos.

— Ja dla ciebie... — jeszcze raz powtórzyła.

— Co?... — zapytał Marko.

Był-to pierwszy przez niego wymówiony wyraz.

— Ja dla ciebie Ali-agę, który jest małżonkiem moim, w rzecz martwą... w trupa zmienię... Dam mu napoju takiego, od którego on zaśnie cicho i na wieki, pod skrzydłem anioła śmierci...

Marka lekki przeszedł dreszcz.

Kobieta mówiła dalej:

— A dla nas zakwitnie życie, mój rycerzu, mój orle, mój lwie!... Ty tu poczekaś do jutra do wieczora, ja po ciebie przyjdę... jak tylko Ali-aga zaśnie... On śpi w chwili tej, ale się jutro nie obudzi... I ja przyjdę tu, i wezmę cię za rękę, i wyprowadzę, i pójdziemy, polecimy jak ptaki... i zakwitnie dla nas życie takie, jakie prorok wiernym w raju obiecuje... Bo ja młoda i życia pełna... Popatrz-no ty na mnie...

Głos jej był śpiewny, dźwięczny, srebrzysty, czarujący, do duszy przenikający. Gdyby nie to, co ona głosem tym mówiła, kto wie, czyby bohater nasz miał siłę oprzeć się urokowi, jaki z onego płynął. W uroku tym bowiem było coś słodkiego, lechącego, a zarazem ognistego i palącego. Pomimo to przejmował on go zgrozą. A jednak, przy wyrazach ostatnich, podniósł głowę i spojrzał.

Spojrzał i cofnął się.

Turczynka mu w oczach jakby przezroczyściła. Widział ją przed sobą uśmiechniętą, świetną, obiskrzoną, a na wskroś, na wylot przez nią ujrzał...

Zmarszczył brwi. Oczom nie chciał wiary dać.

Ujrzał... Ankę.

Zbliżyła się cicho, niby cień. Z ciemności, która w głębi panowała, wychylała się coraz to wyraźniej na jasność, którą kaganek rzucił. Szła prosto, śmiało, milcząca, spokojna a surowa. Zanim Marko z tego zdumienia nowego do siebie przyjsć zdołał, była już obok Turczynki, którą, przechodząc mimo niej, łokciem lekko potrafiła.

Ta ostatnia spojrzała. Wyraz trwożliwego przerażenia oblicze jej oblał. Oczy jej się szeroko otwały, usta wykrzywiły, policzki zmarszczyły. Z piersi wydarł się okrzyk:

— Aman!...

Uskoczyła w bok, zasłaniając oczy dłońmi, i wypuściła z rąk kaganek, z którego oliwa, rozlawszy się na podłodze więzienia, zapaliła się płomieniem. Zastoniła

oczy dłońmi i ukryła się we framugę, co snadź na jakiś odrębny w więzieniu służyła użytek — i nie widziała zapewne, co się stało.

A to, co się stało, było rzeczą bardzo prostą. Anka podeszła do Marka, wzięła go za rękę i rzekła:

— Chodź!...

Wyraz ten, raz już słyszany, zabrzmiał mu w uchu harmonją precudną.

Postać Anki wydała się bohaterowi naszemu, za przyczyną w części płomienia gorejącego na ziemi, w części nadzwyczajnych zdarzeń, jakie go tej nocy spotkały, jakąś wynioślejszą, dostojniejszą i mniej ziemską aniżeli przedtem. Wyobraziło się mu, że niby dobry anioł zleciał mu na pomoc, anioł, wobec którego postradał wolę własną. Usłyszał „chodź” — poszedł — dokąd — nie pytał. Prowadzony za rękę, postąpił kroków kilka i znalazł się w ciemnym i ciasnym przejściu, prowadzącym do góry. Po orzebyciu przejścia tego, owionął go chłód powietrza świeżego, napelnionego balsamiczną kwiatów wionią, tak różną od woni stęchlizny więziennej. Wzniósł wzrok do góry — na niebie gwiazdy gasnąć poczynały. Był to przedświt — ta pora nocy, którą Szekspir wybrał na miłosną schadzkę Romea z Juliettą. Marko-by się może chciał zatrzymać i słówko płomieniste rzec, lecz mu Anka czasu nie dała.

— Chodź!... śpieszmy!...

I wlokła go za sobą pędem pomiędzy drzewa i krzewy, przez jakieś grządki i zarośla, pod jakiś płot ogrodowy.

Płot był wysoki, zwyczajnie jak dokoła ogrodów haremowych, i gładki. Bohater nasz zrozumiał odrazu, iż droga dla niego i dla Anki, najprostsza i najkrótsza, przez płot ten prowadzi. Zrozumiał oraz, że jemu łatwo przesadzić będzie takowy, ale — jej? Namysłając się więc niedługo, porwał ją wpół, podniósł jak dziecinę małą, na ramię sobie posadził; ręką lewą ujął wierzchołek płotu, poddźwignął się — i w chwili jednej był już na stronie drugiej, na kamieniami brukowanej ulicy.

Spuścił dziewczynę na bruk i... do piersi ją przycisnął.

Była-to chwila wążących się dwojga ludzi losów.

I jemu i jej w oczach pociemniało.

I on i ona zawrotu głowy dostali.

Świat dla nich znikł, jakby oboje razem, spleceni ramionami, skoczyli w morze płomieniste.

Mogli tak pozostać do świtu: rozkochanym bowiem godziny, dnie sekundami się wydała.

Lecz ona wywinęła się z objęć kochanka, uskoczyła i krzyknęła:

— Chodź!... śpieszmy!...

Pobiegli.

Ulice były puste. Mieszkańcy Jagodyny używali wczasu przededniowego. Patrole nie krążyły: wiadomo bowiem z doświadczenia, zapisanego w poradnikach wojskowych, że czujność wojenna ustaje przed świtem. W miasteczku więc panowała cisza zupełna i tylko rozlegał się w ciszy tej tupot biegu szybkiego, który budził echa okoliczne. Nasi zbiegowie jednak na to nie zważali. Szczęściem dla nich, ze zważających nie było nikogo. Przebiegli więc bezpiecznie z uliczki w uliczkę przez małą turecką, wpadli na chrześcijańską, dostali się na dzielnicę, na której stał dom Hadzi-Petara, wpadli w labirynt ogrodów serbskich i biegu zwolnili.

Nie biegli już, ale szli.

Szli jedno obok drugiego.

Dziewczyny ręka spoczywała w dłoni Marka.

Bohater nasz kroczył niby po węglach żarzących. Co chwila utykał, co moment się o gałąź zaczepiał.

Bohaterka nasza zachowywała przytomność umysłu całą.

W razach podobnych — mówimy to nawiasem — wyższość pozostaje zazwyczaj po stronie niewieściej. Płeć męska ulega bardziej aniżeli kobieca miłosnemu, że tak powiemy, zaciętrzewieniu. „Głuszec, gdy tokuje, nic nie słyszy, nic nie czuje.” I nasz Marko podobnym się stał nieco do głuszca. Nie dość mu było tego, że szedł z kochanką dłoń w dłoń: pragnął jeszcze coś przemówić do niej — nie wiedział co; chciałby zatrzymać się, stanąć, chciałby otoczyć ją ramionami i ramion tych nie roztwierać nigdy, chciałby wgarnąć ją w siebie, chciałby... sam nie wiedział czego, niepomyślny na to, że chwilka każda była dla niego drogą, że na każdej ważyło się może życie jego. Lecz Anka o tem nie zapomniała i, jakby przeczuć pragnienia jego i chęci odgadując, uwlekała go, ciągnęła, nie dawała mu czasu do złożenia ust dla prze-

mówienia. On utykał i zaczepiał się, ona go ciągnęła — i zaciągnęła aż pod czereśnię rozłożystą, rosnącą w ogrodzie Hadzi-Petara.

Zaciągnęła i zatrzymała się.

Marko, korzystając z chwili, oparł się o drzewo plecami i dziewczynę za drugą ujął rękę.

— Stąd już ani kroku dalej...

— Tu czekaj!... — odrzekła poszeptem, usiłując dłonie swoje wysunąć z dłoni jego.

— Anko!...

W głosie Marka, zwartym w dwie sylaby, zadzwonił cały miłości bezmiar. Anka zadrżała.

— Rzucić mnie chcesz?... Czyś na to z ciemnicy piekielnej mnie wyprowadziła?...

— Marku!...

I głowę ku piersiom jego pochyliła... I podała się kibicią naprzód, jakby garnąc się w objęcia jego. On dłoń jej puścił, ramiona otworzył, lecz ona.. nagle... odskoczyła.

— Marku!... Kocham ciebie...

Ile w wyrazach tych było ognia—wypowiedzieć nie sposób. Wlały się z powietrza w słuch bohatera naszego, niby płynnej lawy strumień i zalały mu pierś. Odpowiedzieć coś chciał... nie było już do kogo. Anka trzy wyrazy rzuciła i sama znikła. Szeleszczące badyle znaczyły przebiegu jej kierunek. Lecz szelest ucichł wnet i równocześnie, w stronie przeciwnej, przesunęła się śród drzew postać męska, w której rozpoznać było łatwo Hadzi-Petara. Postać ta przesunęła się i w cieniu się skryła.

Marko ręce na piersiach skrzyżował, głowę zwiesił i głęboko westchnął.

Pozostał pod czereśnią sam w ciszy przedświtowej. Swobodnie rozmyślać mógł nad zdarzeniami nocy, z których każde było nadzwyczajniejszym jedno od drugiego. Nadzwyczajnym było uwięzienie, po uroczystym zapewnieniu Jewty-bakalina; nadzwyczajniejszym było pojawienie się w więzieniu nieznanego mu, niewidzianego przez niego nigdy małżonki Ali-agi; najnadzwyczajniejszym było wyprowadzenie go z więzienia przez Ankę. Wszystko to, razem wzięte, pachnęło cudem. I zapewne byłby bohater nasz cudowności zdarzenia te przypisał, gdyby rozmyślać był w stanie. Lecz... gdzie tam jemu do rozmyślenia był! W głowie jego wirował oddech, w sercu palił ogień. Sa-

motność, w której mu chwil kilka upłynęło, na to się jedynie przydała, że nieco ochłonął i trochę się usposobił do porządkowania wrażeń.

Westchnął powtórnie i ujrzał przed sobą niespodzianie dwie postacie męskie. Nie poznał ich — nie zdziwił się jednak ani zaniepokoił.. spodziewał się bowiem nadzwyczajności nowej jakiejś.

Tym razem atoli zawiódł się.

Jedna z postaci ziewnęła szeroko i głośno, druga zaś w następujące odezwała się wyrazy.

— Oto masz... kapetan Marko...

Był to głos Hadzi-Petara.

— Skądże się on wziął?... — zapytała druga postać, głosem Milenka.

— Z apsu...

— Któż go wy dostał stamtąd?... — zapytał Milenko powtórnie przewlekłym, sennym głosem, kończąc zapytanie ziewaniem ponownem.

— Anka...

— Anka?... — krzyknął hajduk.

Głos jego zmienił się odrazu. Zabrzmiął w nim syk nadeptanej nogą gadziny.

— Boga mi, ona... — odrzekł starzec tonem, w którym wahanie się czuć było.

— Ona?... Anka?... — powtórzył Milenko nawpół do siebie. — Kapetan Marko?... Hm!...

Zęby mu zgrzytnęły. Pomilczał przez chwilę.

— E!... teraz nie pora... Porachujemy się później, kapetanie Marku; przynoszę ci zapowiedź wojny i rozkazy od Michalewicza...

Marko, wciąż o czereśnię oparty i ze spuszczoną głową stojący, gdy wyrazy te usłyszał, wyprostował się i od drzewa odstąpił.

— Wojna!... Michalewicz!... — zawołał, jakby ze snu się budząc.

— Wojna, kapetanie Marku!... Dziękuj za nią Bogu... bo inaczej... Boga mi!...

Znów zgrzytnięcie zębami słyszeć się dało.

— Chodźmy!...

Tu na niebo spojrział.

— Nim się rozwidni, będziemy tak daleko, że na najściągłym ogierze Turek żaden nas nie dogoni... A gdy

się rozwidni, dam ci do przeczytania papier, za który głową odpowiadać się podjąłem... No! dalej, w drogę!..

Marko się jakoś ociągał i oglądał.

— Co?... żal ci... za apsem?..

Wyraz ostatni iroicznym zabrzmiał dźwiękiem.

Marko westchnął z głębi piersi i przeciągle odszepnął:

— Wojna, powiadasz?..

— Za Serbję!.. — odrzekł hajduk.

— Ha!.. więc dobrze... chodźmy..

Dwie postacie męskie wysunęły się z pod czereszni i wnet w cieniach znikły; trzecia pozostała, a w krzakach odezwało się cichego, tłumionego płaczu lkanie. Tego jednak ostatniego nie słyszał nikt. Jedyne człowiek Hadzi - Petar, któryby go usłyszeć i znaczenie jego zrozumieć mógł, pogrążony był w myślach o wojnie... za Serbję.



12. Sprawiedliwość turecka.

Prawdę Milenko powiedział. Nim się rozwidniło, on i towarzysze jego byli już daleko, licząc odległość nie miarą długości, lecz miarą bezpieczeństwa. Odsunęli się od Jagodiny o tyle, że pościg turecki straszonym być dla nich nie mógł, tembardziej, że Turcy nie ścigali ich wcale. Kajmakan pogoni nie wysłał i poszukiwań nie zarządził, dla dwóch powodów: raz dlatego, że się o ucieczkę Marka dowiedział za późno, powtóre dlatego, iż dostał wiadomości, które tak były ważne, iż wytrąciły mu całkowicie z myśli i pamięci jakiegoś tam włóczęgę.

Dozorca więzienia około dziesiątej rano przypomniał sobie dopiero, że w apsie siedzi więzień jeden. Nie dziw — troskliwość jego odnosiła się do więzienia innego, które się nie wypróżniało nigdy i w którym pakowano ludzi, jak

śledzi. O tych pamiętał; o Marku zapomniał... szczęściem nie na wieki. Przypomniał sobie, jak powiadam, około dziesiątej, napelnił wodą dzban gliniany, wziął bochenek chleba czarnego i poniósł apsoownikowi strawę codzienną. Gdyby to nie był Turek prawowierny, toby się był zdziwił bodaj trochę, znalazłszy klatkę próżną. Wyznawca proroka oglądał wszystkie kąty, zajrzał do framugi, opatrzył ściany i drzwi, przekonał się, że najmniejszego nigdzie nie było uszkodzenia, chleb i wodę zabrał, wyszedł i więzienie zamknął. Przed konakiem spotkał kir-Kostę. Pozdrowili się wzajemnie „*sawatachajresem*“ i Grek zapytał:

— Cóż ptaszek?..

— Co za ptaszek?..

— A ten-że przybędą, którego przyprowadzono od Jewty-bakalina?..

Turek ręką machnął.

— Co?.. — zawołał Grek.

— Nic... Jakby go nie było nigdy...

Kir-Kości ręce opadły bezwładnie. Oslupiał. Lecz się wnet uśmiechnął sam do siebie. Po chwili sposepniał i coś do siebie sam mówił. Snadź w umyśle jego krążyły i zmieniały się przypuszczenia różne, których nie udzielał dozorca więzienia, wiedząc o tem, że prawowierni nie zabawiają się głupstwami takimi, wierzą bowiem jedynie w czyny dokonane. Pod względem tym dyplomacja mogłaby z nich wzory brać. Przypuszczenie?.. co ono warto wobec czynu!.. Więzień uciekł — rzecz skończona. Dozorca więzienie zamknął, klucz za pas wetknął i byłby o zdarzeniu tem nie powiedział nikomu, gdyby go był kir-Kosta nie zapytał. I to bowiem jeszcze stanowi jedną z właściwości powagi muzułmańskiej, ażeby nie gadać, nie będąc pytanym.

Kir-Kosta struł się niemal wiadomością, przez dozorcę mu udzieloną. On, umiejący tak dobrze obojętność udawać, tym razem zapanować nad sobą nie umiał.

— Powiedzieć kajmakanowi, czy nie powiedzieć?

Zauważyć atoli potrzeba, że, aniżeli o kajmakanie, więcej go myśl o kajmakanie małżonce dręczyła. Zrazu wydało się mu, że to Fatma-hanem była tej zagadkowej ucieczki sprawczynią. Zastanowiwszy się jednak głębiej, odepchnął przypuszczenie to, jako nieprawdopodobne; nie

umiał jednak sformułować innego. Bił się z myślami napróżno. Na słońce spojrzął. Słońce było wysoko.

— Uciec musiał przede dniem... jest więc już od godzin sześciu przynajmniej w drodze.. A jeżeli z miasta nie wyszedł?..

Głową kręcił, miarkował.

— Nie ukrył się ani u Jewty-bakalina, ani u Hadzi-Petara..

Nie będziemy atoli wszystkich kir-Kosty przypuszczeń powtarzali, wiedząc zgóry, iż były one strzelaniem na wiatr. Poprzestaniemy więc tylko na powiedzeniu, że człowieka tego zacnego mina podobną się stała do miny psa gończego, który trop zgubił i wiatru złapać nie może. Stał przed konakiem, laseczką w ziemi dłuwał, głowę to podnosił, to spuszczał i dziwnej tej sprawy wątki uchwycić nie był w stanie. I byłby tak stał kto wie jak długo, gdyby nie dwa zdarzenia, następujące jedno po drugim, jak następują po sobie dwie zwrotki pieśni jednej.

Najprzód z powietrza zwały się mu w słuch wyrazy następujące:

— Będę u Ormianina pachnidła kupowała...

Obejrzał się — nie było nikogo. Zapytał:

— Kiedy?..

— Między trzecim a czwartym namazem...

Kir-Kosta się uśmiechnął.

Następnie rozległ się w powietrzu odgłos wrzasku dzikiego połączonego z mocnym z batoga trzaskaniem.

— hiii!... hiii!...

Pa!... pa!...

— Tatar... — mruknął kir-Kosta do siebie.

Tatarami nazywają w Turcji gońców pocztowych, jeżdżących z *kałauzem* (przewodnikiem). Towarzyszący takiemu gońcowi *kałauz* obowiązany jest krzykiem wielkim i paleniem z długiego *harapa* dawać znać o przejeździe jego, ażeby mu wszyscy z drogi umykali. Obecnie Tatarzy jeżdżą w dniach oznaczonych, pełniąc regularną służbę pocztową. W epoce powieści naszej jeździli wówczas tylko, kiedy były ważne jakieś do przestania wiadomości.

Krzyki i trzaskanie coraz to się zbliżały i niebawem przyłączył się do nich odgłos tętentu kopyt konskich, a wnet potem z głównej ulicy wypadło na rynek jeźdźców

kilku na koniach spienionych, zmierzając wprost do konaku.

Z konaku wysypała się naprzeciwko nich cała podrzędna służba administracyjna.

Jeźdźce byli od stóp do głowy kurzawą okryci. Kurzawa grubą warstwą osiadła im na odzieży i orężach, na policzkach i brodach — tylko oczy z pod turbanów świeciły. Temu, co na czele jechał, polyskiwał na piersiach order z brylantami, oznaka godności wysokiej.

— To nie Tatar prosty... — rzekł kir-Kosta półgłosem. — To czausz.

Rzeczywiście, był to czausz wielkiego wezyra.

Służba poskoczyła do trenzli i strzemion. Ten konia przytrzymał, ów ramię podawał; przysunięto pieńki stojący pod ścianą konaku i dostojnik spuścił się z siodła, na rękach zniesiony.

Udał się do musafirlyku, gdzie na niego kajmakan już czekał.

Jeden ze świty jego zażądał natychmiast koni świeżych.

Powstał ruch niezwykły. Po konie posłano wnet, a w musafirlyku częstowano gościa dostojnego wszystkim, co gościnność turecka posiada najwykwintniejszego. Tatly, woda, kawa, cybuch, szербety, jadła noszono i odnoszono jedno po drugim. Czauz jadł, pił, kurzył i sapał, a obok tego udzielał kajmakanowi rozkazów władzy najwyższej.

— *Kauga*... — od tego zaczął.

Kajmakan się pokłonił: służba wyraz ten, który na polski przetłómaczony znaczy „wojna“, wyniosła na zewnątrz.

— Spahje w pole wyciągną...

Kajmakan znów się pokłonił.

— Wszysey do oręża zdolni uzbroić się i przygotować mają...

Odnosiło się to jedynie do „wszystkich“ wyznawców proroka.

— Drogi i przeprawy ponaprawiać... U przepraw okopy posypać... Podwody i konie juczne przygotować...

To zaś odnosiło się do rai.

Ostatni rozkaz tyczył się Marka. Czauz nazwał go „tym włóczęgą, przez którego zapisany cudaczem pismem papier znajdował się przed oczami paszy“, i kazał mu głowę odciąć i na pal ją na środku miasta wbić. Kazał

to uczynić natychmiast, dowiedziawszy się od kajmakana, iż włóczęga rzeźony w więzieniu siedzi.

— Chcę głowę tę na palu oglądać... — rzekł, wyrzucając z ust kłąb dymu.

— *Ewet effendim...* — poklonił się kajmakan.

Skinął na onbaszę i dał mu rozkaz... rozkaz, który wykonany został w przeciągu kwadransa niespełna.

W jednej Turcji tylko chyba cuda podobne dziać się mogą.

W wrzeczku kwadransa niespełna na środku rynku tkwiła głowa, biała i krwią jeszcze ociekająca.

Czausz przez okno wyglądał i głową wstrząsnął. Świeże konie były już osiodlane. Wstał więc z dywana, wyszedł, na koń wsiadł i, przejeżdżając stepem przez rynek, zatrzymał się na chwilę przy palu. Kłutwę jakąś przez zęby rzucił i kulakiem martwej głowie pogroził, poczem konia ścisnął strzemionami i rzucił go w cwał. Tuman kurzawy zakłębił się z pod kopyt i osłonił jeźdźca — a w tumanie tym ozwały się krzyki kałauzów i trzaskanie z batogów.

Powtarzam: cuda podobne w jednej tylko Turcji dziać się mogą.

Ktoby jednak myślał, iż rozkaz czausza posiadał potęgę taką, że sprowadził do Jagodyny bohatera naszego w osobie jego własnej, tenby się grubo omylił. Nie — nie był to Marko, lecz tylko Marka wyręczyciel, wyszukany w sposób bardzo prosty.

Onbaszi dostał rozkaz — i rozkaz ten wykonać musiał, bądź-cobądź. Cóż rozkaz ów znaczył właściwie? — oznaczał karę za winę, która popełnioną została. Popelniał ją Marko, ale Marka nie było. Miałaż wina ujsć bezkarnie, dlatego tylko, iż winowajca uciekł?...

Kara w tureckim pojęciu sprawiedliwości znaczy: przykład, groźbę i przestrożę.

Winowajca uciekł, ale wina istniała, a z nią razem i potrzeba zadośćuczynienia sprawiedliwości, to jest istniała połowa istoty czynu najważniejsza, którą należało dopełnić połową drugą, ażeby z jednej strony utrzymać powagę władzy rozkazującej, z drugiej utrzymać powagę sprawiedliwości karzącej. Należało przeto wyszukać kogoś, kogo-by można pod winę podciągnąć.

Kogoż mianowicie?

Sprawa ta nie mogła się oprzeć o kogo innego, jeno o kir-Kostę, jako o człowieka najlepiej oświadczającego z całym szeregiem Marka przebiegiem.

Kir-Kosta nie namyślał się długo. Miał do wyboru rzeczywistych lub domniemych — co w oczach takiej jak turecka sprawiedliwość stanowi jedno i to samo — spółwinowajców zbiega, którzy się mu w następującym przedstawiali porządku: Hadzi-Petar, z trzech synów jego jeden, jeden z pięciu Jagodyńców, bo czasu onego po sól do Milanowca chodzili, i Jewta-bakalin. Przesunął szybko w myśli swojej postaci ich, każdą z osobna, jedną po drugiej, przy każdej zrobił brwiami jakiś giest niewyraźny, a w końcu uśmiechnął się i rzekł:

— Jewta-bakalin.

Onbaszi, choć Turek, wzdrygnął się, krok w tył ustąpił i oczy szeroko otworzył.

Kir-Kosta dodał głosem spokojnym:

— Przecież włóczęga ten w domu bakalina się przechowywał..

Na to nie było odpowiedzi możliwej, tembardziej, iż czas naglił. Czausz czekał.

Onbaszi skinął na podwładnych swoich. Drogę miał niedaleką — przez szerokość rynku tylko. Czynienie za winowajcą poszukiwań niepotrzebnym było. Bakalin, niczego się nie domyślając, nie nie przeczuwając, stał na progu dugiany swojej i przypatrywał się orszakowi dostojnika przybyłego. Onbaszi go nie pozdrowił nawet. Dał tylko ręką znak i kawasi, pod ramiona go ująwszy, przez jego własną sień na jego własne wyprowadzili podwórze. Egzekucja odbyła się bardzo prędko.

— Co to znaczy?.. — krzyknął Jewta, ręce wyrwijając.

Bakalinica uśmiechnęła się złośliwie.

— Czego się śmiejesz?.. — gniewnie na żonę wrzasnęła, podczas kiedy mu Turcy ręce w tył wiazali.

— Tyś mnie bil... — odrzekła kobieta i w chwili tej zbladła jak chusta.

Odpowiadając mężowi, ujrzała, jak onbaszi nóż z-za pasa wyciągał flegmacyjnie.

W sercu kobiety tej odegrała się błyskawicznym sposobem cała gama uczucia i odbiła się jej na obliczu. Złośliwy uśmiech zastąpiła bladeść przerażenia, przerażenie ustąpiło miejsca wściekłości. Z roziskrzonymi, niby ty-

gryśca, oczami skoczyła na oprawców i po chwyciła za nóż. Niestety! obrona jej okazała się bezsilną wobec przemocy. Na nic również nie przydały się protestacje, tłumaczenia i prośby bakalina. Dwóch przytrzymało szarpającą się kobietę; dwóch przytrzymało związanego za ręce i nogi i na ziemię zwałonego skazańca, a jeden przykląkł i wykonał operację ze spokojem i flegmą rzeźnika, sprawiającego barana.

Przy operacji całej Turcy zachowywali milczenie zupełne. Zastanowiły ich tylko ostatnie, pod nożem już wyrzeczone przez Jewtę-bakalina słowa:

— Sam tej nocy na siebie wyrok wydałem.. Dobrze mi tak!.. Boże, przyjm grzeszną duszę moją!..

Oderżnięta, oczami jeszcze lypająca i językiem bełkoczącą głowę wziął onbaszi za włosy i wyszedł. Za nim wyszli i podwładni jego. Przy buchającym krwią tułowiu pozostała rwąca sobie na głowie włosy, kulakami się w piersi bijąca i wni-bogłosa wrzeszcząca kobieta.

W sposób ten, bardzo prosty, zadość się stało i sprawiedliwości tureckiej i interesom kir-Kosty. Grek pozbył się spółzawodnika, podzielającego z nim wpływy w urzędowej sferze społeczeństwa jagodyńskiego.

Gdy głowa Jewty-bakalina na palu utkwiała, na mieszkańców chrześcijańskiej w Jagodynie mahaly padła trwoga blada, przychodząca razem z zapowiedzią wojny. Dorażna ta egzekucja dawała niejako przedsmak plagi, zawieszanej nad głowami ludności całej. Wyraz „kauga“, niby jęk bolesny, zabrzmiał w powietrzu, połamał się na echa i zadzwonił w uszach, z ust do ust podawany. Dzieci, przecuciowym wiedzione instynktem, do matek się tuliły, kobiety głośno płakały, mężczyźni patrzyli sobie w oczy wzrokami suchymi, w których malował się w szerokich rozmiarach wyraz zapytania.

Na rynek nikt głowy wychylić nie śmiał. O winę, za którą bakalin gardłem zapłacił, nikt nie pytał: wszyscy bowiem zrozumieli, że w momencie rozpoczynającej się wojny Turcy potrzebowali na ludność chrześcijańską postrach rzucić. Było-to ostrzeżenie, które w podobny sposób powtórzyło się w Kruszacu, Kragujewcu, Belgradzie, Smederowie, słowem wszędzie. Co tam... głów kilkanaście!..

Kir-Kosta obojętnie spoglądał na bladą na palu głowę; obojętnie słuchał echowego chóru jęków powietrzem pły-

nącego: drgnął tylko, gdy wołanie muezzina z minaretu usłyszał.

— Namaz!.. — zawołał. — Który-to?..

Spojrzał na słońce.

— Czwarty!..

Porwał się z przed konaku, przed którym, przesuwając w palcach różaniec, z podgiętymi siedział nogami, i pośpieszył do Ormianina, co pachnidłami handlował. Gdy przed sklep pachnidlarza przechodził, następujące usłyszał wyrazy:

— Wścieka się..

Głową wstrząsnął i wszedł do izby, w której raz już widzieliśmy go w towarzystwie Fatmy-hanem.

I tym razem to samo czekało na niego towarzystwo.

Gluchoniema siedziała do ściany przytulona, starannie w jaszczak owinięta i jakby strwożona, czy zdziwiona. Fatma-hanem leżała na dywanie. Jaszczak z głowy zrzuciła, dłonie w kulaki zaciskała, nogami o materac, niby rozkapryszone dziecko, biła.

Jak skoro kir-Kostę we drzwiach ujrziała, zerwała się i usiadła.

— Ach! ty, kir-Kosto! kir-Kosto!.. ach! ty psie obrzydliwy!..

— Hanem!.. — odrzekł Grek na tę przemowę słodką. — Tyś taki, że dotknąć się ciebie rodzona matka brzydzić się powinna!..

Grek stał z głową spuszczoną.

— Ten pal na rynku... wszak dla niego przeznaczony był?

Grek milczał.

— A czy wiesz ty, iż gdyby na palu utkwiała była głowa jego, to zaraz obok, na drugim palu, byłaby utkwiała głowa twoja?..

— Ty wiesz, hanem...

— Ja wściekła!.. we mnie piekło gore!.. Gdzie on?..

— Hanem, będę szukał i śledził!..

— Szukaj i śledź, o! szukaj i śledź!.. — podchwyciła Turczynka — ale nie jego już tylko samego... szukaj i śledź jego i ja!..

— Ja?!.. — odezwał się Grek zdziwiony.

— Ja!.. tę, co mi go z objąć wydarła!.. O! piekło!.. Pięść do góry zaciśnioną podniosła.

Grek wpadał w podziw coraz to większy.

— Gdybym ją do rąk moich dostać mogła, poszarpałabym w kawalki!.. A najprzód palcami wydłubałabym jej oczy!.. O! te oczy!..

I wyciągnęła dłonie, pozginawszy palce, naksztalt szponów.

— Poraziła mnie oczami, jak piorunem, że nie wiedziałam, gdzie się ukryć, i wydarła mi go, wydarła!

— Hanem! — podchwycił Grek — stoję oto przed tobą, podziwienia pełen, i nic nie rozumiem. Ten, o którym mówisz, został wczoraj pojmany i do apsu zamknięty. I uciekł. Ja wiem tylko tyle. Ty, zdaje się, wiesz więcej. Raczże mnie oświecić, ażebym mógł poszukiwanie ułatwione mieć.

— Ciebie oświecić?.. Gdybym w rękę pochodnię rozpaloną miała, tobym ci nią w oczy cisnęła... Tożbyś się oświecił!.. Cha, cha, cha!..

I śmiać się poczęła śmiechem nienaturalnym.

— Chce, żebym go oświecała, kiedy ja sama nie wiem o niczem!

— Będę go szukał i znajdę, jeżeli ty mi powiesz.

— Nie jego tylko samego, ale i ją.

— I ją... — zawtórował Grek. — Lecz odpowiedz mi, hanem, jak to było.

— Jakże być miała!.. — odparła Turczynka głosem znacznie spokojniejszym. — Ot.. tak.

Zająknęła się, nie dlatego, ażeby opowiadać nie chciała, ale dlatego, że w myślach jej zamęt panował taki, iż z niego opowiadania porządnego wysnuć nie była w stanie. Poznał to domyślny kir-Kosta i z pomocą pośpieszył.

— Widziałas go nocy tej?

— Widziałam...

— Gdzie?..

— W ciemnicy.

— Mówiłaś z nim?..

— Mówiłam. Dźwięk jego głosu słyszałam... dźwięk, który mi w słuch wlał się, niby najśłodsze miód strumień...

— Byłaś więc w ciemnicy?..

— Przecież mówię ci, zem była!.. — odparła zniecierpliwiona. — Byłam.. Weszłam z kagańcem w rękę drzwiami krytymi i znalazłam go na środku. Stałam przed nim; on stał przedemną...

Kir-Kosta z nateżoną słuchał uwagą, każdy wyraz — jak się to mówi — pożerając. Lecz Turczynka nie była w stanie opowiadania prowadzić porządnie.

— On stał przede mną... Widziałam go... Co za postać juna'ka!.. Co za wzrost topoli!.. Co za wzrok orli!..

— Weszłaś przez drzwi kryte i drzwiś za sobą zamknęła?..

— Mówię ci, zem weszła!.. Czemuż przerywasz mi?

— I drzwiś za sobą zamknęła? — powtórzył Grek, który w bezładnem opowiadaniu zoczył przewijającą się nitkę, koni e której ująć chciał, ażeby mógł po niej do kłębka dojść.

— Zamknęłam... tak... nie!.. przymknęłam. Drzwi zewnątrz zamykają się na kłódkę, a wewnątrz nie mają ani klamki, ani zasuwki.

— Cóż dalej, hanem?

— Ja stałam przed nim z kagańcem w rękę. On stał przede mną ze spuszczonej w dół oczyma, jak dziewica wstydliva, pierwszy raz do małżeńskiej łóżnicy przywołana... Zachwycający!.. Moje oczy pały się widokiem jego, jak zgłodniała gazella pasie się trawą na łące, świecącej brylantami rosy... Byłabym go zjadła!..

Każdy z ust Turczynki wychodzący wyraz nabrzmiał był dziką jakąś namiętnością. Grek spostrzegł, że opowiadająca wątek już traci. Próbował więc ją z błędnego nawrócić toru.

— Cóż on mówił ci?..

— On jeden tylko wymówił wyraz.

— Jaki mianowicie?..

— On jeden tylko wydał dźwięk, czystszy od dźwięku słowika, śpiewającego w noc majową, piękniejszy od muzyki komarów, rozbrzęczonych nad jeziorem w porze wieczornej.

— Cóż ona?..

— Wydarła mi go!.. — krzyknęła Turczynka gwałtownie.

— Hanem, bądź spokojna... Odszukam jego i ją, tylko zbierz wspomnienia swoje i opowiedz, jak to było.

Przemówienie to uspokoiło Turczynkę nieco.

— Skąd się wzięła ona?..

— Nie wiem, skąd... — odrzekła zapytana — Nie słyszałam wejścia jej. Ujrzałam ją nagle..

— Cóż to za jedna? .

— Nie wiem ..

— Nieznajoma ci?..

— Nie..

— Stara?.. młoda?..

— Nie wiem..

— Widziałaś ją przecie?..

— Widziałam tylko oczy jej... Straszne oczy!.. Dwa pioruny!.. Strzeliły we mnie... powaliłam się i wypuściłam kaganiec z ręki... I potem już nie widziałam nic... Było ciemno... Zostałam sama... Drżałam jak listek; wyszłam na omacki z ciemnicy... Dzień świtać poczynał...

Opuszczamy ciąg dalszy rozmowy, zapelnionej wykrzyknikami, uniesieniami i pogrózkami, jakie sypnęły się gradem z ust kobiety rozjątrzonej. Kir Kosta, obelgami obrzucony, wytrzymał burzę ze spokojem, godnym urzędnika tureckiego, i rozstał się z panią swoją w zgodzie jak najlepszej, nie biorąc zbyt do serca uprzejmych obietnic pała, szubienicy i topora, którymi go ucześnie hojnie. Baba pyłowała językiem; on stał i słuchał, porządkując w myśli te dane, jakich mu udzieliła.

Dowiedział się o wszystkim i nie wiedział nic. Co go najbardziej z tropu zbijało, a zarazem zastanawiało, to kobieta owa, co Marka z więzienia wyprowadziła.

Ta kobieta ówkiem mu się w mózg wbiła, naprowadzając go na domysł zmywy jakiejś, istniejącej pomiędzy Serbami i mającej stosunki w konaku. Wyobraziło mu się zrazu, że to z odalisk która wyratowała więźnia.

— To inaczej być nie może... Któż inny mógłby się znaleźć w haremowym ogrodzie i to właśnie w chwili, kiedy hanem drzwi od więzienia otworzyła!.. Głupia kobieta! (myślał o małżonce kajmakana) przeleżała się służebnicy własnej, która zapewne postarała się o to, ażeby poznaną nie być..

Domysł ten atoli, jakkolwiek posiadający wszelkie prawdopodobieństwa pozory, był domysłem prostym póty, póki by nie poparło onego imię własne. Przypuściwszy bowiem, że istotnie jedna ze służebnic Ali-agi uwolniła Marka, to pytanie, która mianowicie?..

— Jak tego dojść?..

Za pomocą śledztwa w haremie... Lecz ażeby śledztwo zarządzić, potrzebaby o wszystkim uwiadomić Ali-agę i skompromitować przed nim Fatmę-hanem.

Kir Kosta odrzucił sposób ten, jako niepraktyczny.

— Możliwyby wprawdzie śledztwo przeprowadzić przez samą Fatmę-hanem... gdyby jej nie zaślepiała namiętność.

Kir Kosta sposób i ten odrzucił.

Idąc powoli, w zamyśleniu, od Ormianina, wszedł na rynek, zatrzymał się i na pal spojrział.

Koło pała kręciło się kilkanaścioro dzieciaków tureckich, które grudkami i kamykami na głowę ciskały, wymyślając giaurowi, który na nie z góry martwemi patrzył oczami. Śmieszyły je wielce usta otworzone. Usiłowaly w nie kamyk wrzucić, wprawiając w ten sposób ręce i serca do słuzenia kiedyś pożytecznie państwu, którego były obywatelami przyszłymi. Kir Kosta nie wziął kija i nie rozpedził tej zgrai szczeniąt w ludzkiej postaci, pomimo, że widok głowy bakalina wydarł mu z piersi westchnienie.

Kir-Kosta westchnął.

Jakżeż-byśmy radzi byli, gdybyśmy mogli westchnienie to na rachunek zgryzoty sumienia zapisać!..

Niestety! nie zgryzota sumienia wydobyla je z piersi dragomana. Pod względem tym w duszy kir-Kosty panował spokój jaknajzupelniejszy. Lecz żał mu się za bakalinem zrobiło, albowiem taka mu w głowie strzeliła myśl:

— Ktokolwiek więźnia z ciemnicy wyprowadził, to Jewta o tem wiedział... Gdyby żył, możnaby od niego wiadomość tę wydobyć... A tak?... Hm! stało się...

Pomyślał przez chwilę.

— A bakalnica?... Może z niej coś wyciągnąć się da?..

Przeszedł powoli przez rynek, zbliżył się do domu nieboszczyka, zatrzymał się i ucho nadstawił. We wnętrzu domu brzmiał przeciągły, nieustający lament:

— Jau! jau!.. kuku meni!.. kuku lele!..

— Co za głupia baba!.. - rzekł do siebie i uśmiechnął się.—Tłukł ją za życia, tłukł od rana do wieczora, a ona za nim po śmierci jego kuka!.. Kukaj-że sobie, aż się wykukasz...

13. Na przeprawie.

Jeżeli dowiedzieć się chcemy, co się z bohaterem naszym stało, opuścić musimy Jagodynę. Wyszedł on — chodźmy-ż za nim i my.

Wyszedł — ale gdyby go się kto spytał, dokąd i po co, byłoby mu odpowiedzieć trudno. Znajdował się w usposobieniu umysłu nader dziwnym. Chwilami przejmowała go na wskroś jakaś rzewność niepojęta — na płacz mu się zbierało; chwilami znów owładnął go gniew wielki — chciało mu się coś mieć pod ręką do łamania, tłuczenia, bicia.

Szedł — dokąd? i po co? wszystko mu tam było jedno. Szedł, bo widział przed sobą postać baryczystą i wyniosłą, za którą ruszył z pod czereszni i, raz ruszywszy, już się jej trzymał, nie zdając sobie sprawy, dlaczego czyni tak a nie inaczej. Dlaczego zaś sobie sprawy nie zdawał? Nie miał na to czasu. Potrzebowałby zastanowić się, pomyśleć. Pomyśleć?.. Stało się to niepodobieństwem. W głowie Marka taki panował odmet, iż dla wprowadzenia w odmet ten porządku jakiego takiego, musiałby wypocząć i umysł uspokoić.

Milenko postępował przodem, Marko za nim, niby cień. Szli zrazu śpiesznie, następnie wolniej, trzymając się manowców, na których płątały się ścieżki co chwila ginące. Milenko jednak o drogę nie pytał. Na manowcach kierował się, jakby na trakcie bitym. Snadź okolica znana mu była doskonale, bo dla połapania się potrzebował tylko głowę podnieść i okiem rzucić.

Ruszyli w drogę o zmroku porankowym i byli widzami narodzin dnia. W oczach ich niebo na wschodzie zarumieniło się jutrenką, zrazu blado-różową, dalej coraz

to czerwienią; w oczach ich gwiazdy bladły i gasły, ciemności nikły stopniowo, dzień się przebijał, tumany się z dolin podnosiły, jutrenka traciła kolory i z po-za niej wydobywało się powoli słońce, aż się wytoczyło wielkie, wspaniałe, powitane hymnem przyrody, który się rozdzwonił w powietrzu. W górze szczebiotał skowronek, niżej brzmiały owady, na polach były przepiórki, na łąkach odzywały się koniki polne. Wszystko to śpiewało zda się chórem:

— Witaj, słońce!..

A skowronek, zdawało się, zapytywał Milenka i Marka:

— A dokąd-to wy?.. czy nie do pracy?..

Marko na zapytania te nie zważał wcale. Milenko jednak, zdaje się, zważał, bo razy kilka oczy na skowronka zwracał, przenosząc je następnie w lewo i wdzając nimi, jakby czegoś na widnokręgu szukał.

Szukał snadź, bo znalazł. Zatrzymał się na wzgórzu i, zwracając się nagle do Marka, rękę wyciągnął i rzekł:

— Patrz!..

Marko popatrzył, lecz hajdukowi w oczy.

— Patrz nie na mnie, ale tam!.. widzisz?..

W kierunku, w którym szedł Milenka palec-ukaziciel, zarysowywało się wdali kilka wież smukłych, w górę wystrzelonych i błyszczących. Promienie wschodzącego słońca odbijały się od błazanego ich pobicia, czyniąc z nich niby płomyki opromienione. Spodem widniały bryły białe, mające kształty podłużne, kwadratowe.

— Widzisz?..—zapytał Milenko.

— Co?..—odparł Marko.

— Jagodynę... Przypatrz się jej zdaleka, może po raz ostatni..

— Ostatni?..—zapytał Marko tonem, w którym dzwoniło zdziwienie.

— Tak, Boga-mi!.. — podchwycił hajduk z przyciskiem.—Patrzyłbyś już na nią oczami trupiemi.. przebilbym ci piersi nożem na wylot... gdyby nie... nie... Serbja!..

Marko nie rozumiał znaczenia wyrazów tych.

Milenka oczy gniewem się iskrzyły.

— Tyś mi wszedł w drogę, a ja nie lubię, gdy mi kto w drogę wchodzi.. Jeżeli to Turczyn, posyłam mu kulę i koniec... Takiego zaś junaka, jak ty, miałbym o-

chęć wyzwąć na rękę i spróbować się z nim w boju samowtórnym. Z tobą jednak nie mogę...

Pomyślał przez chwilę i powtórzył dobitnie:

— Nie mogę!..

I zaklął ciężką klątwą w trzeciej osobie.

Marko, wzrok na jagodyńskich zawiesiwszy minaretach, słuchał mówienia i klątw Milenka z obojętnością jak najzupełniejszą, pochodzącą stąd, że nie wiedział, iż słowa hajduka do niego się odnosiły. To zachowanie się Marka drażniło Milenka. Widać było na nim, że się powściąga od jakiegoś czynu gwałtownego. Zmarszczył brwi, targnął wąsy, mruzczał i po chwili, jakby nagle coś sobie przypomniawszy, sięgnął ręką w zandarze, wydobywając z-za pazuchy chustkę kolorową, w czworograniasty zwitek starannie złożoną.

— Gadałbym ja z tobą inaczej, gdyby nie to... — rzekł, pokazując Markowi zwitek.

Rozwinął. W chustce był papier, złożony w kształcie listu, czerwonym zapieczętowanego lakiem.

— Masz!..

Marko list z rąk hajduka wziął, na pieczęć okiem rzucił i w jednym oka mgnieniu się zmienił. Niecierpliwie rozłamał pieczęć, szybko rozwinął ćwiartkę i chciwie przebiegl ją oczyma.

Na twarzy jego widać było odzyskanie.

Odczytał i na Milenka spojrzął.

— Cóż?..— zapytał ten ostatni.

— Mamy na koniec wojnę...

— To dobrze.. To ja już o tem wiem... A także i o tem, że ja, harambasza, pan gór pekskich i omolijskich, obowiązany jestem być posłusznym rozkazom twoim..

— Wiesz więc, bracie, o wszystkim — podchwycił Marko—o czem ci wiedzieć potrzeba.. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko śpieszyć... Chodźmy!

— O!.. pss..—zawołał Milenko na Marka, który, wymówiwszy wyraz ostatni, zwrócił się i ruszył.

Marko patrzył mu w oczy wzrokiem pytającym.

— Co innego śpieszyć, a co innego Turkom w ręce leźć... Zobowiązałem się słowem hajduckiem najprzód oddać ci pismo do rąk, a następnie przeprowadzić cię całego i żywego.

— Więc prowadź!..

— Poprowadzę, ale trochę poczekawszy... Mamy się przeprowadzić przez Morawę..

— Więc cóż?..

— Na wszystkich przeprawach Turcy czuwają...

— Musimy jednak Morawę przebyć...

— Musimy i przebędziemy, ale nie w dzień... Poczekajmy do wieczora i w nocy..

Ruchem dokończył zdania, a ruch ów oznaczał pływanie.

— Ażeby do brzegu Morawy dojść, trzeba przez otwarte przechodzić pole; przepłynawszy, potrzeba znów iść polem otwartem... Rzeczy takich pod okiem Turków robić nie można przy świetle słonecznym... Turcy byłiby radzi, gdyby dostali ciebie i mnie za jednym zamachem... Mieliby dwie w sieci jednej grube ryby... Musimy więc poczekać do zmroku.

Marko brwi zmarszczył i westchnął. Zmarszczenia brwi powodem była zapewne zwłoka; westchnienie... musiało mieć inny jakiś powód. Milenko, nie spuszczał z bohatera naszego oka, dostrzegł jednego i drugiego.

Powiedzieć trzeba, że od chwili odczytania listu przez Marka i zmiany, jaką list ten w nim sprawił, hajduk uczuł wyższość towarzysza swego nad sobą. Póki pierwszy był roztargniony i jakiś nieswój, póty ten drugi zajmował względem niego stanowisko panujące. Lecz dość było jednego wejścia, ażeby ich role wnet się zmieniły. Stanowisko panujące przeszło na stronę Marka. Z tego jednak bynajmniej nie wynikało, ażeby w sercu Milenka wygasnąć miał żal, jaki się w niem urodził, gdy w przełożonym swoim znalazł współzawodnika. Żal swoją istniał drogą obok posłuszeństwa, do którego się czuł obowiązany. Można nawet przypuszczać, że tłumiony był tem silniejszy! Wyrażał się w ponurem wejściu i w pewnym mruczeniu. Spółnem drapieżnym zwierzętom i ludziom, cc, jak Milenko, wyzwolili się z wędzidla praw wszelkich.

— Możemy tu sobie pospać do wieczora... Nie mamy nic do roboty lepszego...

I dając z siebie przykład, legł na trawie.

Marko nie odrazu dobry ten naśladował przykład. Coś nim—że się tak wyrażę — kręciło. Chodził, myślał, zatrzymywał się, ku Jagodyniem spoglądał, znów chodził.

Milenkiem także coś kręciło. Legł, lecz nie obrazu zasnął, pomimo, że należał do tego rodzaju śmiertelników, co to sen mają na zawołanie. Był kulak pod głowę, na-

tychmiastpiał. Tak bywało zawsze. Tym razem jednak wyciągnął się na wznak, twarzą do słońca, powieki mrużył i zasnąć ani weź. Przewracał się z boku na bok, podkładając pod głowę kulak raz jeden, znów drugi i klął:

— Tfu!.. majka niegowa...

Zauważył Marko ten towarzysza kłopot.

— Przespałeś noc, dlatego spać nie możesz...

— Niby mi to kiedy przeszkadzał.. Jak chcę, spać mogę z rządu trzy noce i trzy dni...

Nie przesadzał. Zdarzają się takie natury szczęśliwe.

Koło południa jednak ziewnął razy parę i zachrapał.

Chrapanie Milenka w zaraźliwy na bohatera naszego podziało sposób. Jeden zasnął przed południem, drugi po południu i do koncertu koników polnych, którym łąka bozmiąła, przyłączył się duet, w którym za instrumenta służyły gardziele dwóch ludzi silnych. Nie zapominajmy o tem, że Marko noc spędził na rozprawianiu się z cudami, co go setnie zmęczyło, i z powodu tego nie dziwny się, że wspomnienie Anki nie zdołało przemódz potrzeby natury.

Zasnął nieopodal od Milenka, zwrócony twarzą do słońca, które szło sobie dalej drogą swoją codzienną. Owady zleciały się i brzęcząca chmurą zawisły nad uspiętymi. Weżyki, zielone z wierzchu, pstre spodem, przelizgiwały się i, podnosząc łebki, ciekawie przypatrywały się obliczom, wydającym sapanie, podobne do sapania miechów kowalskich. Gdyby te owady i te weżyki zrobiły donos Turkom, Turcy mogliby przyjść z rozjazdem, jak na przepiórki, nakryć w trawie i złapać dwóch ludzi, głowy których figurowaćby mogły na palach z wielkim dla tryumfu ottomańskiego władania pożytkiem.

Lecz muszki i płazy donosu nie zrobiły, bohater więc nasz i Milenko przez nikogo niepokojeni nie byli. Hajduk ocknął się pierwszy. Zerwał się, przetarł dłonią oczy i na słońce spojrział. Tarcza słoneczna zapadała już na siniejące na zachodzie lasy, a na ziemi, od wyskakujących w górę przedmiotów, stały się cienie długie

— Hej!.. a no!.. — krzyknął. — Dosyć spania!

Marko się zerwał także; także oczy przetarł i spojrział, ale nie na słońce, lecz na minarety jagodyńskie.

Milenko brwi zmarszczył.

— Pora nam w drogę...

Marko wciąż na minaretach oczy trzymał.

— Czego tam patrzysz?.. Nie patrz... Tyś mi *czetowozę* do wojny, ale po-za wojną, co moje, to moje; igdy-byś ty był nie kapetanem, ale padyszachem, to... daremne by było twoje na Jagodynę spoglądanie... Diewojka jest moja narzeczoną: trzeba, żebyś wiedział o tem...

Marko w chwili tej przypomniał sobie, że przy pierwszym z Milenkiem spotkaniu o diewojce mowa.

— Twoją narzeczoną?.. — rzekł tonem zapytania.

— Boga-mi.. — odparł hajduk. — Hadzi-Petar przyrzekł ją dla mnie Hadzi-Wukowi na pościeli śmiertelnej.

— Któż-to był Hadzi-Wuk?..

— Zapytaj o niego w Jagodynie, a dowiesz się, czy mu przyrzeczenia nie dotrzymać można.. Jam ją na rękach wynosił.. Ja ją.. Kocham!..

Wyraz ostatni wymówił z przyciskiem.

— I ja ją Kocham... — podchwycił Marko żywo, ale tonem spokojnym i naturalnym.

Kto widział lwa podrażnionego, gdy mu się nagle grzywa zjeża i oczy pioruny gniewu ciskają, ten może mieć wyobrażenie o Milenku, gdy wyraz „kocham“, wymówiony przez Marka, o słuch jego trącił. Czolo mu się w głębokie sfaldowało brzozy, włosy najeżyły, oczy z pod brwi groźnie nasuniętych wściekłością strzeliły, kulaki ścisnął, zębami zgrzytnął i... westchnął. Nie było-to jednak westchnienie zwyczajne, ale raczej krótkie, urwane ryknienie, podobne do ryku byka rozjuszonego. Szczęściem, przebrany za sielaka, nie miał przy sobie broni żadnej, z którąby mógł natychmiast na przeciwnika się rzucić. Szczęściem również, przeciwnik ów zachować umiał taką zimną krew, umiał mu z takim wyrazem spokoju i wyższości w oczy spojrzeć, że Milenko, w nasrożonej postawie i z zaciśniętymi kulakami, pozostał na miejscu jak wkopany.

Głową wstrząsnął, przez szeroko roztwarte nozdrza z głębi piersi odsapnął.

— Humm!..

Po chwili się odwrócił i odetchnął.

I uspokoił się.

— To tak rzekł. Nas dwóch pozostawać przy życiu nie może. Ja ją Kocham i ty ją Kochasz... Jabył się śmiać z twego kchania, gdyby nie.. gdyby... hm... hm...

Nie umiał wyrazić myśli, wiszącej mu na końcu języka. Nie chciał może wypowiedzieć domysłu, który

w chwili tej w głowie jego się urodził: że ta, co wyprowadziła spółzawodnika jego z więzienia, wyprowadziła go zapewne dlatego, że jej serce lgnie do niego. Nie znał szczegółów zdarzenia tego; stało mu jednak ono nagle w oczach i zmieszało go. Miał jakiś na języku wyraz, a nie mógł wymówić onego. Nie wymówił więc wyrazu tego.

— Tak — rzekł. — Świat szeroki, lecz dla nas dwóch miejsca na nim mało... Pomiędzy nami stoi Anka i my jej rozdzielić na dwoje nie możemy... To darmo. Jeden drugiemu ustąpić musi. Ciebie, bracie, nieszczęście pod dach Huzi-Petara sprowadziło. Jakie лихо cię tam powiodło?..

— Jakie?.. — zapytał Marko.

Bywają zapytania, zawierające w sobie odpowiedź. Takim właśnie było to, które zadał nasz bohater.

Hajduk zaklął.

— Ha!.. Pomiędzy nami stoi Anka i dzieli nas... Pomiędzy nami stoi Serbja i łączy nas... Komu tu pierwszeństwo należy?..

Popatrzył Markowi w oczy.

— Ha!.. Chodźmy... Po a nam w drogę...

Patrzył na słońce, które już się za lasy chowało.

— Nad brzeg Morawy przyjdziemy w sam czas...

Ruszył przodem, Marko za nim. Spuścił się w dolinę, środkiem której płynął ruczaj, i szli w milczeniu brzegiem ruczaju, brnąc w trawie po kolana. Wpoprzek kierunku ich drogi przechodził trakt bity. Milenko się zatrzymał, ucha nastawił i przykląkł, dając znak ręką towarzyszowi swemu, ażeby to samo uczynił. Przyległ następnie i dał w trawę nurka. Zielona łąka zwarła się nad dwoma zbrodniarzami stanu i niebawem na trakcie słyszeć się dał tętent szlapią idących koni i ukazało się jeźdźców trzech. Turbany na głowach, bogata odzież i pistolety z-za pasów sterczące znamionowały wyznawców proroka. Milenko podniósł ostrożnie z trawy głowę. Usta hajduckie cicha, ale dobitną, uroniły klątwę, po której nastąpiło westchnienie. Po westchnieniu, gdyby kto ucha nastawił, następujące usłyszałby wyrazy:

— Ach! gdyby-ż mi tu puszką moja... puszką srebrem nabijana... toż-tobym spuścił z konia tego, co przodem jedzie!.. Zawój tyfytkowy, odzież nowiutka, złotem szyta, pistolety perłami wysadzane... O! puszką moja!..

Dla zrobienia sobie jakiej-takiej satysfakcji, wyciągnął ręce, jakby w nich strzelbę trzymał, i mierzył do Turka na przedzie jadącego, przymrużywszy oko lewe. Mierzył; prowadził za nim, niby lufą strzelby — Turek przejechał, Milenko zaklął klątwą największą i na nogi skoczył.

— Jak nie potrzeba, to sami człowiekowi w ręce leżał... A jak potrzeba, to zasiadasz, tydzień, dwa i nie... i nie!.. Majka niegowa!..

A do Marka się zwracając, krótko i sucho rzucił mu wyraz:

— Chodźmy...

Przekroczyli trakt wpoprzek i weszli na wzgórze, na pola zbożem zasiane. Szli czas jakiś polami, aż dostali się pomiędzy krzaki, które ich doprowadziły do lasku. Za laskiem odkrył się przed nimi widok doliny obszernej, z polyskującą w dali srebrzyście szarą.

Słońce zaszło. Ziemię spowijał zmrok wieczorny, coraz to bardziej gęstniejący.

— Widzisz tę smugę jasną?.. — rzekł Milenko do Marka.

— No?.. — odrzekł ten ostatni.

— To nasza Morawa...

„Nasza“, z przyciskiem wymówione, miało znaczenie swoje. Jest bowiem Morawa serbska i Morawa bułgarska. Schodzą się one razem powyżej małego miasteczka, zwanego Warwarin i geografia zna dalej jedną już tylko Morawę. Lecz Serbowie mają sobie za punkt honoru stwierdzać przy sposobności każdej, że rzeka, płynąca po połączeniu wód, jest Morawą nie bułgarską, ale serbską, tak jak niektórzy tego są przekonania, że po zlanii się wód Sawy z wodami Dunaju, dalej ku morzu płynie nie Dunaj, ale Sawa, i mają na to dowody, które może kiedy hydrografia pod rozpatrzenie weźmie. Być może, iż dowody te dowodzą tylko żywości patriotyzmu nieokrzesanego. Nie jest-to jednak sprawa, do powieściowego nadająca się traktowania. Zaznaczam ją i do opowiadania powracam.

Już ciemno było zupełnie, kiedy bohater nasz i Milenko nad brzegiem rzeki stanęli.

— No... — rzekł ten ostatni. — Za jednym zamachem będziemy mieli i kąpiel i przepawę...

I rozbierać się począł.

Marko jednak nie rozbierał się.

— Cóż ty myślisz sobie, kapełanie Marku?..

— Myślę, co to będzie za przeprawa...
 — A no... Pójdziemy wplaw... Z odzieży robi się turban i haj...
 — Ty umiesz pływać, ale ja nie umiem...
 — Uha!.. Masz tobie!..
 — Nie umi-m... — powtórzył Marko.
 — A jakżeś ty chciał, ażebyśmy się przeprawili?...
 — Łódka... czółnem...
 — Ho, ho! to dobre dla ludzi, co chodzą po dniu drogami prostemi, jak się to mówi. Ale dla takich, jak ja i ty...

— Ja całe życie moje choziłem po dniu, drogami prostemi... — podchwycił Marko tonem, w którym żartobliwość brzmiała.

— To to i źle... — odparł Milenko, w głowę się drażniąc, jak czynić zwykli ludzie frasunku doznający. — Ale niekażdemu dano umieć pływać. Niekażdy pies to potrafi, a nie dopiero ż człowiek. Cóż tu robić teraz?.. Iść na przeprawę do Głodowca albo do Cziuprji?.. i daleko i niebezpiecznie... Hm... hm...

Zamyślił się na chwilę.

— No?.. — rzekł, jakby postanowienie jakieś powziąwszy.

— Cóż?.. — zapytał Marko.

— Rozbieraj się...

— Ale ja pływać nie umiem...

— To nic. Rozbieraj-no się...

— Ale cóż będzie?..

Nie pytaj... Wiem ja, co będzie... W tem już głowa moja... Rozbieraj się tylko prędko, bo czas uchodzi, a mamy przed sobą szmat drogi do zrobienia...

— Chyba-ż tę drogę beze mnie będziesz robił, bo ja pójdę na dno jak kamień, skoro tylko na głębie się dostanę...

— To znaczy, że masz głowę ciężką... Z takimi głowami bywają konie, ale na to jest rada... Takiego konia uwiązuję się krótko do ogona takiemu, co ma głowę lekką, i plynie... Popłyniesz i ty... Morawa ma prąd silny przy tamtym dopiero brzegu... Rozbieraj się i daj mi odzież swoje...

Przekonany argumentami tymi, Marko zrzucił z siebie wszystko, co miał na sobie, i znalazł się wkrótce w stroju takim samym, w jakim chodził praojciec nasz, Adam, w raju, przedtem nim Ewa pokosztowała owocu

z drzewa wiadomości dobrego i złego. Milenko ze swoich i jego rzeczy, przy pomocy pasa, stormował rodzaj czapy ogromnej, którą sobie na głowie uwiązał. Skończywszy tę robotę, wziął Marka za rękę i w wodę go wprowadził. Kiedy webrnęli wyżej pasa, przywiązał go do siebie plecami do pleców, a gdy Marko zapytał, czemu go raczej pierściami do swoich pleców nie obraca, taką mu dał odpowiedź:

— Żebyś rękami po wodzie nie chlapał i mnie za rękę nie chwytal...

Przeszedł jeszcze kroków kilkanaście i spłynął.

Marko leżał na wznak, twarzą do nieba zwrócony.

Na niebie świeciły miljarady gwiazd. Księżyc był jeszcze nie zeszedł, więc się iskrzyły na szafirowem tle całą siłą promieni, mieniając się i migocząc, jak mrugające oczęta swawolnej dziewczyny. W powietrzu panowała cisza jakaś poważna, przerywana niekiedy świstem skrzydeł kaczek przelatujących, lub gęganiami dzikich gęsi w sitowiaach nadbrzeżnych. Zresztą żaden się nie odzywał głos. Gwiazdy świeciły, niebo szafirowe, wspaniałe, poważne, zdawało się, że duma nad zdjętą snem ziemią; przez Morawę płynęli dwaj rywale.

Zrazu Markowi położenie jego wydało się dziwnem. Wyobraźmy sobie w podobnem położeniu siebie. Na wznak dobrze leżeć na przestrzeni, dającej punkta oporu na prawo i na lewo, ale nie na krawędzi, z tą świadomością, że na prawo głębia i na lewo głębia. Umiejącym pływać woda daje punkt oporu; lecz dla naszego Marka była ona mokrą bezdnią, w której doznałby tego samego losu, jak gdyby był do suchej wrzucony studni. Musiałby pójść na dno, z mniejszym tylko pędem. Skutek byłby ten sam, z tą różnicą, że w studni byłby się zabił, tu zaśby się zalał. Ta świadomość uczyniła go drażliwym w pierwszej chwili, gdy Milenko na wodzie się położył i rękę wyciągnął. Ruszył się, jakby równowagi szukając. Lecz hajduk go upominał:

— Leż cicho!.. nie kręć się tam!.. Patrz sobie na gwiazdy... i nie zważaj na to, choć ci się woda w uszy naleje... A nie pij wody!.. Wolisz się napić winca po kąpieli... Wodę zostaw dla gęsi... Oprzyj mi głowę na karku i leż cicho...

Marko wyciągnął się, rękę złożył i gwiazdom się przypatrywał.

Gwiazdom się przypatrywał, ale nie o gwiazdach myślał. Zastanowił go ten hajduk, ten pół-dziki człowiek, który przed chwilą powiedział, że świat szeroki, ale dla nich dwóch miejsca na nim niema, i który w chwili tej służył mu osobą swoją za statek przewozowy. Zastanowiła go osobliwość ta; lecz nie był w stanie myśleniem głębiej w nią wniknąć, czując ton wodną, lechącą mu ramiona i boki. Marko był odważny; uczucie jednak, jakiego doznawał, należało do tego rodzaju, iżby go można o bojaźń pomówić — o bojaźń nie śmierci, ale wywrotu. Pochodziło to z nerwów, drażnionych nienaturalnością położenia. Gdyby leżał piersiami, byłby spokojny zupełnie. Umiał jednak panować nad sobą. Żeby zacisnął, ręce złożył, w gwiazdy patrzył i leżał, bacząc na to tylko, aby się nie ruszać.

Płynęli.

Gdyby się kto przypatrywał z brzegu, widziałby na zwierciadlanej powierzchni rzeki, nad odbitem w jej głębi niebem i drżącymi gwiazdami, przesuwający się jakiś przedmiot czarny, niekształtny, bryłowaty. Zdawało się, że bryłę tę woda unosi.

Morawa, w miejscu zwłaszcza przeprawy podróźnych naszych, nie jest nader szeroka. Z szerokością atoli rzeki dzieje się tak, jak z dległością przedmiotu na stepie widzianego. Wydaje się blisko, a potrzeba iść długo, ażeby do niego dojść. To samo i z Morawą. Stanąwszy na jednym brzegu, zdaje się, że dościsnąć kilku ręki rzutów, ażeby się na drugi dostać. Lecz to złudzenie. Płynąc, płynąc potrzeba długo, tembardziej, że unoszący ukośnie prąd czyni drogę wodną dłuższą dla przebywających rzekę wplaw.

Rozgartywał Milenko silnem ramieniem wody Morawy, sapiąc i parszkając. W miejscu, gdzie przepływał, woda wydawała głuchy szum, połączony z cichem pluskaniem. Pluskanie pochodziło stąd, że nie był to pływak w szkole pływania uczony i nie trzymał rąk pod wodą, jak metoda każe, lecz je kolejno na wierzch jedną po drugiej wydobywał, garnąc mokry żywioł pod siebie. To go męczyło. Lecz Milenko należał do tego rodzaju ludzi, którzyh zmęczyć niełatwo. Utrzymywał się więc na wodzie doskonale, pomimo ciężaru, jaki dźwigał na sobie, i posuwał się wciąż naprzód, przestrzegając od czasu do czasu towarzysza:

— Leż równo i spokojnie... nie ruszaj się!..

Aż dopłynął do prądu głównego. Uczuł go pod sobą. Pozwolił mu nieść się prz. z jakiś czas, myśląc, że go do brzegu zbliży; lecz spostrzegłszy, iż się ku środkowi rzeki zagina, krzyknął na Marka:

— Trzymaj się cicho i pochyl się trochę na lewo!..

Odsapnął z siły całej, nateżył się, ramię daleko przed siebie wyrzucił, starał się pod siebie dłonią zagarnąć masę wody jak największą, zmienił nieco kierunek — woda go uniosła: podniósł głowę wyżej i znów się nateżył — jeszcze nurt panował nad nim; pasował się z nim długo nadaremnie. Zawadzał mu Marko, który go do dna tłoczył. Gdyby go zrzucił, wypłynąłby natychmiast. Lecz myśl podobna ani mu w głowie powstała. Płynął, walczył, parł się i... wypłynął.

— Uuuch!.. — odetchnął z głębi piersi.

W chwilę potem dna nogami dostał i Marka odwiązał.

Na brzegu przeciwnym bohater nasz dłoń mu na podziękowanie uściśnął.

— Il.. — rzekł hajduk, ubierając się. — Jeżeli komu dziękować masz, to nie mnie... Pomiędzy nami stoi dziewczotka, która nas dzieli, i Serbia, która nas łączy... Dla dziewczynki-bym cię utopił... Ale Serbia więcej warta... Jej więc za to podziękuj...

14. Frajkury.

Rozpoczęła się tedy wojna pomiędzy cesarstwem niemieckiem a państwem ottomańskim.

Z historii wiadomo, jaki ona obrót wzięła. Zrazu górą byli Turcy. Przekroczyli Dunaj, weszli do Banatu i parli przed sobą cofające się na wszystkich punktach wojska cesarskie. Lecz następnie szczęście opuściło zwycięzców. Cesarscy przerzucili ich na lewy brzeg Dunaju; marszałek

Laudon obległ i zdobył Belgrad; Serbja cała prawie od Turków oczyszczoną została.

Takim był przebieg działań wojennych, rozpatrywanych z tego punktu wysokiego, z którego na podobne rzeczy zapatruje się oficjalizm dziejowy, mający zwyczaj, po odegraniu dramatu krwawego, zwanego wojną, spuszczać kurtynę i pokazywać publiczności i potomstwu samą tylko... kurtynę — same tylko rezultaty sumaryczne, opromienione sztucznym światłem teatralnym. Na kurtynie owej występuje sława z wielkimi skrzydłami i wielką trąbą, zasłaniając sobą szczegóły bolesne, które, pokazane w nagości ich całej, zdolneby były sławie skrzydła połamać i trąbę rozbić.

Turcy odznaczali się zawsze w prowadzeniu wojny bezwzględnością. Jak tylko do boju występują, natychmiast tracą do szczytu pojęcie o tem, co się godzi, a co się nie godzi. Godzi się wszystko! Armja pozwala sobie na wszystko, bez względu, czy się znajduje w kraju swoim, czy w nieprzyjacielskim.

I kraj cały okrywa się jednym smutku całunem, dzwoni jednym chóralnym boleści jękiem.

Wsie się wyludniają. Mieszkańcy uciekają w lasy. Żołnierz w opuszczonych osadach gospodarzy, rozwala i pali.

Biada mieszkańcom, których władze zachwycić zdołały! Idą oni na posługi armji i służą nie wedle własnej możności fizycznej, lecz stosownie do wymogów zastępów wojujących, to jest do ostatka tchu. Wzgląd na to, że-ć to przecie ludzie, ustaje w żołnierzu tureckim; wzgląd na to nawet, że to zwierzęta, nie ma wartości najmniejszej. Zwierzętu daje się jeść i pić. Rai nie daje się nie, a używa się go do wszystkiego. Rajska w czasie wojny uważa się za coś od zwierzęcia podlejszego.

Władze tureckie jednak przestrzegają różnic pewnych. Inaczej traktują sielaków, inaczej mieszczan. Ci ostatni używają względów niejakiich; rozciąga się nad nimi pewna opieka, a to z tej przyczyny, że po miastach i miasteczkach ześrodkowują się rzemiosła wojsku przydatne. Turcy mają rozwagi tyle, iż nie zabijają kury, która jaja niesie. Z przyczyny tej miasta nie wyludniają się w tym stopniu, co wsie, te zwłaszcza, które los rzucił w pobliżu traktów, na których odbywają się główne ruchy wojenne.

Z tem wszystkiem, tak po wsiach jak po miastach, tak w pobliżu traktów jak dalej, ludność, na pierwszą o wojnie wieść, przedsiębierze natychmiast środki ostrożności, biorąc — że się tak wyrażę — czucie do gór i lasów. Trzody się odpędzają jak najdalej, produkta odwożą i w ziemi kryją; rodziny upatrują sobie miejsca odludne a bezpieczne, w których przysposabiają wszystkò do złych czasów przeczekania.

W Jagodynie, po przejściu trwogi pierwszej, jaka rzuciła wieść o wojnie, powstał ruch, podobny do wewnętrznego wrzenia wody, póki kipiątek nie zburzy jej powierzchni. Pozornie niby-to panował spokój. Raje kłaniali się Turkom pokornie i udawali o niczem niewiedzących, niczego się niedomyślających. Pod pokrywką jednak pokory tej, czynnie i skrzętnie zajmowali się zabezpieczeniem osób własnych i wynosili się cichaczem, wyprawiając za miasto sprzęty kosztowniejsze, pieniądze i zapasy żywności. Każda rodzina posiadała kryjówkę swoją. Promieniem półtoramilowym dokoła miasteczka zakreśliwszy krąg, na przestrzeni kregu tego odbywały się w różnych miejscach roboty, któreby przyrównać można do tych, jakim oddają się krety lub bobry. Tu, na sposób kreć, ryto się w ziemi; tam, na wzór bobrów, wznoszono tymczasowe budowle z kamieni lub drzewa. A wszystko to szło cicho i szybko — tak, że po upływie dni kilku powrócił do miasteczka spokój rzeczywisty. Już się nie lękano o bezpieczeństwo własne, a przynajmniej obawy zmniejszyły się znacznie.

Turcy zaś tymczasem jawnie i otwarcie do wojny się przysposabiali. Spahisy montowali się, zbroili i wyciągali.

Upłynęło tygodni parę i poczęły przeciągać wojska, nad Dunaj podążające. Szły, albo raczej płynęły, niby rzeka wezbrana: piechota, jazda, artylerja, wlokąc za sobą długie, bez końca niemal, szeregi wozów, koni jucznych, mułów i wielbłądów i tłumy biednej rai, przeznaczonej do poganiania wołów i bawołów, do dźwigania ciężarów, do kopania rowów, do sypania grobli, do rąbania drzewa, do urządzania przepraw, do poprawiania dróg i do usług tym podobnych. Jeżeli sprzężaju przy jakiej harabie, wiozącej przybory wojenne, zabrakło, w razie takim bez ceremonij zaprzęgano rajów. Rajów również obowiązkiem było noszenie lektyków z paszami. Toż z przyczyny tej osobliwie

ludzie młodzi mieli się na baczności, chwymano ich bowiem wszędzie, gdzie się chwycić dało, po wsiach i po miastach.

Z Jagodyny młodzież znikła, wraz z pierwszym pojawieniem się czoła kolumn tureckich.

Pod dachem Hadzi-Petara pozostały tylko dzieci, kobiety i Hadzi-Petar. Synowie, którzy byli mężami dojrzałymi, i wnuki, pomiędzy którymi paru mogłoby się już nadawać do posług wojennych, wynieśli się i zabrali ze sobą strzelby pod polami. Każda niemal rodzina serbska miała zbiegów podobnych. Była-to jednak prosta ostrożność. Zbiegowie ci bowiem, nieorganizowani i nieprowadzeni, nie mieli żadnych zamiarów zaczepnych, ani też wyraźnie nieprzyjaznych. Wielu z nich nawet nie umiało, jak należy, z bronią się obchodzić. Wynieśli się zaś ze strzelbami dlatego jedynie, ażeby nie dać się w razie wypadku wziąć pierwszemu lepszemu Turkowi, ażeby mieć się czym obronić jednemu, dwom, trzem napastnikom. Zresztą nie odbiegali oni zbyt daleko. Wpobliżu Jagodyny można ich było znaleźć wszystkich, rozsypanych, niby zające pod miedzami. Jeden miał norę, w której siedział, drugi ukrywał się pod skałą, trzeci w gąszczach, czwarty w rozdołach, ten za schronienie obrał sobie górę, ów — dół, a byli i tacy, co w otwartym trzymając się polu, śledzili obroty kolumn i oddziałów tureckich i do takowych się stosowali: — słowem, każdy ze zbiegów kierował się własnym poczuciem samozachowawczym, bącząc na to, ażeby nie wpaść w ręce władzy, mianującej się nie nieprzyjacielską, lecz prawowitą, i urządzającej od czasu do czasu oblavy, w celu schwymania poddanych, niemających ochoty pełnić czynności mułów i ginąć śmiercią głodową.

Od czasu do czasu, w tej lub owej stronie miasta, występował szereg jeźdźców, rozsypanych na sposób flankierów, i przetrząsał okolice. Niekiedy, zamiast jeźdźców, wychodzili piesi na wyprawy tego rodzaju. Zwykle powracali z niczem; lecz bywały wypadki, że przyprowadzali z sobą jednego, dwóch rajów, pędzonych na postronku. Bywało tak, że przynosili głowę, przy siodle przytroczoną. Zdarzało się to wówczas, jeżeli zoczony uciekał i nie było sposobu doścignąć go inaczej, jak przy pomocy kuli z janczarki w pogoń za nim posłanej. Bywało jednak i tak, że raja na wystrzał wystrzałem odpowiadał i Turék się z konia zwinął. Turcy jednak sami tego unikali, nie przez

tchórzostwo, którego im zarzucić nie można, lecz dlatego, ażeby nie zachęcić rai do prowadzenia oporu podobnego na skalę szerszą nieco. Z przyczyny tej z jednej strony w dokuczaniu mieszkańcom przestrzegano pewnej powściągliwości, z drugiej — w oblawach na zbiegów zachowywano pewną ostrożność. Robiono oblavy wówczas tylko, kiedy się spodziewano skutku pomyślnego i kiedy były po temu siły rozporządzone. To ostatnie zdarzało się dość rzadko. Wojska tureckie przewalały się za Dunaj i po przejściu onych, kiedy-niekiedy tylko nadciągały oddziały pomniejszych, bądź śpieszące za armją główną, bądź też konwojujące transporty amunicji lub efektów wojskowych.

Po przejściu wojsk i po wyciągnięciu w pole spahisów, pod rozkazami kajmakana jagodyńskiego pozostawały siły bardzo niedostateczne do grożenia rai skutecznie. Siły te jednak dostatecznymi były z tego względu, że raja w tej swojej części, któraby władzom ambaras sprawić mogła, zachowywała się biernie.

Bywała o tem często na posiedzeniach mezliszu mowa, zawsze jednak sprawa rozstrzygała się w sposób jednaki.

Kir-Kosta oznajmił, że niebezpieczeństwo nie zagraża żadne.

Kawedzi tłómaczył, że od czasu, jak świat świat em nigdy jeszcze nie widziano, ażeby zające wojowały z myśliwymi. Tłómaczenie to tak było naturalne i taką dla Turków miało w sobie siłę przekonania, że kajmakan, członkowie mezliszu i wszyscy wyznawcy proroka, których wiek lub urząd w Jagodynie zatrzymywały, byli jak najzupełniej pod względem zbiegłych rajów spokojni.

Nawet umknięcie Marka spokoju im nie maciło. Kajmakan wytłómaczył sobie wypadek ten w sposób nader prosty i naturalny, a przytem czysto turecki:

— Umknął?.. tak przeznaczenie chciało... Na miejsce jego głową Jewta nalożył?.. tak chciało przeznaczenie...

Z wołą jednak przeznaczenia nie zgadzała się Fatmahanem: niecierpliwiła się, rzucała, lecz się wszystko to na nic nie przydało. Kir-Kosta przekonał się, że Marko znikł i słuch o nim zaginął, i udzielił wiadomości tej kobiecie rozdrażnionej.

— Pójdę za nim!.. — krzyknęła.

— Hanem!.. — odpowiedział kir-Kosta, patrząc na nią wzrokiem znaczącym.

Turczynka w płacz uderzyła i włosy sobie na głowie targała.

Nie było jednak rady. O Marku słuch zaginął.

— Pójdę za nim!.. — krzyknęła w Jagodynie kobieta jeszcze jedna; lecz kobiety tej krzyk był wewnętrznym, — żadne ucho go nie słyszało i dlatego zapewne więcej miał w sobie szcerości i stanowczości.

I ten jednak krzyk przebrzmiał bez skutku, rozbił się o szkopuł niepodobieństwa.

— Iść za nim?.. w którą stronę?.. dokąd?..

Skończyć się więc musiało na tem, że się nieobecne-go widywało... oczami duszy: to pochylonego nad pisaniem na czerdaku, to siedzącego w trawie i odpowiadającego na zapytania Stany i ciotek Anki, to stojącego w apsie w oświeceniu kaganka Turczynki, to nareszcie znikającego w tumanach mgły przedporankowej, w towarzystwie hajduka.

— Gdzież ty, miły mój, gdzie?.. — jęczał głos jakiś w piersi dziewczyny rozkochanej, przygniatanej troskami i drobiazgami życia powszedniego, pędzonego w warunkach niepowszednich.

Ojciec się ukrywał; ukrywali się stryjowie i bracia.

Zdarzały się wypadki, w których cała Hadzi-Petara rodzina wynosić się musiała na dni kilka i pędzić żywot koczujący.

Śród okoliczności takich można-ż było myśleć o opuszczeniu ojca i matki, dziadka i babki, braci i siostr i o gonieniu w świat na zgubę więcej niż prawdopodobną? A nużby Turcy gdzie ujęli!..

Dziewczynę ogarniała niekiedy rozpacz jakaś beziemienna. Wiedziała bowiem tylko o rzeczy jednej: o tem, że — kocha... — wszystko zaś zresztą było-dla niej tajemnicą i zagadką — zagadką, rozwiązania której napróżno czekała od babki. Znajdowała u niej jednak pocieszenia trochę. Staruszka w jasnowidzeniu swoim przewidywała lepsze dla Serbji czasy i mówiła o nich.

— Bóg miłosierny... — powiadała. — On się nad nami zlituje...

Synowie, do domu się niekiedy wkradając, przynosili złe wieści o pomyślnych oręża tureckiego postępkach.

Staruszka głową kiwała i mówiła:

— Bóg dopuszcza, wkońcu się jednak zlituje...

Hadzi-Petar nie mówił nic. Uwolnienie Marka za sprawą kobiety jego wywarło na jego umysł wrażenie silne. Miał Milewę za istotę zostającą pod błogosławieństwem łaski bożej i wiedzącą o rzeczach, o których zwyczajnym śmiertelnikom wiedzieć nie jest dano. Według skazówek jej Anka drogę do apsu znalazła.

— Bóg się zlituje nad Serbją...

Anka wysnuwała z tego wniosek następujący:

— Jeżeli się Bóg nad Serbją zlituje, to zachowa Marka, który się gdzieś za Serbją bije...

O Marku jednak słuchu ani wieści nie było przez miesiąc, przez dwa miesiące, przez trzy, przez cztery — przez całą połowę roku, w ciągu której tak rodzina Hadzi-Petara, jak Jagodyna cała żyły w ciągłym oczekiwaniu, w ciągłym niepokoju i w ciągłym rozdwojeniu: połowa słaba, stara, niewinna i dziecinna pod strzechami domów swoich, połowa silna, męska na wygnaniu, w zajęczem rozproszeniu.

Wojna wrzała wciąż... za Dunajem, pomyślna dla zastępów tureckich, azatem smutkiem przejmująca Serbów.

Aż razu pewnego, nagle smutek ten rozjaśnił się błyskawicą radości i nadziei, które się wzięły nie wiedzieć skąd.

Czy wiatr je z nieba przywiał?

Brzęknął w powietrzu wyraz jeden:

— Frajkury...

Był-to wyraz cudzoziemski, znaczenia którego nie rozumiał z Serbów żaden, a każdy go sobie pocichu powtarzał, lękając się, ażeby nie doszedł do uszu tureckich. Wkradł się on do Jagodyny niewiedzieć jak i napęłnił serca otuchą, może dlatego, że niezrozumiałym był. Starcy rozpogodzili oblicza stroskane, kobiety uczuły w piersiach ulgę jakąś. Ci, co w mieście byli, zapragnęli podzielić się radością z tymi, co się za miastem ukrywali.

Cóż się jednak stało?

Rzecz dziwna i nadzwyczajna!. Ci ostatni posłyszeli wyraz ten w tymże samym czasie, co i tamci.

— Czy wiecie?..

— Wiemy...

— O czym?..

— Frajkury...

— O! teraz dopiero będzie z Turkami źle...

I tak to przez czas jakiś pozostało. Przepowiednia nie sprawdzała się, a wyraz wciąż brzmiał, niby rodzaj pobudki, budzącej nadzieję. Brzmiał i czynił rajów zuchwalstwu — zuchwalstwu o tyle, że ten i ów odważył się przemocować w domu, że ten i ów nie schował się przed spotkaniami muzułmanami. Zuchwalstwo takie nie mogło władzy w oczy nie wpaść. Kir-Kosta słuchał i patrzył. Stary kajmakan głową kręcił. Członkowie mezliszu pod nosem kłatwy na giurów szeptali. Kawedzi powiadał:

— Terazby oblawę zarządzić...

Nadciągnął oddział jazdy.

— Terazby oblawę zarządzić!.. — powtórzył kawedzi z naciskiem.

Oddział miał w Jagodynie dniówkę. Kilkudziesięciu jeźdźców pod dowództwem jus-baszi wybrało się na wyprawę. Wyruszyli, rozjechali się, rozwinęli łańcuch flankierski, zajężdżali w prawo i w lewo, przetrzasując zarośla i krzaki i długo nic nie upatryli, aż nagle jeden, wyciągając rękę, krzyknął.

— *Bak-sana!* (patrzcie).

Palec ukazicieli jeźdźca szedł w kierunku lasku, oderwanego od lasu większego. Przed laskiem widać było gromadkę ludzi, dziesięciu, może piętnastu. Jeźdźcy zoczyli ich. Jus-baszi dał ręką znak. Zatrzymali się. Chodziło o to, ażeby ludzi tych zabrać, ale jak? Od lasku dzieliła ich przestrzeń niewielka — uciec mogli. Przedstawiały się więc dwa sposoby, jeden z drugiego wypływające: natrzeć szybko i zachwycić ich, nim do lasu dobiegną, a jeżeliby szybkość koni tureckich okazała się niedostateczną, lasek otoczyć i nie wypuścić ich z onego. W celu tym jus-baszi ściągnął do kupy jeźdźców, uszykował ich w szereg jeden i, z siebie przykład dając, krzyknął:

— Naprzód!..

Turcy ruszyli z miejsca z kopyta. Ziemia pod kopytami zadudniła.

W upatrzonej pod lasem gromadce znajdował się jeden ze znajomych naszych, Żywko, syn Hadzi-Petara, mąż Stany, a ojciec Anki. Z nim był jeden z braci jego, reszta Jagodynianie, którzy w powieści naszej żadnej nie odgrywali roli, i nieznajomy jakiś. Ten ostatni był powodem takiego ze strony zgromadzonych zaciętrzewienia się, że nie ani słyszeli, ani wiedzieli, co się około nich działo.

Nieznajomy przybywał z za Morawy, z gór i przybywał z wyrazem „Frajkury“ na ustach — wyrazem, który był dla niego kartą bezpieczeństwa i listem polecającym wśród Serbów. Zwołali się, przybysza otoczyli, on zaś rozpowiadał im:

„O Frajkurach...“

Rozpowiadał dziwne dziwa.

— Z Turczynem źle... — mówił. — Posunął się był za Dunaj, póki Frajkury siedzieli cicho... A siedzieli oni cicho, bo pisali drobnym pismem list do Carogrodu do sultana i napisali w tym liście: „Oj, ty, sultanie-padyszachu, rozkaż ty janczarom swoim i spahjom, swoim białym Arabom i czarnym Arabom, swoim wezyrom i paszom i azauszom, ażeby oni wojska twoje wyprowadzili z serbskiej ziemi. Rozkaż im to i niech oni ciebie posłuchają. Bo jeżeli ty im nie rozkażesz, albo jeżeli oni ciebie nie posłuchają, to my, Frajkury, zabierzemy puszkę i pistolety i miecze i dzidy i jatagany i noże, pójdziemy na nich i będziemy strzelali, siekli, kłuli, rąbali, aż wszystkich wystrzelamy, wykolemy, wysieczemy i wyrąbiemy. Że się nie zostanie ani jeden, coby tobie, sultanie-padyszachu, zanieść mógł do Carogrodu wiadomość, że niema już wojska twego, którego było tyle, co liścia na drzewach...“ Tak pisali do sultana-padyszacha i na odpowiedź czekali. Czekali miesiąc, czekali dwa miesiące, czekali trzy miesiące...

Nieznajomy w guście tym rozpowiadał jeszcze dalej Serbom zasluchanym, gdy nagle rozległ się na polu tętent koni tureckich.

Serbowie zrazu struchleli i do lasu się rzucili. Lecz znalazł się pomiędzy nimi jeden, odważniejszy, czy też przytomniejszy, który krzyknął:

— Puszki!..

Zatrzymali się więc, zwrócili, wzięli na cel jeźdźców, którzy w biegu zbili się w kupę, i z kilkunastu rusznic zagrzmiały wystrzwały.

Jeźdźcy rozprysli się w prawo i w lewo.

Serbowie dalej do lasu.

— Nabijaj!.. nabijaj!.. — krzyczał jeden, drugi.

W lasku znów się zatrzymali, broń ponabijali i znów biedz poczęli, przebierając się do wielkiego lasu, do którego mieli kraków paręset czystego pola. Na polu spotkali się powtórnie z kupą jeźdźców, znacznie jednak

mniejszą niż poprzednio. Jeźdźcy atoli pierzchli, jak tylko ujrzeni podnoszące się przeciwko nim strzelby rajów.

Turcy powrócili do Jagodyny, unosząc ze sobą czterech zabitych i siedmiu ciężko rannych. Pomiędzy zabitymi znajdował się Jusbaszi. Śmierć naczelnika rzuciła zapewne pomiędzy Turków popłoch i przeszkodziła im korzystać z chwili, w której Serbowie, po wystrzeleniu po raz pierwszy ze wszystkich rusznic, znaleźli się byli w stanie bezbronności. Zamiast coby mieli natrzeć na nich, odskoczyli; następnie, zamiast otoczyć lasek, objechali takowy, niektórzy zaś konie zawrócili i wstecz się ponieśli.

Żywko i przypadkowi towarzysze jego nie wiedzieli, ani się domyślali, że zwycięstwo odnieśli. Dowiedzieli się jednak o rzeczy jednej, która dotychczas była dla nich tajemnicą, o tem mianowicie, że trzymając się razem, silniejsi są, bezpieczniejsi, aniżeli w rozsypce.

Turcy porażką się nie chwalili. Zabitych pogrzebano cichaczem, rannych poumieszczano po domach muzulmańskich i na mezliszu uradzono, ażeby przed rają nie mówić o wypadku, który — tak się poważnym radcom wydawało — na obrót wojny wpływu żadnego nie ma i mieć nie może. Kawedzi jednak zrobił uwagę:

— Zające?.. hm... zające...

Zadnego atoli z uwagi tej wniosku wyciągnąć nie umiał.

Serbowie w Jagodynie salwę słyszeli. Wiatr, z pola ku miastu ciągnący, przyniósł echo huku wystrzałów tak wyraźnie, że pod dach m Hadzi-Petara siedząca za warsztatem tkackim Stana aż podkoczyła na siedzeniu i przeżegnała się, a dzieci mówiły, otwierając oczy szeroko:

— Pucają...

I garnęły się do matek i babki.

Mimowolne przerażenie jakieś wszystkich ogarnęło. Jedna tylko Milewa uśmiech na ustach miała i kiwała z lekka głową, jakby chciała przez to wyrazić, że się nie stało nic nadzwyczajnego.

Słyszane jednak echo salwy ciążyło na myślach, niby zagadkowe jakieś przecucie, prędzej smutne, niż wesołe.

— Co to się stać mogło?..

Zagadka rozwiązana została nazajutrz dopiero wieczorem, kiedy odszedł oddział jeźdźców, co dniówkę miał w Jagodynie. Przyszedł ukradkiem Żywko, zasiadł w gronie rodziny i opowiadał, co zaszło. Opowiadanie jego nie by-

ło dokładne. Grzeszyło skromnością, różniąc się pod względem tym od sprawozdań biuletynowych o czynach wojennych, podających zazwyczaj obroty nieprzyjacielskie w powiększeniu niepomiarkowanym. Żywko podał tylko rezultat ostateczny:

— Uciekaliśmy, a uciekając, strzelali...

— Więc to strzały wasze w Jagodynie słyhać było?.. — zapytał Hadzi-Petar.

— Zapewne...

— Czy Turcy byli daleko?..

— Kroków trzydzieści... czterdzieści...

— Toć musieliście zabić choć jednego...

— Zdaje się... Nie oglądaliśmy się.. Uciekaliśmy...

Milewa dłonią po oczach potarła, jakby sobie coś przypomniała, i wtrąciła:

— Za dawnych czasów Serbowie nie uciekali...

Hadzi-Petar westchnął.

— I my już więcej uciekać nie będziemy... — odparł

Żywko. — Posłaliśmy do Frajkurów dowiedzieć się...

I powtórzył opowiadanie nieznanego, opowiadanie, które w stopniu wysokim zajęło i zaciękało kobiety. Najsilniejsze wrażenie wywarł list ów do sultana-padyszacha pisany, stawiający żądanie tak stanowcze, wyraźne i tak dla Serbji korzystne.

Kobiety, z obliczami uśmiechniętymi, patrzyły Żywkowi w oczy.

Hadzi-Petar ciągnął silnie dym z cybucha.

Milewa wzniosła do góry wzrok i westchnęła.

Anka, na wzmiankę o liście, drobnem pismem pisany, przypomniała sobie tego, co pisał niegdyś na czerdaku.

— Posłaliśmy więc do Frajkurów — ciągnął Żywko — z pokłonem i z zawiadomieniem, że i my mamy puszkę i noże, a tymczasem uradziliśmy pomiędzy sobą trzymać się gromadą i stawać jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego..

— Tak bywało za czasów dawnych... — wtrącił Hadzi-Petar.

— Tak, Boga mi... — dodała Milewa, kiwając głową.

— Zbierała się czeta — ciągnął starzec. — wybierała sobie czetowodza i Turkom spokoju nie dawała..

Były to rzeczy dla Żywka niezrozumiałe, pomimo, że wyrazy nie zawierały w sobie dwuznaczności najmniejszej.

Jemu się wydawało, że tu właśnie chodzić powinno o dawanie nieprzyjacielowi spokoju, czyli, mówiąc inaczej, o niezaczepianie licha. Nic w tem nie było dziwnego. Żywko należał do pokolenia, któremu wspomnienie walk z Turkami podawali nie ojcowie, lecz echa z przeszłości odległej, przechowane częścią w pieśniach, częścią w ustnych o dziadach, o pradziadach opowiadaniach. Hadzi-Petar powiedzieć mu nie mógł:

— Robiłem tak a tak... Mówię ci to z doświadczenia własnego...

Mógł powiedzieć tylko:

— Słyszałem o tem od ojca... Tak bywało za czasów dawnych...

A to różnica wielka. Tradycji zabrakło praktyki, bez której była ona martwą, jak wiara bez uczynków. Gdyby Hadzi-Petar sam był za młodu walczył, to byłby osobiście stanął i młodszym pokazał—byłby dał im z siebie przykład, którego oni potrzebowali koniecznie. Wypadek sprowadził ich w kupę i kupa ta bezwiednie zwycięstwa się dopuściła, nie wiedząc, co poczynać dalej. Przekonali się tylko niechcący, że trzymanie się razem jest rękojmią bezpieczeństwa; dowiedziawszy się zaś o możliwości porozumienia się z Frajkurami, których podsycana wypadkami wyobraźnia podniosła do znaczenia bohaterów legendowych, postanowili pod ich skrzydła oddać się. Rozumowanie, z którego postanowienie to Serbowie wysnuwali, było nader proste.

— Jeżeli Frajkury tacy silni, że się podejmują wojska sultańskie co do nozi wytepić, to z nami będą jeszcze silniejsi, za naszym spółdziałaniem wytepienie tem pewniej skuteczną i bezpieczeństwo nasze pod opieką ich będzie tem większe...

Posłali przeto człowieka pewnego z poleceniem przebrania się za Morawę, a jeżeliby się potrzeba okazała, i za Dunaj, wyszukania tych, o których tyle było mowy, a których nikt nie widział, i oddania Jagodyńców pod opiekę ich i rozkazy. Sami zaś trzymali się razem. Gromadka z ludzi piętnastu, którzy ją pierwotnie składali, powiększała się, rosła. Przybywało po dwóch, po trzech. W przeciągu dni kilku z piętnastu zrobiło się trzydziestu, następnie z trzydziestu — sześćdziesięciu. Waleśali się po lasach i wertepach, obozując dziś tu, jutro ówdzie i wysyłając ludzi pojedynczych na zwiazy, które szły nie koleją,

lecz na ochotnika, i powracały z wiadomościami o stanie rzeczy w Jagodynie. Głównie chodziło im o to:

— Czy są w mieście wojska tureckie, czy niema?...

W pierwszym razie drużyna usuwała się, jak można najdalej, w miejsca jak najbardziej niedostępne; w drugim razie zbliżała się do miasta, skąd wynoszono im zapasy żywności i bielizny do zmiany. Mężowie widywali się z niewiastami, ojcowie z dziećmi, synowie z rodzicami.

A wszystkie z niecierpliwością na odpowiedź od Frajkurów czekali.

A wiadomości o wojnie były coraz to bardziej dla Turków niepomyślne. Serbowie głowy podnosili. Kajmakan, członkowie mezliszu, kir-Kosta i kawedzi chodzili z minami rzadkimi, milczący i bardziej, niż zwykle, zadumani.

15. Rozprawa pomiędzy rywalami.

Jagodynianie, czekając na powrót posłańca swego, doczekali się pierwszej wiadomości, z których każda nową była pociechą. Tym razem były to nazwiska ludzi pojedynczych. Wyskakiwały one niespodzianie, niby race, puszczane w powietrze ręką ogniomistrza zrecznego, i sypały iskrami i gwiazdami. Jednem z nazwisk takich było najprzód: Michalewicz.

— Michalewicz... pułkownik...—mówili Serbowie jedni drugim do ucha—Michalewicz...

— Cóż przecie?...

— Bije Turka... bije!...

Starce uśmiechali się.

Drugiem imieniem podobnem było: Koczi.

— Cóż on?...

— Dzwignął Krainę... idzie na Turka jak chmura z piorunami... i bije... i bije!...

Kulakami obcierali oczy i dłońmi piersi przyciskali, jakby na to, ażeby z onych nie powyskakiwały serca.

Trzeciem w podobnym rodzaju imieniem było imię: kapetan Marko.

Hadzi-Petarowi wpadło ono w ucho na czarszji. Przynieśli je sielacy. Starzec udał, że imię to po raz pierwszy słyszy; lecz się odwrócił i ujrzał za sobą kir-Kostę—i strzeliła mu w głowie myśl złośliwa, sprawienia chytremu Grekowi zmartwienia. Pozdrowił go więc uprzecznie i po pozdrowieniu przemówił:

— Cóż, kir-Kosto?...

Grek głową rzucił i językiem cmoknął, następnie głos zniżył i odrzekł:

— Nasi góra...

— Chwała Bogu... — odparł starzec ze spokojem udanym.—Kiedy *nasi góra*, to teraz-by pora ująć włóczęgę tego, na któregoś na mój dom Turków naprowadził i za którego Jewta-bakalin gardło dał.

Kir-Kosta, zrozumiawszy, że starzec nie to mówił, co myśli, zrobił giest zapytania

— Czyż nie pamiętasz, kir-Kosto?... włóczęga... ten włóczęga, co to z Milanowca przybył, kiedym po sól chodził...

— Ten, co powiadał, że owce i świnki kupuje?

— Ten sam, co z apsu uciekł...

— Więc cóż?...

— Więc-by go teraz ująć była pora, kiedy Turkom dobrze idzie, a on się na czele czety złoczyńców uwija...

— Ech, Hadzi-Petarze!... Ty wiesz przecie, że ja chrześcijanin i chrześcijanom dobrze życzę... (Oglądał się dokoła):—Turków biją...

— E?...—bąknął starzec z niedowierzaniem udanem.

— Boga mi... Turków biją... nasi góra...

Hadzi-Petar westchnął, usta skrzywił i głową pokiwiał.

— Ta to się jeszcze zmieni może...

— Może... — rzekł kir-Kosta tonem szczeroci niedanej.

— Dlatego też nie szkodziłoby kapetana Marka bodaj na zastawnika dostać...

Kir Kosta bohatera naszego imienia nie znał. Dlatego imię, przez Hadzi-Petara wyrzeczone, uderzyło go.

— Jakiego to kapetana Marka?

— No... tegoż włóczęgę..

Kir-Kosta zrobił giest, któryby się dało tłumaczyć rozmaicie, który jednak wyrazistości i znaczenia nabierał od bladeści lekkiej, jaką się oblicze jego powlokło. Dostrzegł tego przenikliwy starzec, uśmiechnął się i pożegnał dragomana.

Rozeszli się.

Kir-Kosta udał się do Fatmy-hanem, której, za pomocą znaków umówionych, naznaczył u Ormianina schadzkę. Hadzi-Petar udał się do domu.

W izdebce Ormianina i pod dachem domu Hadzi-Petara odbyły się dwie sceny równocześnie prawie, podobne a różne.

Turczynka wiadomość o Marku przyjęła z obojętnością pewną, takimi błyskawicami oczów podszytą, że przed niemi kir-Kosta cofnął się w przerażeniu.

Kobieta zaśmiała się głośno.

— Hanem, ty się śmiejesz?... — rzekł Grek tonem napomnienia.

— Czyż chcesz, żebym płakała?...

— Nie... ale i śmiać się niema czego... A nuż do Jagodyny przyjdzie!...

— Więc cóż!... Mam złoto, klejnoty i drogie kamienie... oddam mu wszystko... wszystko... i siebie...

— Ale ja!... — podchwycił Grek tonem zafrasowania.

— Ty?... O!... ty się nie lękaj... Ja ciebie schowam, że będziesz jaknajzupelniej spokojny i... bezpieczny...

Kir-Kosta westchnął.

Turczynka, po chwili zamyślenia, jakby przedrzeźniając echo myśli własnej, powtórzyła:

— Będziesz spokojny i... bezpieczny...

I uśmiechnęła się do siebie.

Na tem scenę tę urywamy. Śpieszno nam pod dach, pod którym uczucia z czystszych płynęły źródel.

Hadzi-Petar popełnił nieostrożność. Przyszedł i wiadomość o Marku pomiędzy kobiety rzucił, jak się rzuca bukiet na scenę, lub granat do nieprzyjacielskiego obozu. Wiadomość ta bukietem padła dla wszystkich, granatem dla Anki. Pękła przed nią i poraziła ją zbytkiem radości. Dzieweczyna doznała uniesienia, jakby ją z ziemi co w górę rwało, ręce wyciągnęła, nagle krzyknęła, bladeścią śmiertelną pobladła i na ziemię runęła. Matka, ciotki poskoczyły do niej. Bryzgnięto jej zimną wodą na

twarz. Otworzyła oczy, westchnęła — matka i ciotki zarzuciły ją zapytaniami.

— Co ci było?... czegoś zemdlala?... co twój krzyk znaczył?...

Dziewczyna, zamiast odpowiedzi, błagalnym patrzyła na nie wzrokiem.

— Nie pytajcie jej... — rzekł Hadzi-Petar, po chwili bacznego wpatrzenia się we wnuczkę.

A kiedy wnuczka zupełną odzyskała przytomność, przemówił do niej tonem dobrotliwym, w którym sentencyonalność czuć było:

— Wiedz, moje dziecko, że dziewczyna niejednej na świecie biedy powodem się stała...

Synowym zaś szepnął do ucha, ażeby się starała jak najmniej przy Ance o Marku mówić.

W sposób ten wydała się tajemnica serca bohaterki naszej, tajemnica, o której dotychczas sam tylko Hadzi-Petar wiedział, będąc świadkiem spotkania się Milenka z Markiem pod czeresnią, kiedy ten ostatni z apsu przez Ankę wyprowadzony został. I rozpoczęły się dla biednej dziewczyny dnie łącie krzyżowe: rozpoczęła się dla niej ciągła męczarnia, zadawana jej w drobnych porcjach półsłówkami, westchnieniami i spojrzzeniami jej najbliższych, tych co ją szczerze kochali i szczerze dla niej wszelakiego dobra pragnęli: matki rodzonej i ciotek. Kobiety wstrzymywały się od mówienia przy niej o Marku; lecz zato wytrzymać nie mogły, ażeby nie mówić o Milenku.

O! języki niewieście!...

Jeszcze jak na toż Milewa, dowiedziawszy się, że Marko jest jednym z wodzów w toczącej się wojnie i przypomniawszy sobie wypadki, jakich osoba jego powodem się stała, i zajęcie, jakie w niej wzbudziła, poczęła się o nim odzywać często. Na to rady nie było. Nikt nie śmiał starszycę milczenia nakazać. Z tego wytwarzały się fałszywe manewry w ich rozmowach. Starszyczka o Marku mówiła, synowe zaś starały się zagadywać ją i każde z zagadywania tego słówko zmieniało się w sztylet, raniący serce bohaterki naszej.

Szczyście dla niej, wkrótce po przyniesieniu przez Hadzi-Petara wiadomości o Marku, nastąpiła pora niepokoju wielkiego. W Jagodynie czuć się dało zbliżanie działań wojennych. Kolumny tureckie wykonywały te obroty, jakie wykonywają zazwyczaj wojska, niebędące panami

ruchów własnych. Snuły się, jakby w labiryncie dróg nitkę przewodnią straciły. Maszerowały to w tył, to naprzód, to wprawo, to w lewo: przeciągały przez Jagodynę do Cziuprji, lub Kruszewca, lub Kragujewca, to znów z Cziuprji, Kruszewca i Kragujewca ciągnęły w górę do Hassan-Pasza-Polanki i po niej jakimś czasie wracały. To snucie się wojsk, ta płatanina marszów i kontramarszów, ta wrzawa tłumów wojennych, przewalających się przez miasteczko, sprawiały roztargnienie nieustające, odwracające uwagę od Marka, Anki i Milenka, a zwracające ją na obozy tureckie, które co dni parę pod Jagodyną to zakładano, to zdejmowano, na mosty, które stawiano na Lewaczce i Morawie, na szanice przedmostowe i reduty, które dla obrony przepraw i pozycji sypano. Wszystkie te szczegóły, niezrozumiałe dla ludzi, niemających o sztuce wojennej wyobrażenia, odbijały się w sercach mieszkańców Jagodyny, utrzymując ich w stanie ciągłej gorączki, nieustannego przypływu i odpływu uczuć, zmieniających się kilkakrotnie w ciągu jednego niezłego dnia. Nadzieja i rozpacz, radość i smutek przelewały się kolejną, stosownie do tego, jak wojska tureckie cofały się lub szły naprzód.

Gorączka, zmiana uczuć tem silniej działały, że podsycała je okoliczność jedna, spodziewana wprawdzie, niemniej przeto żywo do serc przyjęta. Zbiegowie jagodyńscy, o których w poprzednim rozdziale mowa była, doczekali się nareszcie zażądaney przez posłańca umyślnego odpowiedzi od Frajkurów. Odpowiedź przyszła pod postacią młodzieńca, przybyłego wraz z posłańcem, młodzieńca roztropnego i rezolutnego, któremu zpod odzieży sielaka serbskiego wyglądały bagażnice węgierskie i który, mówiąc po serbsku płynnie, zarywał akcentem niekoniecznie takim, jakim mówią nad serbską Morawą.

— Człowiek ten odpowiedź przynosi... — temi słowy przedstawił go Jagodynianom posłaniec.

Jagodynianie otoczyli przybysza kołem.

A pierwsze ust jego otworzenie było zapytaniem treści następującej:

— Czy chcecie się do Frajkurów zaciągnąć?...

Jagodynianie spojrzeli po sobie, ociągając się z odpowiedzią na pytanie ciśnięte niespodzianie.

— Chcecie, czy nie?...

— Ta... że...—odparł jeden, ramionami ściskając i głowę ruszając—to... my... chcemy...

— Chcemy...—podchwycił drugi.

— *Oczniemo...*—odezwał się chór, poparty kilku głosami pojedynczemi, które spóźniły się z odpowiedzią zbiorową.

— Wszyscy?...—zapytał młodzieniec, prowadząc oczami dokoła.

— Zdaje się wszyscy...—odpowiedział jeden po chwili ce milczenia.

— Kto nie chce, niech na stronę odejdzie...

Nie odszedł ani jeden.

— Kiedy tak więc, to ja wam czetowodza... Oto rozkaz, podpisany przez pułkownika Michalewicza i kapetana Marka.

Wyjął z zanadru papier, rozłożył i pokazał. Jagodynianie ciekawie popatrzyli na sznureczki wierszy, biegnące wpoprzek ćwiartki, i głowami pokiwali poważnie, jakby, nie umiejąc czytać, wyczytali, co tam napisane stało.

— Macie zatem rozkazów moich słuchać ślepo...

— Dobrze...—odezwali się chórem.

— Stańcie więc w szereg...

Serbowie nie zrozumieli odrazu, o co właściwie spałdemu niby z nieba wodzowi chodzi, lecz wnet zrozumieli. Młodzieniec ustawił ich podług wzrostu, odliczył od prawego, rozdzielił szereg na połowę, połowę jedną za drugą wprowadził i sformował dwa szeregi. Następnie podzielił na dziesiątki i dziesiątki ponumerował: pierwszy, drugi, trzeci i t. d. Wkońcu wydobył z zanadru książeczkę z ołówkiem i, stając przed dziesiątką pierwszym od prawego, zapytał prawoskrzydłowego w pierwszym szeregu:

— Jak się nazywasz?...

— A na co to tobie?...—była zapytanego odpowiedź.

— Zapiszę ciebie...

Prawoskrzydłowy emoknął i głową na znak przeczenia rzucił.

— No... jak się nazywasz?...

— Jak się nazywam, tak się nazywam, a nazywam się nie na to, ażebyś mnie zapisywać miał...

— Potrzebaż, dla porządku...

— Porządek być musi i bez zapisywania...

— Nas nikt nie zapisuje nigdy...—sprzeciwił się inny.

— My się zapisywać nie pozwolimy...—dorzucił głosem podniesionym jeden z przeciwnego skrzydła.

— Ojców naszych nikt nie zapisywał, to i nas zapisywać nie będzie...—odezwał się ktoś ze środka.

— Muszę przecież wiedzieć, jak się który nazywa...—zawołał młodzieniec, zmieszany nieco nieposłuszeństwem tem, jakie podwładni jego na pierwszym okazali kroku.

— To my tobie powiemy, ale nie do zapisywania.

— Przyrzekliście mi posłuszeństwo...

— Słuchać ciebie będziemy...

Nie było na upór rady. Czetowodza do kieszeni schował książeczkę i ołówek i każdemu dziesiątkowi dziesiątnika wybrać kazał.

Rozkaz ten spełniony został natychmiast, równie jak i wszystkie inne, odnoszące się do przerobienia kupy ludzi na oddział wojska. Młodzieniec uczył Serbów obrotów ciała i szkoly plutonu, ograniczając się na rzeczach najpotrzebniejszych i tłumacząc znaczenie ruchu każdego. Nauka szła dobrze. Ludzie okazywali pojętność. Pod względem tym posłuszeństwo było zupełne. Ale o zapisywaniu ani sobie mówić dali.

— Od rodu, od czasu jak świat światem, nie zapisywał nas nikt.

Szczegół więc ten pominąć trzeba było.

Młodzieniec musztrował i ćwiczył oddział swój gorliwie, powtarzając naukę na dzień po raz kilka; manewrował, obracał, rozpraszał, zbierał, rozsyłał dziesiątki w różne strony, potem je w kolumnę szykował, stawał obozem, rozprowadzał warty i czaty, wprawiał do ostrożności i podśluchów i, po kilku dniach usilnej pracy, miał już pod dowództwem swoim kompanją piechoty, posiadającą jeden z najważniejszych rzemiosła wojskowego warunków: spoistość. Po kilku też dniach oddział ten wykonał wyprawę pierwszą: napadł na transport efektów wojskowych, z kilkunastu składający się wozów, eskortę do ucieczki zmusił, wozy zabrał i uprowadził. Przy okazji tej wpadła Serbom w ręce zdobycz rozmaita: broń, amunicja, żywność, odzież. Co też to za radość była!... jaki tryumf!... Chcieli zabrać wszystko, lecz czetowodza wydzielił kazał broń i amunicja, resztę spalić.

— Szkoda!... grzech!... — wołali nowi żołnierze. — Wozy, odzież... praca ludzka!.. chleb... dar boży!..

— Ale gdy się tą pracą i tym darem obciążysz — odparł wódz — to cię Turczyń dopędzi, zdobycz odbierze i ciebie zabije!..

Po wyprawie tej nastąpiła niebawem inna, po tej znów inna i jeszcze inna. Oddział jagodyński uwijał się po okolicy, pojawiając się nagle w tych miejscach, gdzie się go najmniej spodziewano. Jagodynianom się to podobało, słuchali naczelnika swego i opowiadali o nim:

— Patrzcie, co to jednak frajkurem był!..

Nie mieli za frajkurów siebie, ale tylko przysłanego im dowódcę i brali wyraz „fajkur“ w znaczeniu urzędu, stopnia wojskowego, tego będąc przekonania, że niejednemu z nich przyjdzie kiedyś, za odznaczenie, na frajkura awansować. Z tego powodu starali się przyswoić sobie tajemnice rzemiosła wojskowego i tak dalece pod względem tym korzystali, że, po upływie tygodni kilku ćwiczeń i wypraw, formowali wcale niezłą jednostkę bojową.

Śród wypraw dowiedzieli się, że oddziałów takich jak ich, więcej jest. Przy okazji pewnej spotkali się z Kragujewaczanami, przy innej znów ze Swilajniczanami i wspólnie z nimi napady wykonywali. Dowiedzieli się także, iż stojący na czele ich młodzieniec stosuje się do rozkazów, przysyłanych mu przez gońców, którzy, przybywając z okolic dalszych, znają hasła i odezwy, jakie im fajkur ich każdego daje poranku.

— Te frajkury!... majka ich!... słyszą, jak trawa rośnie!..

Wszystko szło dobrze i pomyślnie, tylko nie Turkom, którzy od czasu wystąpienia oddziałów partyzanckich wykonywali ruchy i obroty, podobne do kręcenia się muchy w ukropie. Było im niedogodnie i ciasno. Uwijające się oddziały serbskie nie tylko zabierały im transporty, psuły komunikacje, alarmowały obozy i rozbijały kolumny furazujące, lecz także podchwytywały gońców z rozkazami, co obroty wojenne narażało na zamieszanie, odwracając nieraz wojska w kierunki przeciwne tym, jakie im wódzowie nadać zamierzali. Jednym słowem rwały się im końce, które oni ścigali, jak mogli, chwytając się środka, który w dawniejszym sposobie prowadzenia wojen uważany był w razach podobnych za skuteczny: fortyfikując się po miastach i obsadzając takowe załogami silnymi.

I przed Jagodyną usypano okopy, a w tych postawiono około dwóch tysięcy ludzi. Okopy te broniły przystępu do mostów i dlatego otwarte były z tyłu. Kilkanaście paszcz działowych wyglądało ze strzelnic, patrząc na drogę, która z Hassan-Pasza-Polanki prowadziła.

Załoga w okopach stale przebywała. Zadanie jej na tem polegało, aby bronić miasta i pozakładanych w niem magazynów. Ważność punktu tego była niemałą, a to z tej przyczyny, że w nim schodziły się dwa trakty belgradzkie i że po-za nim znajdowała się główna przez Morawę przeprawa, a za przeprawą tą miasteczko Cziuprja, będące jednym z ważniejszych punktów wojennych.

W ciągu wojny, służącej powieści naszej za ramy, okopy jagodyńskie oddały tę Turkom przysługę, że jeden z korpów ich, party z przodu przez wojska cesarskie, znalazł w nich punkt oparcia. Cofnął się, zatrzymał i nie był nawet atakowany. Cesarscy nie ośmielili się zaczepić go. Korpus pozostał przez dni kilka, wypoczął, dopełnił ubytki, doczekał się posiłków i znów ruszył naprzód, zmuszając cesarskich do ruchu wstecznego.

Gdy korpus, o którym mówimy, poszedł naprzód, w tropy za nim rzuciły się oddziały partyzanckie, a pomiędzy niemi i nasz jagodyński. Turcy szli bitym traktem; Serbowie konwojowali ich manowcami. Boczne tureckie straże miały z tymi ostatnimi parę, w ciągu pierwszego dnia, starć, wskutek których korpus cały zatrzymać się musiał. Przyszedł wieczór. Przeciwnicy obozami stanęli, gotując się na spoczynek, w celu nabrania sił do zniesienia trudów dnia następnego.

Jagodynianie tego byli przekonania, że nazajutrz pójdą za Turkami dalej. W przekonaniu tem utwierdziło ich przybycie z wieczora gońca, który „fajkurowi“ ich rozkaz na piśmie przywiózł. Młodzieniec rozkaz przy ognisku przeczytał i przeczytawszy krzyknął.

— Spać ludzie!... Nim zaświta, ruszmy!..

Układając się przy ogniskach do snu, Jagodynianie tłumaczyli sobie, że ruszą Turkom na przełaj.

Jakże zdziwieni byli, gdy nazajutrz spostrzegli się, że pochód ich odwrotny przyjął kierunek!

— A dokąd-że to my idziemy?... — pytali wodza.

— Zobaczycie!.. — była odpowiedź.

Poszli najprzód w pagórki ku Kragujewcu się ciągnące, zwane Drni Wrch; przenocowali; nazajutrz nad wie-

czorem znaleźli się nieopodal od wsi Gławczice, odpoczęli i szli do rana; nad rankiem zatrzymali się i przespali w gąszczach dzień cały; gdy noc nadeszła, ruszyli, z manowców na drogę wyszli i na drodze spotkali oddział inny, który na nich czekał. Od tego innego oddziału zbliżył się do nich człowiek, którego strój wspaniały i uzbrojenie pyszne rozpoznać się dawały po nocy. Zbliżył się i przemówił:

— Jak się macie, Jagodynianie!...

— Chwała Bogu!...—odpowiedziało mu kilku głośno, a najgłośniej trzech ludzi: Żiwko i dwaj bracia jego.

— O!...— odezwał się człowiek. — Wszakże tu jest i potomstwo Hadzi-Petara!... Po głosie poznaję!...

— I jam ciebie po głosie poznałem!... — była Żiwka odpowiedź.

— I jam ciebie poznałem!... i ja!... i ja!...—odzywały się głosy jeden po drugim.

— No, widzicie... jak też się to człowiek ani na trochę nie odmienił, od czasu jak-em Turczyzna w Jagodynie przy *czesmie*¹⁾ udusił.

Łatwo domyśleć się, że owym przez Jagodynian po głosie poznanym był nie kto inny, jeno harambasza Milenka. Wszedł pomiędzy nich, jak pomiędzy rodzinę, pozostał i rozmawiał, podczas kiedy oddziały szły drogą dalej.

— Skąd-że się ty tu wziął, Milenku, he?...— zapytał Żiwko.

— Skąd?... o toż pytasz!...

— Słuch o tobie zaginał. Myślałem, żeś ty w górach...

— A słyszał-że ty co o kapetanie Marku?... — podchwycił hajduk.

— O nim to ludzie gadają...

— Dlatego nie gadają o mnie... Jam, bracie, z harambaszą moją w kąt poszedł... Gdyby nie kapetan Marko, to siedziałbym w górach jak niedźwiedź i pukał z za kamieni do Turków, czem zrobiłbym im złego tyle, co kiedy komar człowieka ukąsi... Zastrzeliłbym dla *halin*²⁾ i nowców jednego, drugiego i na tem koniec... Serbji-by

¹⁾ *Czesma* — studnia.

²⁾ *Haliny* — odzież.

to się nie przydało na nic... Kapetan Marko rozumu mnie nauczył. To człowiek!... To, bracie, człowiek!...

— On nam „Frajkura“ na czetowodza przysłał... — wtrącił Żiwko.

— On to zrobił, że Turków tłuczemy... Zebrał, uprzędkował, prowadzi, a jak o wszystkim wie, majka niegowa!... hi... hi... A jak w ogień lezie!...

Szli i rozmawiali. Milenko ze szczegółami opowiadał o organizacji oddziałów ochotniczych, zwanych *Frei-corps* (skąd „frajkury“), które, jak z dziejów wiadomo, przyczyniły się głównie do pomyślnego niepomyślnie rozpoczętej wojny obrotu, i o czynach wojennych, w których bohater nasz odznaczył się odwagą, przytomnością umysłu i znajomością rzeczy.

— Majka niegowa!... — mówił. — On, niby ta matka, co dziecko chodzić uczy, nauczył nas Turczyzna bić... Bez niego zakiślibyśmy, ja w górach, ty w jakiejś tam pod Jagodyną norze i odżylibyśmy po wojnie na nowo, ja hajdukiem, ty rają pokornym... A tak... zobaczymy... Hukniemy dziś rano, na dzień dobry, *żiwila Serbia!* w Jagodynie...

— W Jagodynie! — krzyknął Żiwko zdumiony.

— A gdzie!... toć przecie do Jagodyny idziemy wprost... a z nami idzie czet co nie miara... Zobacysz, co to za taniec będzie!... Zobacysz i kapetana Marka...

— Toć ja go przecie znam...—wsunął Żiwko.

— A prawda...

Przy wyrazie tym hajduk westchnął.

— Ech!...

Ręką machnął.

— Co ci?...—Zapytał ojciec Anki, widząc, że Milenka nagle zły humor napadał.

— Nic, bracie!... We mnie, widzisz, djabeł siedzi i ja go za rogi muszę z całej trzymać siły, ażeby licha nie narobił...

Świtać poczynąło. Nagle, w stronie północno-wschodniej, na nieboskłonie, niby się błyskawica zapaliła i wnet potem odezwały się huk wystrzałów. Zawarczał ogień rusznicowy, podobny do dalekiego drapieżnego zwierzęcia mrużenia; w chwil kilka później grubym głosem zagrzmięły działa. Strzał po strzale następowały szybko.

— Baczność!...—krzyknęli dowódcy czet.

Czety zatrzymali, uszykowali, broń ludziom opatrzyć kazali i z drogi ich na pole sprowadzili.

— Krok zdwojony... marsz!

Oddziały pobiegły, kierując się na huk bitwy.

Strzelanina, która się z początku w północno-wschodniej stronie miasta ogłosiła była, odezwała się następnie w południowej, a potem w południowo-wschodniej, w końcu w zachodniej. Wyraźnie Jagodyna ze wszystkich naraz stron, znienacka, zaatakowana została. Turcy rzucili się najprzód do okopów, myśląc snadź, że nieprzyjacieli od frontu ich zaczepia; wnet się jednak rozdzielili i połowę jedną uszykowali się frontem w tył, spostrzegłszy zaczepkę ze strony wprost przeciwnej. Napadnięci jednak z boku, zmieszali się; napadnięci z drugiego boku, głowy potracili. Bitwa rozpoczęła się o mroku porankowym. Dzień zastał hufce tureckie cofające się w nieładzie największym z miasta do okopów, które, otwarte z tyłu, nie dawały schronienia pewnego, tembardziej, że największa siła atakujących nacierała z tej właśnie strony, z której szanse tureckie otwarte były. Pierwsze czety serbskie do miasta wkraczające wsiadły Turkom na pięty i oparowały most, którego zerwanie mogło być środkiem jeżeli nie ratunku, to przynajmniej przewleczenia boju. Po utracie środka tego, nie pozostawało wyznawcom proroka nic innego, jak poddać się przeznaczeniu.

— *Aman!*...

Turcy broń złożyli i ręce do więzów wyciągnęli.

Miasto, magazyny, dwa tysiące niewolnika, kilkanaście dział, sporo broni i amunicji wpadły zwyczajem w ręce.

Cóż-to za radość była!... cóż-to za tryumf!... Z pistoletów strzelano, a okrzyki „żiwila Serbja!” brzmieć w powietrzu nie ustawały.

Środkowym objawów radości i tryumfu punktem była czesma na rynku przed konakiem, ta właśnie czesma, przy której przed laty Milenko mojżeżowego dopuścił się czynu. Przy czesmie tej stał naczelnik, co wyprawę na Jagodynę zarządził i poprowadził, a naczelnikiem tym był znajomy nasz—nasz bohater—kapetan Marko. Czety przeciągały przed nim z okrzykami;

— Żiwila Serbja!... żiwio kapetan!...

Nie od czasu, jak-śmy go widzieli, nie zmienił się, chyba pod tym tylko względem, że miał na sobie odzież

inną. Ubrany był w mundur oficera od Granicznarów, okryty płaszczem wojskowym.

Czety przed nim przeciągały i mieszkańcy Jagodyny około niego się cisnęli. Pomiędzy tymi ostatnimi oczami kogoś szukał i znalazł—i powitał zdaleka. Był-to Hadzi Petar.

Starzec przez tłum się przecisnął.

Marko rękę mu podał i w te do niego odezwał się słowa:

— Rozejdźcie się i siedźcie cicho... Jeszcze to nie wszystko z Turkami skończone... Jeszcze oni do Jagodyny powrócą... Nie trzeba więc, ażebyście się na ich wystawiali zemstę.

Słowa te niemile w uchu starca zabrzmiały; lecz biła z nich prawda, której nie sposób było nie uznać. Chciał Hadzi-Petar coś na nie odpowiedzieć, gdy wtem na rynku słysząc się dał krzyk tak silny i tak wysoki, że pokrył sobą okrzyki i strzelanie z pistoletów, a przytem tak tonem dzikiej jakiejś radości przeraźliwy, że wszyscy mimowolnie zwrócili uwagę w stronę, w której zadzwonił. Ton krzyku tego był kobiecy. Przeplatał go śmiech spazmatyczny; przetrzącały go wywoływania wyrazów następujących:

— Puszczaście mnie!... puszczaście!... do niego!... On mój!... mój rycerz!... mój pan!... Niosę mu podarek!... Puszczaście mnie!...

Tlum się w dwie rozchyłał strony i otwierał do czesmy drogę kobiecie, która postępowała powoli i oglądała się obłąkanemi, zaiskrzonymi oczami, prawą rękę do góry podniosła i potrząsała nią i w ręce tej za włosy trzymała... głowę ludzką.

Był-to widok przerażający. Snadź głowa tylko co od tułowia oddzieloną została, co się pokazywało z bogatej, złocistej niewiasty odzieży, krwią zwalanej, ze smugów krwi świeżej, płynącej po kobiecie ramieniu nagiem.

— Puszczaście mnie!... podarek mu niosę!...

Przed Marka przysła i stanęła. Oczy w niego wlepiała.

— Cha, cha, cha!... Widzisz?...

Głowę mu pokazała.

— Widzisz?... Chciał kir-Kosta, ażebym go przed tobą schowała... Schowałam... Jest spokojny i bezpiecz-

ny... Wzięłam tylko głowę jego, ażeby się pokłonił tobie... Masz!...

To mówiąc, głowę Markowi pod nogi cisnęła i zaśmiała się chichotem dzikim.

— A teraz mnie bierz!... Oddaję się tobie, już nie w ciemnicy, skąd mi cię duch jakiś wydarł, ale w dzień jasny, przy wszystkich... Bierz mnie!...

Pod boki się wzięła, okrwawiona, dzika i dokoła wyzywającym powiodła wzrokiem.

— Oblakana... — rzekł Marko do bliżej stojących. — Trzeba ją zabrać i schować...

Kilku ludzi do kobiety podeszło i po krótkim z nią szamotaniu się z rynku ją odciągnęło. Odprowadzona co sił krzyczała:

— Marku, nie daj!... Marku, ja twoja!...

Sceny tej, w rodzaju swoim dziwnej, wstrętnej i przerażającej, świadkami byli Jagodynianie wszyscy, którzy w kobiecie poznali małżonkę kajmakana, a pomiędzy innemi Hadzi-Petar, Žiwko i Milenko. Wywarła ona wrażenie i na Marku. Lecz na zastanawianie się nad rzeczami podobnymi czasu nie było. Marko raz jeszcze Hadzi Petarowi daną poprzednio przestrożę powtórzył i natychmiast zajął się rzeczą rzemiosłową — wyciąganiem korzyści ze zwycięstwa odniesionego.

Żołnierz z niego był dobry. Wiedział, że zwycięstwo, jeżeli się z niego nie korzysta, staje się podobnem do fajerwerku, rozsypującego się bezużytecznie w iskier tyśiące.

Kazał więc jak najspieszniej okopy rozrzucić, magazyny poniszczyć, broń i amunicję zabrać, działa, których się uwieść nie dało, popsuć i jeńców odprowadzić. A gdy to wszystko dokonaniem zostało, ruszył wnet w pochód do Cziuprji, dokąd go wzywał rozkazem pułkownik Michalewicz. Dedać należy, iż w pochód ten zabrał ze sobą cztery wszystkie, które w zdobyciu Jagodyny udział brały, zostawiając w mieście dziesiątek tylko jeden, z poleceniem cofnięcia się w razie, gdyby się Turcy pokazali.

W pochodzie do Cziuprji zbliżył się do bohatera naszego Milenko.

— Kapetanie Marku — rzekł — widzę, że Serbja u ciebie na pierwszym stoi miejscu...

Marka powiedzenie to zdziwiło nieco.

— Miałem ciebie na oku przez cały pobytu w Jagodynie czas... Myślałem, że pójdziesz... do...

Zająknął się.

— Dokąd?... — zapytał Marko.

— Do... hm!... ech!... — ręką machnął. — Ale m i ja nie chodził...

Marko westchnął zlekka.

Wezwanie pułkownika Michalewicza, który na prawym brzegu Morawy operował i pod którego rozkazami bohater nasz się znajdował, miało na celu opanowanie przeprawy na Morawie i zdobycie Cziuprji. Dopięcie celu tego znacznie ułatwionem zostało przez zdobycie Jagodyny. Cziuprja znalazła się w odosobnieniu. Turcy, załoga w niej stojący, mocno zagrożeni, cofnęli się, po parudniowym oporze, do Aleksinca. Turcy zaś, których powrót do Jagodyny Marko przepowiedział, a którymi był ów korpus, co się posunął był naprzód, powrócili w samej rzeczy; lecz, znalazłszy w Jagodynie okopy zburzone, na Morawie przeprawę zajęta i Cziuprję zdobytą, musieli co rychlej miasto opuścić i szukać sobie drogi odwrotu na traktach kruszewackim i karanowieckim. W czasie tym marszałek Laudon zdobył Belgrad. Wojska cesarskie posuwały się w głąb kraju serbskiego, lecz znajdowały go już z nieprzyjaciela oczyszczonym, albowiem korpusy ochotnicze, zabiegając cofającym się ottomańskim kolumnom na przelaj, zniewalały je cofać się szybko, z obawy nieutrącenia najkrótszych linii operacyjnych, jak się to w Jagodynie i Cziuprji stało.

Jagodyna przeto pewnego poranku pięknego (pięknego!... zaiste) znalazła się nagle bez pana. Turcy opuścili ją... bez pożegnania. Szcześnie, nie podpalili jej z czterech rogów. Snadź w pośpiechu zapomnieli o zostawieniu po sobie tej ostatniej panowania swego pamiątki; wynieśli się i wprawili mieszkańców w osłupienie.

— Niema Turczyzna...! — powtarzali Serbowie, zamysłając się i sami nie wierząc wymówionym przez siebie wyrazom.

— Niema... No, niema...

— Niema... — jedni szeptali, drudzy głos nieco podnosili.

— Cóż tu robić?...

Co robić?... — było-to zapytanie, tkwiące każdemu

mieszkańco wi Jagodyny w myśli nieustannie i wychodzące z ust co chwila.

Tylko pod Hadzi-Petara dachem o tem nie myślano.

Myślano tam bowiem o czem innem. Kiedy wyrazy „niema Turczyzna“ o uszy Milewy się obity, staruszka podniosła do góry oczy i ręce, oblicze jej zajaśniało blaskiem radości, jakby się uczuła z ziemi w niebo braną, i zawołała:

— Boże!... doczekałam się... Niczego już więcej nie chcę... Panie, wierzyłam, ufałam, że tak będzie, i wiarą moją i ufnością dzieliłam się z innemi... Panie! bierz mnie, zdmuchnij jak świecę, której blask niepotrzebny już przy blasku słońca... Dla Serbji słońce wzeszło... już ono nie zgaśnie... Boże, przyjm duszę moją grzeszną!...

Bóg ją wysłuchał. Osunęła się na pościel... poprosiła o księdza.

Przygotowała się na drogę żywota wiecznego, konała i skonała w opromienieniu aureoli wiary, która na ustach jej po śmierci uśmiech zostawiła. Czysta dusza do Boga ddeszła. Pod dachem Hadzi-Petara zapanował smutek oowalny, który wkońcu ustąpić musiał miejsca troskom i kłopotom, jakie się zrodziły w Jagodynie po wyjściu Turków.

Hadzi-Petar był osobistością zanadto poważną i zażyt poważaną, aby pominąć go miano przy rozwiązaniu zagadki: co robić?

Historja zagadkę tę rozwiązuje. Wiadomo, że wyswobodzenie Serbji nie nastąpiło jeszcze tym razem. Pokój w Sistowie zawarty zwrócił ją Turcji napowrót, z tem jedynie na korzyść jej zastrzeżeniem, że Wysoka Porta zobowiązała się nie pociągać do odpowiedzialności rajów, którzy przeciwko niej w szeregach ochotniczych korpusów walczyli.

Historja jeszcze jeden, nader ciekawy zapisuje szczegół. Kiedy komisarze tureccy, przysłani do odbierania kraju, widzieli, jak z pewnego, który im oddawano, grodu czeta serbska pod bronią wyszła i musztrę całą jak wojska cesarskie odbyła, zdziwili się i zdumieli wielce,

co z tego wyniknąć może. „Sąsiedzi! — rzekł do Niemców jeden z nich — i co to wy z naszej zrobili raj²“¹⁾.

Dawny przeto porządek, zmieniony nieco koniecznemi w pierwszych chwilach, po świeżem podpisaniu traktatu, folgami, powrócił. Powrócił w Jagodynie do konaku kajmakan, lecz nie Ali-aga — ten umarł podobno; powrócili członkowie mezliszu; powrócił kady; powrócili muftowie; powrócił kawedzi; powrócił poborca; powrócili spahje; powrócił, jednym słowem, cały skład władzy, cały instrument panowania tureckiego, z wyjątkiem osobistości kilku, które zawierucha porwała i z rzędu żywych wyrzuciła. Powrócili także synowie Hadzi-Petara z Frajkurów i wszyscy, którzy z nimi razem byli, a na polach bitew śmierci nie znaleźli. Powrócił pod dachem Hadzi-Petara dawny życia tryb, który się zmienił o tyle tylko, że ubyla Milewa, i zmienić się miał jeszcze przez ubycie dziewczynki na wydaniu.

Dziewojka na wydaniu była; zamąż iść musiała; — tak porządek kazał; zamąż iść, ale — za kogo?

Ojciec, matka, stryjowie i ciotki z niepokojem spoglądali na nią, niepokój bowiem wzbudzało zachowanie się jej dziwne, świadczące, że w sercu jej odbywa się walka sroga. Wydawała się ona jakaś ustawicznie czy przelekniona, czy zdziwiona, naprzemian zaś raz smutna, znów wesola. Wyzwolenie Serbji, śmierć babki, wstrząśnienia, przez jakie przechodzili wszyscy, oddziaływać na nią musiały z siłą nie mniejszą, jak pojawienie się w Jagodynie Marka. Marko w mieście był, odszedł i ani się zatroszczył o nią.

— Zapomniał!..

Wyraz ten burzą wyl, boleścią zawodził, [rozpacza dzwonił.

— Och!..

Ojciec, matka, stryjowie, ciotki mówili pomiędzy sobą pocichu:

— Na Milenka czekać trzeba... Wszak wolno mu teraz w Jagodynie zamieszkać... Przybyć-by i ze słowa wywiązać się powinien...

¹⁾ Leopolda Ranke'go Historja serbskiej rewolucji, str. 69, tłumaczenie S. Nowakowicza.

Hadzi-Petar milczał; wnuczkę niekiedy hołubił, jakby jej żałował, lub pocieszać chciał.

Ojciec, matka, stryjowie, ciotki i o kapetanie Marku niekiedy myśleli, ale nie o nim nie mówili, raz dlatego, że Milenko słowo miał — Anka narzeczoną jego była, — powtóre dlatego, że kapetan wydawał się im osobą zażyty wysoko postawioną.

Na Milenka więc czekali — i doczekali się. Przybył, ale nie sam. Przyprowadził ze sobą... kapetana Marka.

Nie sposób opisać wrażenia, jakiego Anka doznała, gdy ich razem ujrziała.

Jeden narzeczony, drugi kochany!

Przybyli razem, a przybywali tak, że, patrząc na nich, wydawało się, iż Marko ociąga się, a Milenko go prowadzi. W samej-bo rzeczy prowadził go, i to za rękę. Hadzi-Petar na spotkanie ich powstał, za Hadzi-Petarem poszli synowie jego i synowe, wnuki i wnuczki, z wyjątkiem Anki, która, zdawało się, skamieniała na miejscu.

Milenko, Marka za rękę trzymając, starcowi się pokłonił.

— Przychodzę do ciebie, babo, po narzeczoną moją... dla niego...

I palcem z ukosa na Marka ukazał.

— Milenku!... — krzyknął ten ostatni, rękę mu wydzierając i od stóp do głowy, z wyrazem zdumienia w oczach, go mierząc.

— Tak, dla ciebie!... Dla ciebie Serbja pierwszą była niż ona, i dla mnie także; ale tyś Serbji usłużył lepiej, aniżeli ja.... Chciałem się z tobą o dziewczynkę ożem rozprawić... Rozprawę pomiędzy nami zrobiła Serbja ożężna...

Anka w głąb domu uciekła. Staremu Hadzi-Petarowi w oczach łzy się zakręciły. Chciał coś przemówić. Na chceniu jednak skończyło się tym razem.

Co się zaś stało dalej? — niech czytelnik sam sobie w wyobraźni swej dosnuje. Ze strony mojej dodam jeszcze to tylko, że w trzynaście lat później Serbja o siłach własnych na nogach stanęła, postawiona przez uczniów tych, co jej, wzorem Marka, służyli — o czem... z historii dowiedzieć się można, dokładniej, aniżeli z powieści.

SPIS RZECZY.

	Str.
1. Nocleg	3
2. Serbska rodzina	15
3. Turcy w Serbji	27
4. Rewizja turecka	38
5. Na mezliszu	51
6. Marko i Anka	63
7. Mojżeszowy czyn	74
8. Zielona kitajka	87
9. List paszy	99
10. Widzenia starej majki	110
11. Cuda w apsie	124
12. Sprawiedliwość turecka	136
13. Na przeprawie	148
14. Frajkury	159
15. Rozprawa pomiędzy rywalami	171



59711

